ODSŁANIAMY KULISY HISTORII PRL

Prymas Glemp o Solidarności – sensacyjna analiza z grudnia 1981 r.

Michał Moskal – prawa ręka Jarosława Kaczyńskiego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 42/395 12–18 PAŹDZIERNIKA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

KSIĄŻĘ JERZY WINDSOR – CZY NAPRAWDĘ MIAŁ SZANSĘ ZOSTAĆ KRÓLEM POLSKI W LATACH 40. XX WIEKU?

JAK NAS RYSUJĄ – POLSKA I POLACY W NAJSŁYNNIEJSZYCH KOMIKSACH

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład: 58 000 egzemplarzy

TVN NA FRONCIE IDEOLOGICZNYM

epresa.pl

KUPUJ CO POLSKIE*

co tworzy wartość dla polskiej gospodarki

Polskie **owoce** i **warzywa**,
nabiał, **mięso** i **wędliny**.
Polskie **marki**, polskie **produkty**
wytwarzane, przetwarzane
lub konfekcjonowane w Polsce.

Kupuj to, co rodzi się
we współpracy
z przedsiębiorcami w Polsce,
co pozwala tworzyć
tysiące miejsc pracy i pomaga
w rozwoju naszego kraju.

Dowiedz się więcej na biedronka.pl/kupujcopolskie

Biedronka
Codziennie niskie ceny

*Szczegóły i regulamin na www.biedronka.pl

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Braterstwo dla wszystkich?

Fratelli tutti" – najnowsza encyklika Franciszka miała być swoistym podsumowaniem całego pontyfikatu papieża Argentyńczyka. I tak można ją chyba traktować: każdy czytelnik odnajdzie w niej wiele wątków znanych z wcześniejszych papieskich wystąpień. Większość liberalnych mediów chwali jej tekst i twierdzi, że Franciszek znowu okazał się właściwym prorokiem dla naszych czasów.

Jednak, obawiam się, podobnie jak w przypadku wcześniejszych dokumentów również we „Fratelli tutti" jest wiele wątków co najmniej osobliwych. Na pewno czymś zaskakującym musi być odwołanie się na samym początku tekstu do osoby św. Franciszka z Asyżu jako tego, który był symbolem dialogu i porozumienia. Papież wspomina o spotkaniu świętego z sułtanem Malikiem al-Kamilem, które miało miejsce 6 marca 1238 r. Według papieża Franciszek „poszedł na spotkanie z sułtanem z taką samą postawą, jakiej wymagał od swoich uczniów: aby, nie negując własnej tożsamości, »pośród saracenów i innych niewiernych [...] nie wdawać się w kłótnie ani w spory, lecz być poddanymi wszelkiemu ludzkiemu stworzeniu ze względu na Boga«. W tamtym kontekście było to żądanie niezwykłe. Uderza nas, jak osiemset lat temu Franciszek zalecał, by unikać wszelkich form agresji czy sporów, a także by żyć pokornie i po bratersku »w poddaniu«, także wobec tych, którzy nie podzielają ich wiary. Nie prowadził wojny dialektycznej, narzucając doktryny, ale przekazywał miłość Boga".

Obraz spotkania, tak jak je przedstawił papież, pozostaje, przykro to powiedzieć, w sprzeczności z przekazami historycznymi. Przede wszystkim w encyklice cytuje się tylko pierwszy punkt reguły franciszkańskiej, która odnosiła się do braci wędrujących do krajów muzułmańskich. Dlaczego? To oczywiste: drugi punkt stanowi właśnie zaprzeczenie tej wizji św. Franciszka, jaką próbuje nam przekazać papież. Wzywa się w nim braci, by ci nauczali muzułmanów, „aby zostali ochrzczeni i stali się chrześcijanami, ponieważ, jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha Świętego, nie może wejść do królestwa Bożego".

Pomijając te słowa świętego z Asyżu, uzyskuje się skrojoną na potrzeby współczesnej poprawności politycznej karykaturę. Święty Franciszek nie przybył do sułtana, by unikać sporów, nie jest też prawdą, że „nie chciał narzucać doktryny". Przeciwnie. Jak precyzyjnie opisuje to św. Bonawentura w swoim życiorysie, „Sługa Chrystusowy" wzywał sułtana i wszystkich muzułmanów „do nawrócenia do Chrystusa z miłości do Niego" i wyzywał sułtana na swoisty „sąd Boży". Był gotów poddać się próbie ognia. Kiedy sułtan odmówił, święty nie zgodził się nawet przyjąć od niego zwyczajowych darów!

Jednak przykrojenie świętego, a co za tym idzie – także całego chrześcijańskiego posłania do dzisiejszych wymogów to niejedyny problem z tym dokumentem. Być może najbardziej uderzające jest niemal całkowite milczenie na temat największej chyba plagi współczesności, jaką jest powszechne przyzwolenie na dokonywanie aborcji. Samo słowo pojawia się w tym bardzo długim tekście papieskim tylko raz. „Szaleństwo nie zna granic, kiedy uprzedmiotawia się kobiety, zmuszane następnie do aborcji. [...] Wszystko to sprawia, że handel ludźmi i inne aktualne formy niewolnictwa stają się problemem globalnym [...]". A więc na ponad 200 stronach wspomina się o zabijaniu dzieci nienarodzonych po to, żeby potępić handel kobietami! Tak jakby potępione było „zmuszanie kobiet do aborcji". Czy sama w sobie aborcja – to z tekstu dokumentu jednoznacznie nie wynika.

Drugi raz papież pisze: „W gruncie rzeczy „ludzie nie są już postrzegani jako podstawowa wartość, którą należy szanować i chronić, szczególnie jeśli są ubodzy lub niepełnosprawni, jeśli »nie są jeszcze potrzebni« – jak dzieci nienarodzone – lub »nie są już potrzebni« – jak osoby starsze. Staliśmy się niewrażliwi na wszelkie formy marnotrawstwa, począwszy od marnowania żywności, które jest jednym z najbardziej zasługujących na potępienie". Czyli znowu zestawia się nienarodzone dzieci i ich godność z ubogimi, niepełnosprawnymi oraz potępia się „brak dostrzegania ich wartości" tak samo jak „marnowanie żywności"!

Trudno naprawdę nie dostrzec tu drastycznej zmiany akcentów. Oczywiście, słowa te należy odczytywać w szerszym kontekście całej nauki Kościoła, ale dla obrońców życia potraktowanie w tej encyklice aborcji będzie dużym, bardzo dużym problemem. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl a27c412366

TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TVN: PRZEWODNIA SIŁA OPOZYCJI
Czwarta władza jak pierwsza

22 TOMASZ ROWIŃSKI
IDEOLOGIA WIELKIEGO SOJUSZNIKA

24 PIOTR SEMKA
KUL NA ZAKRĘCIE

KRAJ

30 KAMILA BARANOWSKA
MŁOT NA LEWICĘ
Nowy minister edukacji

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
TĘCZOWE STUDIA

36 MARCIN MAKOWSKI
NOWA ZMIANA

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
OPERACJA „TALLBOY"

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
CO BY TU JESZCZE...
Przepisywanie kultury

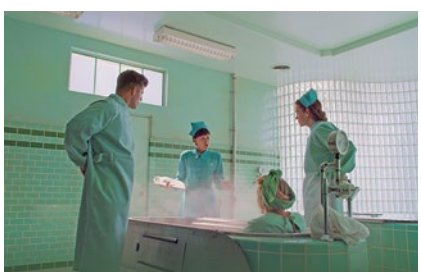

42 JOANNA BOJAŃCZYK
2000 MKW. DLA KULTURY

44 ŁUKASZ CZARNECKI
JAK NAS RYSUJĄ

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ŁUKASZ WARZECHA
SUBSTYTUT KARY
Patologie instytucji tymczasowego aresztowania

58 MAREK JUREK
ILE UMIARU W UMIARZE?

62 JAN PARYS
POLSKA – PRZYGODA NA CAŁE ŻYCIE

HISTORIA

64 RAFAŁ ŁATKA
PRYMAS GLEMP O SOLIDARNOŚCI
Kościół a opozycja w PRL

68 ROZMOWA Z HISTORYKIEM RADOSŁAWEM GOLCEM
WINDSOR NA POLSKIM TRONIE

ŚWIAT

70 JACEK PRZYBYLSKI
POKONAŁ WIRUSA, DA RADĘ Z BIDENEM?
Ognisko w Białym Domu

74 OLIVIER BAULT
RADYKAŁOWIE PRZENIKAJĄ DO SZKÓŁ

76 GABRIEL MICHALIK
LACHY WAS WYPLUJĄ

80 PIOTR WŁOCZYK
DZIECI JAK ŚMIECI

EKONOMIA

82 ROZMOWA Z JANEM ZYGMUNTOWSKIM
DŁUG PUBLICZNY NIE JEST OBCIĄŻENIEM?
Zadłużenie w większości powinno pozostać w kraju

86 ŁUKASZ ZBORALSKI
ZARZYNANIE BIZNESU

O ZDROWIU

92 ROZMOWA Z DR ALEKSANDRĄ MURAWSKĄ-BAPTISTA
JEST CORAZ WIĘCEJ POWAŻNYCH POWIKŁAŃ
Jak COVID-19 leczy się w USA

FELIETONY:

SEMKA (6), KOWALCZUK (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (67), PRZYBYLSKI (79), GABRYEL, WARZECHA (88), KOMUDA (94), ZALEWSKI, MAKOWSKI (96), NOWAK (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl a27c412366

Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do dyskusji na łamach tygodnika „Do Rzeczy". Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

W cieniu przyjaźni

Spory, napięcia i kłótnie, które obserwujemy od kilku lat w życiu publicznym, podziały, które nastąpiły pomiędzy wieloletnimi przyjaciółmi (szczególnie po wyborach 2015 r. i zwycięstwie obozu Zjednoczonej Prawicy), niepokoją i rodzą pytanie: Co jest ich przyczyną?

Będąc osobą o poglądach konserwatywnych, aktywnie uczestniczącą w życiu publicznym, ze wspomnianymi zachowaniami często się spotykam i próbuję je zrozumieć. Zastanawiam się, gdzie tkwi przyczyna tego, że ludzie, którzy znaczną część swojego życia poświęcili na wspólną walkę z systemem totalitarnym, dziś ze sobą nie rozmawiają? Jak to się stało, że (cytując Henryka Sienkiewicza): „Nienawiść wrosła w serca i zatruła krew pobratymczą"?

Klucz do wyjaśnienia tej sytuacji znalazłem w zdaniu wypowiedzianym przez jednego z moich przyjaciół, prowadzącego w latach 80. ub.w. aktywną działalność opozycyjną. Brzmiało ono: „Kiedyś walczyliśmy z PRL-em". Sądzę, że w tym sformułowaniu tkwi sedno sporu. Otóż pewna część opozycjonistów (do których zaliczam również siebie) nie walczyła z PRL-em, ale z sięgającym swoimi korzeniami do ideologii marksistowskiej komunizmem. Natomiast druga, bardzo znacząca w latach 70. i 80. grupa działaczy opozycyjnych nigdy nie walczyła z ideologią marksistowską, lecz wyłącznie z PRL-em (często wierząc, że panujący ustrój komunistyczny da się „oswoić" i „ucywilizować"). Ta tylko pozornie niewielka różnica (w latach 80. na ogół niedostrzegana) jest różnicą fundamentalną, ponieważ w znacznym stopniu zadecydowała o losach wielu z nas. Ci, którzy walczyli z PRL-em, uznali datę 4 czerwca 1989 r. za jego upadek (nieliczni poczekali z tą oceną do pierwszych prawdziwie wolnych wyborów, czyli do 27 października 1991 r.). Uznając, że cel został osiągnięty, że PRL nie istnieje, zajęli się robieniem karier zawodowych, polepszaniem swojego stanu majątkowego i korzystaniem z uroków wolnego świata (w czym, co wyraźnie podkreślam, nigdy nie widziałem ani nadal nie widzę niczego złego). Problem jednak polega na tym, że ciesząc się z upadku PRL-u, ci wytrawni i zazwyczaj bardzo zasłużeni opozycjoniści nie dostrzegli, że choć PRL upadł, myśl i filozofia marksistowska mają się całkiem dobrze, a nawet w wielu demokratycznych państwach świata zaczynają dominować w życiu publicznym.

Zupełnie inną drogę wybrali ci, którzy jako cel swojej działalności wyznaczyli pokonanie najokrutniejszego w dziejach świata systemu totalitarnego, jakim był komunizm i jest odradzający się marksizm.

Te dwie skrajnie różne postawy od lat wpływają w sposób wyraźny na różnego rodzaju napięcia, spory, podziały i kłótnie pomiędzy ludźmi, którzy poświęcili w czasach PRL-u znaczną część życia na walkę o demokratyczną Polskę. Zazwyczaj nie szukali odpowiedzi na pytania, z kim i o co walczą i co swoją działalnością chcą osiągnąć. Może dziś warto do nich wrócić? Może debata nad tymi problemami pozwoli znaleźć porozumienie, zasypać wykopane rowy niechęci oraz nienawiści i tak jak w latach 80. wspólnie pracować dla dobra kraju i przyszłych pokoleń?

Wojciech Starzyński

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibniewska, Marcin Bugaj, Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **TVN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel. : 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl a27c412366

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Łatwa kpina

Koronawirus na Jasnej Górze. Kilka dni temu modlili się tam pracownicy sanepidu" – takim tytułem portal Radia Zet dawał do zrozumienia, że pielgrzymka pracowników służb epidemiologicznych miała związek z zarażeniami, których ofiarą padło 25 zakonników w najświętszym sanktuarium Polaków.

Wylało całe bajoro ateistycznych kpin z „wiary w to, czego nie ma" lub sugestii, że to „kara za sodomię"

Do akcji szybko ruszyli antyklerykalni kpiarze. Sylwia Czubkowska z portalu Spider's Web, niegdysiejsza dziennikarka „Gazety Wyborczej", pisała: „W weekend na Jasnej Górze szef i pracownicy sanepidu modlili się o pokonanie pandemii. Teraz okazuje się, że 25 duchownych z Jasnej Góry jest zakażonych. Myślę, że Bóg ma po prostu poczucie humoru i lubi sobie z Polski pożartować". Wtórował jej Paweł Wroński z „Wyborczej", pytając: „Jak odczytać te znaki?".

Pod wpisami Czubkowskiej i Wrońskiego na Twitterze wylało całe bajoro ateistycznych kpin z „wiary w to, czego nie ma" lub sugestii, że to „kara za sodomię". Inny kpiarz pisał: „Skoro modlili się o pokonanie wirusa, no to bóg im dał szanse pokonania. Żeby pokonać, trzeba najpierw zachorować. Logiczne".

Szybko okazało się jednak, że łączenie tych dwóch wydarzeń to błędny trop. Zakonnicy z Jasnej Góry ulegli zakażeniu na rekolekcjach paulińskich w domu zakonnym. Wtedy Paweł Wroński uściślił swój wpis: „Szydzę z sanepidu, którego wielebne szefostwo robi sobie pielgrzymkę na Jasną Górę, gdy pracownicy słaniają się na nogach z przepracowania".

Co ma jedno do drugiego? Czy pielgrzymka była lekceważeniem wysiłku pracowników sanepidu? Czy weekendowy wyjazd do świętego miejsca odbywał się kosztem codziennych obowiązków jego uczestników? Czy ktoś zmuszał kogoś do udziału w pielgrzymce? Niczego takiego nie było. A jednak nie obeszło się bez pełnych uprzedzeń kpin.

Cała historia pokazuje, jak niski jest próg uruchomienia agresji wobec ludzi wierzących ze strony uzurpującej sobie prawo bycia wzorcem tolerancji i oświecenia.

A przecież zasady higieny egzekwowane są na Jasnej Górze tak samo jak gdzie indziej. Obowiązuje nakaz noszenia maseczek, wszędzie, nawet w kaplicy Cudownego Obrazu, są preparaty do dezynfekcji i nikt nie lekceważy zagrożeń bardziej niż w innych kościołach.

Na Jasną Górę zawsze przybywają tłumy. Mniejsze niż przed pandemią, ale wciąż spore. Ludzie modlą się o zdrowie najbliższych.

Zakonnicy, przyjmując ich w sanktuarium i spowiadając każdego, kto potrzebuje pokrzepienia duchowego, nie uchylają się od swej roli.

Gdyby myśleli tylko o sobie, zamknęliby bramy klasztoru na głucho aż do końca pandemii. Nie robią tego, bo dobrze rozumieją, co oznacza dla Polaków ich klasztor. Można za nich się pomodlić, ale można też z ich zakażenia zakpić. To drugie jest takie łatwe. ©℗

FOT. JAKUB KALCMARCZYK/PAP

WŚCIEKLI ROLNICY BLOKOWALI DROGI

W zeszłym tygodniu w proteście przeciwko „piątce dla zwierząt", zakazującej m.in. chowu zwierząt na futro i wprowadzającej ograniczenia uboju rytualnego, rolnicy OPZZ i AGROunii zorganizowali w całym kraju ok. 100 uciążliwych blokad dróg. Protestujący zablokowali w ten sposób dużą część Podlasia, Wielkopolski czy Pomorza. Z kolei na wtorek 13 października rolnicy zapowiedzieli wielki paraliż Warszawy. Według związkowców tego dnia do stolicy może przyjechać nawet 30–50 tys. rolników. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl a27c412366

Młodziutka polska tenisistka już zapisała się w historii polskiego sportu

FOT. JULIEN DE ROSA/EPA/PAP

Iga Świątek zachwyciła świat

Zaledwie 19-letnia polska tenisistka rozgromiła rywalki i w pięknym stylu dotarła do finału turnieju Roland Garros.

Iga Świątek w meczu półfinałowym wielkoszlemowego turnieju – mimo ogromnej presji psychicznej – grała spokojnie i rozważnie, dzięki czemu praktycznie zmiażdżyła na korcie Nadię Podoroską (6:2, 6:1), pozbawiając Argentynkę marzeń o wielkoszlemowym finale w zaledwie 70 minut.

Tym samym Świątek zapisała się na kartach historii polskiego sportu jako trzecia Polka w wielkoszlemowym finale. Wcześniej ta sztuka udała się Jadwidze Jędrzejowskiej (Wimbledon US Open w 1937 oraz Roland Garros w 1939 r.) i Agnieszce Radwańskiej (w Wimbledonie w roku 2012). Drogę do finału przeszła w pięknym stylu, wygrywając wszystkie 12 setów, pewnie pokonując rozstawioną z numerem 1 Simonę Halep oraz finalistkę z 2019 r. Marketę Vondrousovą.

Zagraniczni komentatorzy komplementują nie tylko technikę gry Polki, szybkość oraz potężną siłę, z jaką Iga Świątek posyła piłki rywalkom, lecz także jej ogromną wolę walki oraz niezwykle silną psychikę młodziutkiej zawodniczki. 19-letnia Polka nawet o wielkie stawki gra w takim stylu, jakby mniej nerwów było u niej w głowie niż u Polaków przed telewizorami. Jeszcze przed finałem French Open porównywali wybitnie uzdolnioną Polkę do takich gwiazd jak Serena Williams czy Maria Szarapowa. Amerykańscy dziennikarze już zrobili zaś swym czytelnikom ściągę z wymowy nazwiska polskiej mistrzyni: „Świątek wymawia się shvee-ON'-tek".

W sobotę Polka zmierzyła się w finale z Amerykanką Sofią Kenin – przed francuskim turniejem zajmowała ona szóste miejsce w rankingu WTA, podczas gdy nasza zawodniczka przed wylotem do Paryża klasyfikowana była na pozycji 54. Mimo to Iga Świątek miała spore szanse, aby wygrać to spotkanie. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", nie znaliśmy jeszcze jego wyniku.

W 2016 r. tenisistka z podwarszawskiego Raszyna wygrała debiutancki turniej zawodowy ITF w Sztokholmie. Rok później zwyciężyła w drugim zawodowym turnieju ITF w Bergamo. W 2018 r. zakończyła zaś juniorską karierę i zaczęła budować swój ranking WTA. Wygrywając kolejne starcia podczas turnieju Rolanda Garrosa, błyskawicznie pięła się w górę rankingu. Przed rozpoczęciem paryskich rozgrywek zajmowała na światowych listach 53. miejsce, a dzięki fantastycznej grze awansowała do grona 25 najlepszych tenisistek świata. Już teraz Iga Świątek jest zaś najwyżej sklasyfikowaną Polką.

19-latka z Polski będzie mieć pewne rozstawienie w każdej imprezie Wielkiego Szlema, co oznacza, że nie będzie musiała tracić sił na przebijanie się przez kwalifikacje. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl a27c412366

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

We własne sidła

W kuchni politycznej włoskich sił postępu specjalność zakładu to wykańczanie adwersarzy przy pomocy zblatowanych prokuratorów i sędziów. Podają do tego gorący wywar z hipokryzji. Tak postępowcy wykończyli Craxiego i Berlusconiego. Teraz przyszła kolej na Matteo Salviniego, szefa Ligi i całej opozycji (35 proc. w sondażach w ubiegłym roku).

Oskarżony został o ubezwłasnowolnienie na cztery dni migrantów na statku u wybrzeży Sycylii. Grozi za to 15 lat pudła. Każdy skazujący wyrok oznaczałby zakaz działalności politycznej przez pięć lat. Do incydentu doszło w lipcu zeszłego roku, gdy Salvini był szefem MSW. Statek został zaaprowizowany, a potrzebujący pomocy przewiezieni do szpitala. Przez cztery dni, zgodnie z ówczesną strategią rządu, Salvini starał się nakłonić unijnych partnerów do przyjęcia części przybyszów, co mu się udało.

Salvini tłumaczył, że chciał powstrzymać nielegalną migrację, a podjęte działania były kolegialną decyzją rządu z premierm Contem i wicepremierem Di Maio na czele. Ci naturalnie wyparli się wszystkiego. Niedawno w podsłuchanej rozmowie sędziów podejrzanych o korupcję były już szef Naczelnej Rady Sędziowskiej mówił, że Salvini jest niewinny, ale trzeba z nim walczyć, bo takie są rozkazy „z góry".

W sobotę 3 października Salvini stawił się na rozprawę w Katanii. Ulicami miasta maszerował pochód walczącej z językiem nienawiści lewicy z transparentem: „Salvini to gówno". Prokuratura wnioskowała o uniewinnienie i doszło do dramatycznej zmiany biegu akcji. Sąd wezwał na przesłuchania premiera Contego, Di Maio (obecnie szef MSZ), ministra transportu i obecną szefową MSW. Chce wiedzieć, dlaczego w styczniu tego roku przez 11 dni trzymali migrantów na statku koło Lampedusy. Co więcej, przesłuchiwać ich będzie prawniczka Salviniego, senator Giulia Bongiorno, kto wie, czy nie najwybitniejsza przedstawicielka włoskiej palestry. Bystra i złośliwa jak mało kto. Będzie się działo. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Kaczyński walczył w powstaniu?

Rekonstrukcja, a zwłaszcza jeden z ministrów, wywołała w mediach prawdziwą lawinę komentarzy. Zacznijmy od czegoś sensownego. „Skandowanie »Czarnek do wora, wór do jeziora« nie było ani mądre, ani dobre. Wiem, że na marszach ONR śpiewa się »A na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści/syjoniści« i że nikt już nie zwraca na to uwagi. Ale to chyba nie jest wyścig" – przyznała Kalina Błażejowska z „Tygodnika Powszechnego".

Teraz dla równowagi tweet z mniejszą zawartością sensu. „Nie było mądre, ale oczekiwanie od studentów, że przyjdą z tęczowymi flagami śpiewać »Gaudeamus«, jest chyba naiwnością. Możemy z nimi o tym rozmawiać, ale to z pewnością nie jest powód, by się od nich odwracać, bo protestują w słusznej sprawie" – tłumaczył Michał Bilewicz. Zawodowo wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, zajmujący się uprzedzeniami i językiem nienawiści.

À propos szacunku dla ludzi i języka, który nie wyklucza. „Główny Inspektor Pinkas wraz z delegacjami sanepidów modlili się na Jasnej Górze o ustąpienie pandemii. I nie jest to ani żart Janusza Głowackiego, ani skecz Woody'ego Allena, ani nic z Mrożka. Drodzy nieudacznicy z PiS, zamiast zawracać głowę Matce Boskiej, weźcie się do roboty!" – zakrzyknął dziennikarz Przemysław Szubartowicz. „Ale beka. Ludzie wierzący wierzą, że modlitwa ma moc sprawczą. Szok. Taki jak ten, kiedy kilka razy w roku okazuje się, że papież jest przeciwnikiem aborcji" – odpowiedziała mu celnie Zuzanna Dąbrowska.

A teraz czas na kącik dochodzeniowo-śledczy z życia opozycji. „Na stronie premier.gov.pl info – Jarosław Kaczyński w 1944 brał udział w Powstaniu Warszawskim, a urodził się w 1949! Nieprawdopodobne, a jednak!" – ujawnił Dariusz Joński, który starał się nie zauważyć, że akapit z '44 odnosił się do ojca braci Kaczyńskich, Rajmunda. Od czego ma się jednak przyjaciół? „Darek, na Twoim miejscu to o dacie wybuchu Powstania Warszawskiego bym się do końca życia nie wypowiadała..." – przypomniała mu wpadkę z „Powstaniem w 1988 r." Anna Maria Żukowska. Na tym dyskusja się skończyła. ©℗

eprasa.pl a27c412366

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Czwarta brygada

Grzegorz Puda w resorcie rolnictwa to nominacja mniej więcej taka, jakby mianować Jerzego Ziębę ministrem zdrowia albo Joannę Scheuring-Wielgus prymasem. Trudno ocenić, co zadecydowało o powierzeniu mu resortu. Chęć wymierzenia rolnikom siarczystego policzka i pokazania im, że gdy Komendant raz zdecydował, iż dobrostan zwierząt ważniejszy jest od dobrobytu wieśniaków, to „wielmożność woli swej okaże" i nikt nic nie ma do gadania? Fakt, że „w tak pięknych okolicznościach przyrody" wszyscy inni kandydaci odmówili? A może teka ministra ma być nagrodą za bezwzględne oddanie prezesowi, okazane podczas ekspresowego przepychania przez Sejm jego „piątki dla zwierząt"? Jeśli tak, to Pudę nagrodzono usadzeniem na beczce prochu z krótkim i już podpalonym lontem. Ale może wie o tym i liczy, że w ten sposób poleci w górę?

Jedno jest pewne – Puda nie zamierza się z rolnikami jednać ani im ustępować. Wywiad, którego na inaugurację swego ministrowania udzielił Polskiemu Radiu, utrzymany był w tonie, na jaki chyba żaden przedstawiciel władzy w Polsce nie pozwalał sobie od czasu Jerzego Urbana: „Nasze stanowisko jest niezmienne", „Osobiście nie znam nikogo, kogo stać na futra", „70 proc. Polaków popiera nasze działania" itd. Zwłaszcza słowa, że „fanaberia małej grupy osób nie może dominować polityki rządu", mają szansę wejść do skarbca „skrzydlatych słów" PiS obok takich fraz jak „w żadnym trybie" czy „kiedy powierzaliśmy stanowiska fachowcom, to oni nie chcieli realizować naszej polityki".

W szerszym aspekcie awans niedawnego menedżera bielskiej restauracji Wirtuozeria nie jest jedynym znakiem zachodzącej w PiS zmiany. Coraz ważniejsi stają się w nim ludzie, którzy bez cienia wstydu podlizują się Jarosławowi Kaczyńskiemu w wywiadach, nie tając, że wszystko zawdzięczają jemu i że, jak ten facet z „Misia", gotowi są zaśpiewać wszystko.

Kto pasjonuje się historią, ten łatwo zauważy, że z poprzednią sanacją było podobnie. Wtedy mówiło się na takich „czwarta brygada". Wszyscy wiedzą, ale na wszelki wypadek wyjaśnię – w Legionach były tylko trzy. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Za dalekie peryferie

Papież Franciszek odmówił przyjęcia na audiencji amerykańskiego sekretarza stanu, Mike'a Pompeo. Arcybiskup Paul Gallagher, sekretarz do spraw relacji z państwami Stolicy Apostolskiej, chętnie potwierdził sugestię dziennikarzy, że chodzi o uniknięcie „instrumentalnego" wykorzystania papieża przez administrację Trumpa. Można snuć różne domysły na temat cudzych intencji, na przykład można zakładać, że „przyjaciele papieża", Eugenio Scalfari czy Dominique Wolton, chcą bezinteresownie wspierać ewangelizację. Albo można z Rodem Dreherem narzekać, że Donald Trump jest „rubasznie wulgarny", „zawzięcie napastliwy" itd. Od założeń i narzekań ważniejsze są jednak fakty, materialna prawda.

Trump jest pierwszym prezydentem, który przemówił do uczestników Narodowego Marszu Życia. Wcześniej wstrzymał finansowanie organizacji aborcyjnych na świecie, co konkretnie ratuje ludzkie życie. Cały czas chce obalić aborcyjną większość w Sądzie Najwyższym i właśnie do niego desygnował Amy Coney Barrett, znakomitą konserwatywną sędzię, przekonaną katoliczkę i matkę siedmiorga dzieci. Jeśli sędzia Barrett uzyska aprobatę Senatu, to będzie pierwszą w Sądzie Najwyższym matką dzieci w wieku szkolnym; a to chyba nie tylko ciekawostka, lecz także wspaniały przykład obalania barier społecznych!

Stanowisko watykańskiego Sekretariatu Stanu w wyborach amerykańskich jest już w kampanii wykorzystywane i komentowane. Niestety więc jest to kolejny – choć nie tak drastyczny jak porozumienie z Chinami komunistycznymi, zawarte kosztem podziemnego Kościoła – przykład niesolidarności z zaangażowanymi katolikami, w tym wypadku amerykańskimi, wspierającymi (dla wyżej wskazanych względów) prezydenta Trumpa. Taka jest, niestety, nieunikniona konsekwencja opcji preferencyjnej na rzecz establishmentu. Oczywiście, jej długofalowych kosztów nie będą ponosić dostojnicy tę politykę realizujący, ale autorytet Kościoła i kolejne pokolenia wiernych. ©℗

eprasa.pl a27c412366

FOT. PAWEŁ GROMADA

ROZSTAŃ CZAS

News tygodnia! Muzyk Baron rozstał się z pisarką powieści erotycznych Blanką Lipińską. Ta ostatnia wyjechała w związku z tym na samotne wakacje do Egiptu, skąd relacjonuje, jak bardzo ma złamane serce. Baron został w Warszawie i poskarżył się właśnie, że w związku z informacją o rozstaniu ktoś zaczął podszywać się pod niego na popularnym portalu randkowym. „Wydawało mi się, że poznałem już dno Internetu. Okazuje się, że ten poziom absurdu jest poza moją świadomością" – napisał oburzony na swoim Instagramie. Dokładnie tak samo czują się ci, którzy obserwują profile Barona w mediach społecznościowych. Te prawdziwe, nie fake'owe.

ROZWÓD Z ROZUMEM

Aktor Jacek Borkowski pochwalił się w tabloidzie, jaki jest cwany i sprytny. Opowiedział, jak skutecznie oszukał Kościół, aby unieważnić swoje pierwsze małżeństwo. Otóż miał zaproponować swojej byłej żonie, by w uzasadnieniu napisała, że okazał się gejem. – Moja była żona bardzo starała się o rozwód kościelny. Mnie na tym nie zależało, bo jestem niewierzący. Pamiętam, że te procedury bardzo długo trwały. Dostaliśmy rozwód kościelny po siedmiu czy ośmiu latach od rozwodu w sądzie. Pamiętam, że żona zadzwoniła do mnie i zapytała, co może napisać w uzasadnieniu. Stwierdziłem, że może napisać, co chce, a najlepiej niech napisze, że jestem gejem, to od razu dadzą nam ten rozwód – wyznał Borkowski. Czytając te wynurzenia, można odnieść wrażenie, że rozwód to on wziął dużo wcześniej, ale z rozumem. Może to wpisała jego była żona w uzasadnieniu?

W LESIE

Wokalistka Margaret opowiada o tym, jak postanowiła zmienić swoje życie. Pretekstem okazała się pandemia. Celebrytka spakowała się i przeprowadziła do lasu, gdzie – o zgrozo! – nie ma nawet dostępu do Internetu. Mówi, że bardzo jej się ten stan podoba. – Mieszkam w lesie. Jak na razie bez Internetu. Kiedy potrzebuję coś zrobić w sieci, to jadę do wsi obok, bo tam jest dobre LTE. Od niedawna mam prąd, ale jak kręciliśmy teledysk, to jeszcze go nie było. Mieszkam w tej holenderce, która jest na teledysku; jak było cieplej, to spałam w namiocie. To jest wszystko true story – mówi. Dodaje, że bardzo jej brakowało takiego prostego życia, choć przez długi czas nie była tego świadoma. – Co ciekawe, okazało się, że jak nie jestem tak przebodźcowana, to introwertyzm ustępuje. Żadnych lęków społecznych, nawet krótki small talk się wydarza od czasu do czasu z panią sklepową – pochwaliła się. Cieszymy się jej szczęściem. I swoim też. Bo dzięki temu zmniejszyła się suma bredni krążących po świecie. Niby mała rzecz, a cieszy.

BEZSTRESOWE WYCHOWANIE

FOT. MARIA LAURA ANTONELLI/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Weronika Rosati znów opowiedziała o tym, jaką jest matką i jak wychowuje swoją trzyletnią córkę Elizabeth. Z wcześniejszych wywiadów wiemy już, że chodzi z nią po muzeach, zaznajamia z klasyką kina i rozmawia z nią głównie po angielsku. Teraz w rozmowie z „Galą" zdradziła, że jest zwolenniczką bezstresowego wychowania. „Przede wszystkim wychowuję Elę bezstresowo. Wszyscy uważają, że dałam jej sobie wejść na głowę, ale ja myślę, że w życiu czeka ją jeszcze wiele trudnych momentów. Chcę, by miała cudowne dzieciństwo, pełne miłości i beztroski. Chcę jej dać poczucie, że jest kochana" – opowiada celebrytka. Dodaje też, że wszędzie zabiera córkę ze sobą i nie lubi się z nią rozstawać. „Moim zadaniem jest sprawić, by miała poczucie, że jest kochana ponad wszystko. Wiem, jak wielkie daje to poczucie własnej wartości" – deklaruje. Jeśli córka wielkość ego odziedziczyła po mamie, to na pewno nie będzie narzekać na brak poczucia własnej wartości. To inni mogą narzekać. Na jego nadmiar. ©℗

eprasa.pl a27c412366

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pozdro z kwarantanny. Na własnej skórze właśnie doświadczamy stygmatyzacji i dzielenia ludzi na tych, którzy mogą wychodzić z domu, a którzy nie. Skoro już opresyjne państwo zamyka nas w naszych modnych osobówkach na przedmieściach, to jednocześnie powinno chyba maksymalnie zatroszczyć się o nasz komfort, prawda? Dlaczego więc nie dostaniemy jakiegoś specjalnego abonamentu na Netflixa, dostawy darmowego sushi i piwerka ze sprajtem?

Poza tym zwróćcie uwagę, jakie to niesprawiedliwe: jeśli ktoś ma dom, to może sobie wyjść do ogrodu, a w wielkich miastach, żyjąc na modnym strzeżonym osiedlu, można sobie co najwyżej wyjść do przedpokoju.

Dlatego postulujemy, iżby na czas kwarantanny znacjonalizowano domy jednorodzinne, aby nikt nie miał lepiej od innych, iż to przemoc ekonomiczna i dyskryminacja.

Dotarła do nas informacja o przyznaniu kolejnej literackiej nagrody Nike i poczuliśmy pewien dyskomfort. No bo pomyślcie sami, czy nazwa nagrody licuje z powagą literatury?

Nie czaimy do końca, czy chodzi tu o jakieś kwestie sponorskie, PR czy marketing, ale no, kaman, są jakieś granice chyba? Jak by to wyglądało, gdyby konkurs pianistyczny imienia znanego francuskiego kompozytora nagle nazwać imieniem Adidasa?

Albo gdyby Nagrodę Nobla sponsorował Reebok? Nie no, serio, trochę opamiętania!

Mamy w ogóle problem z tymi wszystkimi nagrodami, iż w większości przypadków ich nazwy są rodzaju męskiego. Spójrzcie, mamy np. Oscary i Fryderyki.

W dodatku są też: Orły, Złote Niedźwiedzie, Złote Lwy i ewentualnie jedna jedyna Złota Palma. A skąd wiadomo, iż to nie Orlice, Niedźwiedzice oraz Lwice?

Jeżeli tropimy tyle przykładów dyskryminacji językowej i jesteśmy w stanie je już całkiem prawidłowo identyfikować, to może najwyższy czas, iżby się ktoś tym zajął?

A najlepiej, jeśli nazwiemy nagrody: Złota Lwoosoba, Złota Niedźwiedzioosoba, Oscara/Oscar, Fryderyka/Fryderyk. Będzie tolerancyjnie i bez przemocy językowej!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wirusa trzeba zlikwidować

Mateusz, bardzo mi ten wirus przeszkadza.
Rozumiem cię, Jarku. Mnie też.

Nie, nie rozumiesz. Muszę przy ludziach tę maskę nosić, a tu mnie uwiera, tu mam obtarte... Musimy się tym zajmować, a są ważniejsze sprawy. Tych futrzarzy trzeba zamknąć...
Mam kazać szykować miejsca w aresztach?

Oj, nie w tym sensie jeszcze. Zamknąć im działalność. A tu rozumiesz – oni będą protestować, trzeba będzie policję wysłać, żeby egzekwowała reguły epidemiczne, awantura się zrobi, że wolność gwałcimy...
Może jakieś rozporządzenie zrobimy, zakazujące krytykować policję?

Nie, ja nie o tym myślę. Nie można by jakoś... Bo ja wiem? Zrobić takiego rozporządzenia, żeby ten wirus zlikwidować?
Ale że jak?

Normalnie. „Z dniem tym i tym stwierdza się zakończenie epidemii..." czy coś w ten deseń.
No ale... Przecież wirus od tego nie zniknie? Chyba.

To ja całe życie walczę z imposybilizmem, a tym mi teraz takie rzeczy mówisz? ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Dziś rocznica śmierci Che Guevary. Bohatera Kuby, rewolucjonisty i jednego z przywódców rewolucji kubańskiej! Chwała bohaterom!"

JUSTYNA KLIMASARA, *działaczka SLD, na Twitterze*

eprasa.pl a27c412366

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Uwaga, zapowiadamy bardzo ciekawy tydzień! Chyba najciekawszy od czasu wybuchu afery taśmowej. Tyle możemy powiedzieć. Będzie się działo, będzie zabawa.

Szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński (SWP) będzie, jak wiadomo, urzędował teraz w Al. Ujazdowskich, a nie przy Nowogrodzkiej. Co mówi się o tym w PiS? Przeważa opinia, że gabinet będzie lepiej nasłoneczniony, a posiłki bardziej regularne. Zgadza się, pomieszczenia w KPRM są wysokie, stołówka zaś karmi dobrze. Ot, taka dyktatura codzienna.

W związku z przeprowadzką cały wysiłek na nic! Wysiłek tygodnika „Polityka", który długo smażył, aż wreszcie wysmażył dzieło „Brązowy Dom od kulis" o tajemnicach Nowogrodzkiej akurat wtedy, kiedy stały się już tajemnicami Ujazdowskich. Co za pech. Doceniamy za to inwencję. „Brązowy Dom" dlatego, że niby-brunatny, jak koszule chłopaków Adolfa. Czyli że SWP Kaczyński jest jak Hitler.

Krzepcy chłopcy z „Polityki" znają się na totalitaryzmach. To w końcu dawny organ prasowy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. A teraz organ prasowy Polskiej Rozsypanej Opozycji Totalnej (PROT?). Organy PZPR słynęły, jak wiadomo, z dość dowolnego podejścia do prawdy. Wiele się nie zmieniło. Na przykład nikt nie nazywa siedziby PiS „Brązowym Domem". Dosłownie nikt. Od kiedy jednak takie drobiazgi przeszkadzają w robieniu gazety?

Inna ważna wiadomość. Jeśli ktoś myśli, że kryzys w koalicji rządowej się skończył, to jest, jak mawiał klasyk, w mylnym błędzie. Ogólnie rzecz biorąc, podpisane w świetle kamer porozumienie koalicyjne dotyczyło wyłącznie podziału stref wpływów. Tak, mały Teheran lub Jałta. Jednak wynegocjowanie układu poczdamskiego trwa i jeszcze trochę zajmie.

Dla Igi Świątek gratulacje z okazji wyczynów na kortach Roland Garros. Dla innych trzeźwiące opowieści. Niestety wiemy, ile wyrzeczeń do tej pory ten sukces dziewczynę kosztował. Był to typowy sukces po polsku, to znaczy teraz ma wielu ojców, a wcześniej było przez całe lata zaciskanie zębów i żebranie o każdy grosz. Cieszy nas, że dziewczyna ma wreszcie szansę spłacić długi zaciągnięte po to, by ten sukces odnieść. Iga, trzymamy za Ciebie kciuki!

Piszemy o tym, by uświadomić, że w polskim sporcie wciąż najważniejsi są działacze. Polscy sportowcy zwykle osiągają zaś sukces nie dzięki działaczom, ale najczęściej wbrew nim. Z tego powodu liczymy, że nowy szef polskiego sportu wicepremier Gliński zadba o kulturę fizyczną nie mniej niż o kulturę i sztukę.

Ciekawa rzecz – zasłużeni luminarze kultury tudzież artyści scen polskich walczą z PiS tylko na pokaz. Po cichu opowiadają, że Glina (czytaj prof. Gliński) jest najlepszym ministrem kultury po 1989 r. „Nigdy tego nie powiem u siebie w teatrze, bo mnie zaszczują – rzekł pewien luminarz prywatnie – ale gdyby nie Glina, tobyśmy zdechli z głodu w pandemii". Jakoś nas nie dziwi ta opinia. Wszak Rafcie Czajkowskie, dulczessy gdańskie i inni wolą wydawać kasę na strefy relaksu z palet.

Pamiętamy, jak 15 lat temu było z Romanem. Ministrem edukacji. Publicznie trzeba go było obsobaczać, tak jak „Wyborcza", ale prywatnie nauczyciele mówili: równy gość, zlikwidował masę niepotrzebnych formularzy itd. Cóż. Roman się całe życie dobrze zapowiadał, aż się zaczął zapowiadać źle. Czego nie życzymy Glinie.

Apropos Rafcia Czajkowskiego vel Trzaskowskiego. Bardzo nas cieszy ogłoszenie daty oficjalnego powołania Nowej Solidarności. 17 października 2020 r. Piękny dzień. Dokładnie setna rocznica założenia Indyjskiej Partii Komunistycznej. Jednak jest jedna istotna różnica między Indyjską Partią Komunistyczną a Nową Solidarnością. IPK występowała przeciw kolonizatorom z Zachodu. Inicjatywa Rafcia Czajkowskiego – odwrotnie.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Słyszeliśmy z paru źródeł, że decyzja o zmianie nazwy Platformy Obywatelskiej to już właściwie zapadła. Są z tym jednak dwa problemy. Pierwszy: główni zwolennicy zmiany są ze zwaśnionych obozów, więc ciężko idzie dogadywanie się. Drugi: nikt nie ma zielonego pojęcia, na jaką właściwie nową nazwę należałoby się zdecydować.

Jak opowiadają wiewiórki, proces rebrandingu PeŁo został znacznie przyspieszony przez PiS. A dokładnie przez działania w sprawie Sławka N., ksywa Lolo Pindolo, specjalisty od zegarków, Ukrainy, torów oraz bycia funflem Donalda. Ludzie w PeŁo wiedzą dobrze, że sprawa ma charakter rozwojowy. No i wszyscy wolą, żeby CBA zatrzymywało działaczy jakieś nieistotnej, dawno już nieistniejącej partii.

Na koniec o epidemii. Sprawa poważna, wbrew negacjonistom. Tak poważna, że w Ministerstwie Zdrowia zakazano wszystkim pracownikom rozmowy z kimkolwiek o czymkolwiek. Jedyne okno na świat to konferencje codzienne z bilansem zakażeń i ofiar. Znamy też wiosenne plany punktowych bardzo rygorystycznych lockdownów przygotowane w rządzie. Wtedy się nie przydały, ale teraz będą jak znalazł. Więc ostrzegamy negacjonistów: doigracie się!

Żeby strach przemieszać z uśmiechem, cytacik z wypowiedzi naszego ulubionego wirusologa prof. Guta. Pytany, jak skomentuje noszenie maseczek zasłaniających jedynie usta, a odsłaniających nos, odparł: „To tak, jakby zakładać prezerwatywę tylko na jaja". Było to live, było to w prawdziwych mediach. Szacun i kurtyna. ©℗

eprasa.pl a27c412366

Maseczki i bałagan w przepisach

Z Magdaleną Bilicką, prawnikiem, specjalistką w kancelarii prawnej Grant Thornton
rozmawia Agnieszka Niewińska

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Mają być kary za brak maseczek, a sądy uznawały już, że nakaz ich noszenia został wprowadzony z naruszeniem konstytucji. O co w tym chodzi?

MAGDALENA BILICKA: Taki nakaz musi mieć podstawę w ustawie bądź rozporządzeniu wydanym na podstawie ustawy. Ministerstwo Zdrowia pytane o podstawę prawną obowiązku zakładania maseczek wskazuje na ustawę z dnia 5 grudnia 2008 r. o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi. Sęk w tym, że w tej ustawie jest mowa o tym, iż rozporządzenie wydane na podstawie tej ustawy może regulować ograniczenia, takie jak noszenie maseczek, wobec osób chorych lub podejrzanych o zachorowanie.

Rozporządzenie mamy.

Tylko problem polega na tym, że Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 7 sierpnia 2020 r. w sprawie ustanowienia określonych ograniczeń, nakazów i zakazów w związku z wystąpieniem stanu epidemii mówi o powszechnym obowiązku noszenia maseczek, a nie tylko w odniesieniu do osób chorych i podejrzanych o zachorowanie – jak czytamy w ustawie. To prawny zgrzyt, bo rozporządzenie nie powinno wychodzić poza granice ustawy. To rodzi kolejne pytania. Skoro obowiązek nałożony został rozporządzeniem wydanym bez podstawy prawnej, to czy ktoś, kto łamie rozporządzenie, łamie prawo? Czy zatem policjant ma prawo nałożyć mandat za złamanie obowiązku, skoro robiąc kilka kroków wstecz, widzimy, że nie ma on podstawy prawnej? Widać tu duże niedbalstwo w przepisach.

Można nie przyjmować mandatu?

Zawsze możemy odmówić przyjęcia mandatu. Wówczas sprawa zakończy się w sądzie. Nie można jednak mieć pewności, jak orzeknie sąd. To, jak sprawa się skończy, będzie zależało od wielu czynników. Temat jest delikatny. Sąd może na sprawę spojrzeć literalnie i uznać, że rozporządzenie jest nieważne, ale także spojrzeć szerzej i uznać, że cel zapisu z rozporządzenia jest tak istotny, iż mimo zgrzytu prawnego maseczki trzeba nosić.

A co z karą od sanepidu?

Tutaj też są kontrowersje. Sanepid nie ma możliwości weryfikowania, czy obowiązek jest przestrzegany, czy nie. Zazwyczaj dostaje sygnał od policji. A policja nie ma podstaw prawnych ku temu, żeby przekazywać notatki służbowe do sanepidu. Mamy bałagan w przepisach. Kilkakrotnie zwracał już na to uwagę RPO. Nie chcę nikogo przekonywać do tego, że nie trzeba nosić maseczek, bo jestem zwolennikiem ich noszenia, niemniej może szersze dyskusje w mediach sprawią, że rząd zdecyduje się na poprawienie tych przepisów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

POLSKIE KORZENIE
ROSYJSKIEGO IMPERIUM

Opowieść o tych, którzy wyrośli z polskiego pnia i przyszło im budować obce mocarstwo.

- Generałowie
- Odkrywcy i badacze
- Wirtuozi i bohaterowie

Pozytywne i negatywne postacie.

KSIĄŻKA DO KUPIENIA W: WWW.XLM.PL

eprasa.pl a27c412366

Dzięki uchwaleniu tzw. ustawy antyprzemocowej Polska znalazła się w gronie państw, w których pomoc dla pokrzywdzonych jest najskuteczniejsza. Nowe prawo daje policji i Żandarmerii Wojskowej praktyczne i efektywne narzędzia izolowania sprawców, a poszkodowanym poczucie sprawiedliwości i bezpieczeństwa. Ustawa wchodzi w życie już za kilka tygodni

FOT. ADOBE STOCK

Państwo chroni ofiary:

natychmiastowa eksmisja dla sprawców przemocy domowej

eprasa.pl a27c412366

30 kwietnia 2020 r. Sejm niemal jednogłośnie przyjął przygotowaną przez Ministerstwo Sprawiedliwości ustawę o zmianie ustawy Kodeks postępowania cywilnego oraz niektórych innych ustaw, zwaną ustawą antyprzemocową. Poparcie dla nowego prawa wyraziły wszystkie kluby parlamentarne. Za nowymi przepisami głosowało aż 433 posłów, 6 głosowało przeciw, a 6 wstrzymało się od głosu. W maju 2020 r. ustawę podpisał zaś prezydent Andrzej Duda.

Dla ofiar przemocy domowej i osób walczących o ich prawa uchwalenie tej ustawy to decyzja przełomowa, ponieważ w rewolucyjny wręcz sposób zmienia tryb, w jakim w takich sprawach działa wymiar sprawiedliwości.

SPRAWCA ODIZOLOWANY NATYCHMIAST

Celem nowego prawa jest m.in. wprowadzenie do porządku prawnego kompleksowych rozwiązań, dotyczących szybkiego izolowania osoby dotkniętej przemocą od osoby ją stosującej. W szczególności w sytuacji, gdy stwarza ona zagrożenie dla życia lub zdrowia domowników.

To fundamentalna zmiana, ponieważ wcześniej tego typu sprawy ciągnęły się miesiącami, a poszkodowani w wyniku przemocy domowej drżeli o bezpieczeństwo swoje i swoich dzieci.

Dzięki nowelizacji przepisów ofiara nie musi już nagle opuszczać własnego domu i szukać schronienia poza nim, ale to sprawca zostaje usunięty ze wspólnego miejsca zamieszkania.

Jak zauważa wiceminister sprawiedliwości, ustawa „tworzy realne narzędzie pomocy dla ofiar przemocy domowej".

– Dzięki temu Polska stanie się krajem, w którym standard ochrony osób pokrzywdzonych przemocą domową będzie należał do najwyższych – tłumaczył na konferencji prasowej Marcin Romanowski. Zmienione przepisy zapewniają ofiarom nie tylko poczucie bezpieczeństwa, lecz także poczucie sprawiedliwości.

Polska ustawa wzorowana jest na rozwiązaniach stosowanych z powodzeniem w innych krajach Europy, m.in. w Austrii (gdzie policyjny nakaz opuszczenia mieszkania przez sprawcę przemocy obowiązuje już ponad 20 lat), Czechach czy w Hiszpanii.

POLICJA DECYDUJE NA MIEJSCU

Kluczową rolę w stosowaniu przepisów o odizolowaniu sprawcy odgrywa policja, której funkcjonariusze zazwyczaj jako pierwsi trafiają do miejsca, w którym stosowana jest przemoc.

„Ustawa antyprzemocowa" wprowadza nowe przepisy do ustawy o policji (art. 15aa), które stanowią między innymi, że:

„Policjant ma prawo wydać wobec osoby stosującej przemoc w rodzinie w rozumieniu przepisów ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie, stwarzającej zagrożenie dla życia lub zdrowia osoby dotkniętej tą przemocą, nakaz natychmiastowego opuszczenia wspólnie zajmowanego mieszkania i jego bezpośredniego otoczenia, zwany dalej »nakazem«, lub zakaz zbliżania się do mieszkania i jego bezpośredniego otoczenia, zwany dalej »zakazem«".

Co ważne: nakaz lub zakaz mogą być stosowane łącznie. Są one również natychmiast wykonalne.

Policjant w nakazie lub zakazie wskazuje obszar lub odległość od wspólnie zajmowanego mieszkania, którą osoba stosująca przemoc w rodzinie jest obowiązana zachować.

Zgodnie z art. 15ab 1 policjant wydaje nakaz lub zakaz:

1) podczas interwencji podjętej we wspólnie zajmowanym mieszkaniu lub jego bezpośrednim otoczeniu lub

2) w związku z powzięciem informacji o stosowaniu przemocy w rodzinie, w szczególności zgłoszenia przez:

a) osobę dotkniętą przemocą w rodzinie lub

b) kuratora sądowego lub pracownika jednostki organizacyjnej pomocy społecznej, w związku z wykonywaniem ustawowych obowiązków.

Nakaz opuszczenia mieszkania zgodnie z „ustawą antyprzemocową" ma być egzekwowany bez względu na ewentualne twierdzenie sprawcy, że nie ma dokąd się wyprowadzić – łącznie z możliwością użycia przez policjantów i żołnierzy Żandarmerii Wojskowej (w przypadku, gdy sprawcą jest żołnierz w służbie czynnej) środków przymusu.

Policjant informuje osobę stosującą przemoc o adresach placówek zapewniających miejsca noclegowe oraz placówek prowadzących działania korekcyjno-edukacyjne lub programy psychologiczno-terapeutyczne dla osób stosujących przemoc w rodzinie. Rzecz jasna, wskazane miejsca noclegowe nie mogą być placówkami pobytu osób dotkniętych przemocą w rodzinie.

KARY DLA SPRAWCY

Osoba, wobec której policjant lub funkcjonariusz Żandarmerii Wojskowej wydał nakaz opuszczenia lokalu, może zabrać z niego rzeczy osobiste (w tym np. psa lub kota, jeśli jest własnością sprawcy

eprasa.pl a27c412366

przemocy), a także przedmioty służące do świadczenia pracy. W przypadku sprzeciwu osób wspólnie zajmujących mieszkanie przedmioty te lub zwierzęta domowe pozostawia się na miejscu. Dochodzenie roszczeń z tego tytułu odbywa się na zasadach określonych w Kodeksie cywilnym.

Zgodnie z art. 15ae sprawca przemocy w rodzinie ma też obowiązek zostawić w lokalu klucze do wspólnie zajmowanego mieszkania i pomieszczeń jego bezpośredniego otoczenia.

Zabranie kolejnych, zapomnianych przez sprawcę przemocy w rodzinie przedmiotów osobistych jest możliwe tylko jednorazowo i musi nastąpić w asyście policjantów po wcześniejszym uzgodnieniu terminu z osobą dotkniętą przemocą.

Ustawodawca przewidział także, że sprawca przemocy domowej mógł opuścić lokal przed przyjazdem policji. W takiej sytuacji stosowny nakaz policjant lub żołnierz Żandarmerii Wojskowej umieszcza na drzwiach do mieszkania.

Zgodnie z art. 15ai „ustawy antyprzemocowej" w okresie obowiązywania nakazu lub zakazu policja przynajmniej trzykrotnie sprawdza, czy nakaz lub zakaz nie są naruszane, i podejmuje niezbędne czynności. Pierwsze sprawdzenie odbywa się następnego dnia po wydaniu nakazu lub zakazu.

Jeśli sprawca przemocy nie stosuje się do nakazu czy zakazu, to policja lub Żandarmeria Wojskowa mogą zastosować środki przymusu celem wyegzekwowania nałożonego zobowiązania. Ponadto niezastosowanie się do zakazu stanowi wykroczenie, za które grozi kara aresztu, ograniczenia wolności lub grzywny (do 5 tys. zł) – w rozpatrywaniu tego typu przypadków ma być stosowany tryb przyspieszony z Kodeksu wykroczeń.

ZATRZYMANIE W SZCZEGÓLNYCH OKOLICZNOŚCIACH

Policja ma również prawo zatrzymać sprawcę przemocy. Zgodnie ze znowelizowanym art. 15a policjant w celu stwierdzenia zasadności zatrzymania ocenia ryzyko bezpośredniego zagrożenia dla życia lub zdrowia ludzkiego, odrębnie dla osoby dorosłej i dziecka, bierze pod uwagę w szczególności m.in.:

1) akty przemocy fizycznej w rodzinie;

2) wiek osoby dotkniętej przemocą w rodzinie;

3) stosowanie przemocy w rodzinie wobec kobiety w ciąży;

FOT. ADOBE STOCK

4) niepełnosprawność osoby dotkniętej przemocą w rodzinie;

5) zależność osoby dotkniętej przemocą w rodzinie od osoby stosującej tę przemoc ze względu na stan zdrowia lub jej zaburzenia psychiczne;

6) zaburzenia psychiczne sprawcy przemocy;

7) stan osoby stosującej przemoc w rodzinie związany z użyciem, nadużywaniem lub uzależnieniem od alkoholu, środków odurzających lub substancji psychotropowych, środków zastępczych lub nowych substancji psychoaktywnych;

8) kierowanie przez osobę stosującą przemoc w rodzinie gróźb użycia przemocy ze skutkiem bezpośredniego zagrożenia życia lub zdrowia;

9) dostęp osoby stosującej przemoc w rodzinie do niebezpiecznego narzędzia lub broni.

Policjant bierze też pod uwagę informacje o dotychczas stosowanej przemocy lub prowadzonych postępowaniach wobec osoby stosującej przemoc w rodzinie w związku z użyciem przemocy, a także informacje o próbach targnięcia się przez sprawcę przemocy na życie osób wspólnie z nią zamieszkujących lub na własne życie, a także informacje o próbach targnięcia się na własne życie przez osobę dotkniętą przemocą w rodzinie w związku ze stosowaniem tej przemocy.

NOWE PRAWA ŻANDARMÓW

Podczas prac nad „ustawą antyprzemocową" znowelizowano również ustawę z dnia 24 sierpnia 2001 r. o Żandarmerii Wojskowej i wojskowych organach porządkowych. Dzięki nowym przepisom „żołnierze Żandarmerii Wojskowej mają prawo zatrzymać żołnierza pełniącego czynną służbę wojskową stosującego przemoc w rodzinie". W celu stwierdzenia zasadności żołnierz Żandarmerii Wojskowej, podobnie jak policjant, ocenia ryzyko bezpośredniego zagrożenia dla życia lub zdrowia ludzkiego, odrębnie dla osoby dorosłej i dziecka.

Żołnierz Żandarmerii Wojskowej ma również prawo wydać wobec żołnierza pełniącego czynną służbę wojskową, stosującego przemoc w rodzinie w rozumieniu przepisów ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie, stwarzającego zagrożenie dla życia lub zdrowia osoby dotkniętej tą przemocą, zwanego dalej „osobą stosującą przemoc w rodzinie", nakaz natychmiastowego opuszczenia wspólnie zajmowanego mieszkania

eprasa.pl a27c412366

i jego bezpośredniego otoczenia, zwany dalej „nakazem", lub zakaz zbliżania się do mieszkania i jego bezpośredniego otoczenia, zwany dalej „zakazem".

W okresie obowiązywania nakazu lub zakazu Żandarmeria Wojskowa, podobnie jak policja w przypadku cywilów, przynajmniej trzykrotnie sprawdza, czy nakaz lub zakaz nie są naruszane, i podejmuje niezbędne czynności. Pierwsze sprawdzenie odbywa się następnego dnia po wydaniu nakazu lub zakazu. Żołnierzom będącym sprawcami przemocy w rodzinie, podobnie jak cywilom, przysługuje prawo do wniesienia stosownego zażalenia na wydany nakaz lub zakaz do miejscowego sądu rejonowego.

POD KONTROLĄ SĄDU

Nowe przepisy – chociaż zyskały przychylność większości polityków w kraju – wzbudziły protesty niektórych organizacji, argumentujących, że ustawa umożliwi wyrzucanie z domu mężczyzn pomówionych o stosowanie przemocy bez możliwości skutecznej obrony.

NIE JEST TO JEDNAK PRAWDA.

Po pierwsze, ustawa nie rozróżnia płci: jej zapisy powinny być więc stosowane wobec sprawców przemocy domowej, niezależnie od tego, czy sprawcą jest kobieta, czy mężczyzna. Policjant wydający nakaz lub zakaz musi zaś spełnić wiele wymogów formalnych.

Po drugie, składanie fałszywych zeznań pozostaje przestępstwem, za które grozi aż osiem lat pozbawienia wolności.

Po trzecie, w przypadkach, w których decyzja o wydaniu nakazu opuszczenia lokalu lub/i zakazu zbliżania się do wspólnego mieszkania zostałaby wydana przez policjanta lub żołnierza Żandarmerii Wojskowej bez dokładnego sprawdzenia przez policję wszystkich okoliczności sprawy, ustawodawca przewidział stosowną kontrolę sądową. Osoba stosująca przemoc w rodzinie może złożyć do sądu rejonowego zażalenie na wydany nakaz lub zakaz. Sąd musi rozpatrzeć takie zażalenie niezwłocznie, maksymalnie w ciągu trzech dni od jego otrzymania, i w razie stwierdzenia bezzasadności lub nielegalności zaskarżonego nakazu lub zakazu może go uchylić, o czym natychmiast informuje m.in. osobę dotkniętą przemocą w rodzinie, prokuratora oraz właściwą jednostkę policji, a także przełożonego policjanta, który wydał zaskarżony nakaz lub zakaz.

Po czwarte wreszcie, decyzja wydana przez policjanta obowiązuje tylko przez 14 dni, a o jej ewentualnym przedłużeniu decyduje sąd. Sąd może przedłużyć okres obowiązywania nakazu lub zakazu, a także wskazać obszar lub odległość od wspólnie zajmowanego mieszkania, którą osoba stosująca przemoc w rodzinie jest obowiązana zachować.

POMOC DLA POSZKODOWANYCH

„Ustawa antyprzemocowa" pozwala nie tylko na natychmiastową izolację sprawcy przemocy domowej, lecz także ułatwia poszkodowanym otrzymanie pomocy.

Zgodnie z art. 15ag:

Policjant, w przypadku wydania nakazu lub zakazu informuje osobę dotkniętą przemocą w rodzinie m.in. o:

1) możliwości i sposobie złożenia żądania, aby sąd zobowiązał osobę stosującą przemoc w rodzinie do opuszczenia wspólnie zajmowanego mieszkania i jego bezpośredniego otoczenia lub zakazał zbliżania się do mieszkania i jego bezpośredniego otoczenia, o którym mowa w przepisach ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie;

2) obowiązku wszczęcia przez organy ścigania, niezależnie od wydanego nakazu lub zakazu, postępowania karnego w związku z popełnieniem ściganego z urzędu przestępstwa z użyciem przemocy i możliwości stosowania w toku prowadzonego postępowania środków zapobiegawczych, o których mowa w przepisach Kodeksu postępowania karnego;

3) możliwości uzyskania wsparcia we właściwym miejscowo ośrodku pomocy społecznej, specjalistycznym ośrodku wsparcia dla ofiar przemocy w rodzinie i innych placówkach świadczących pomoc ofiarom przemocy w rodzinie.

Policjant musi także poinformować ofiarę przemocy o całodobowym ogólnopolskim telefonie dla ofiar przemocy w rodzinie, możliwości uzyskania pomocy udzielanej przez podmioty, które otrzymały dotacje z Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej – Funduszu Sprawiedliwości (numer Linii Pomocy Pokrzywdzonym to +48 222 309 900), oraz o danych teleadresowych najbliższych siedzib tych instytucji i innych niezbędnych danych kontaktowych.

Dodatkowo w sprawach określonych przez nowe przepisy pisma procesowe będą mogły być doręczane nie tylko przez pocztę, lecz także za pośrednictwem policji, a osoby domagające się zastosowania środków wobec sprawcy przemocy są na mocy ustawy zwolnione z kosztów sądowych. Oznacza to, że osoba dotknięta przemocą domową lub jej przedstawiciel ustawowy mogą skorzystać ze zwolnienia z kosztów sądowych w sprawie o zobowiązanie sprawcy do opuszczenia wspólnie zajmowanego mieszkania i jego bezpośredniego otoczenia lub też zbliżania się do tych miejsc. Dla ułatwienia wniosek taki można złożyć na urzędowym formularzu lub też sporządzić go samodzielnie (w tym przypadku pominięcie urzędowego formularza nie powinno wywoływać żadnych negatywnych skutków).

KROK W DOBRĄ STRONĘ

Przemoc domowa to jeden z największych problemów wielu współczesnych państw. W Polsce – według policyjnych statystyk – każdego roku doświadcza jej aż ćwierć miliona osób, w większości kobiet, dzieci czy osób starszych.

W rzeczywistości ofiar może być jeszcze więcej, bowiem często tak bardzo boją się one sprawców przemocy, z którymi mieszkają pod jednym dachem, że unikają zgłaszania przypadków przemocy organom ścigania. Obawiają się, że po interwencji policji ich oprawca będzie się mścił lub będzie im groził, przez co w obawie o życie własne oraz dzieci będą musiały uciekać z domu.

Dzięki przyjęciu „ustawy antyprzemocowej" – na mocy której znowelizowano przepisy w Kodeksie postępowania cywilnego, a także wprowadzono zmiany do takich ustaw jak ustawa o policji, ustawa o Żandarmerii Wojskowej i wojskowych organach porządkowych, Kodeks wykroczeń, Kodeks postępowania w sprawach o wykroczenia, ustawa o kosztach sądowych czy ustawa o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie – los ofiar przemocy powinien diametralnie się poprawić. Poszkodowani zyskają bowiem pewność, że interwencja policji w sposób definitywny rozwiąże ich problemy, a izolacja sprawcy przemocy pozwoli im wreszcie czuć się bezpiecznie we własnym domu.

Nowe przepisy wchodzą w życie po upływie sześciu miesięcy od dnia ich ogłoszenia, czyli już w listopadzie.

eprasa.pl a27c412366

Rafał A. Ziemkiewicz

TVN: Przewodnia

Realną opozycją wobec Zjednoczonej Prawicy nie są dziś partie, ale koncern medialny. Jednak jego siła nie jest już tak wielka jak dawniej

Natura nie znosi próżni – może nie w każdej dziedzinie życia ta potoczna mądrość się sprawdza, ale w polityce na pewno. Słabość partii tworzących „opozycję totalną" sprawiła, że jej zwolennicy identyfikują się raczej z wyrażającymi ich emocje mediami. Siłą rzeczy to właśnie one wyznaczają pola bieżącego konfliktu i ustalają agendę życia politycznego.

Sama sytuacja nie jest w III RP nowa. Już przed laty Władysław Frasyniuk, ostatni przewodniczący Unii Wolności, narzekał, że na spotkaniach musi się tłumaczyć z artykułów „Gazety Wyborczej" i to właśnie one, a nie nikomu nieznane deklaracje czy oświadczenia zarządu, stanowią dla wyborców program partii. Od tamtego czasu zmienił się tylko hegemon tej części medialnego rynku, którą tworzą ludzie mający poczucie wyższości nad „starszymi, gorzej wykształconymi i z mniejszych ośrodków", regularnie od 2015 r. przegłosowywani i żyjący przez to w poczuciu niesprawiedliwości i jakiejś historycznej aberracji – co nastawia ich przeciwko PiS, Kościołowi i „nacjonalizmowi" (utożsamianemu z patriotyzmem), a każe identyfikować się z obyczajowym progresizmem i Europą. Od dawna już głównym rzecznikiem tych ludzi jest nie, jak za czasów Frasyniuka, „Gazeta Wyborcza", ale telewizja TVN, szczególnie zaś jej publicystyczno-informacyjny kanał TVN24.

ZMIANA WARTY

Ową zmianę wyznaczyło bardzo konkretne zdarzenie – premiera, w maju roku 2008, filmu dokumentalnego „Trzech kumpli" Anny Ferens i Ewy Stankiewicz, wyprodukowanego przez TVN. Dobrze pamiętam pierwszy pokaz, jeszcze przed emisją telewizyjną, w czerwcu 2008 r. w auli warszawskiej Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego i towarzyszące mu zdumienie, że stacja postrzegana jako tuba lewicowo-liberalnych salonów wyprodukowała film w 100 proc. zgodny z narracją „PiS-owską", o nierozliczonych zbrodniach PRL i esbeckim dziedzictwie III RP – a na dodatek w owym filmie jako szczególnie, za sprawą Lesława Maleszki, „umoczona" jawi się „Gazeta Wyborcza".

Obecni na sali przedstawiciele tej ostatniej jeszcze nie rozumieli, co się stało – tradycyjnie zachowywali się butnie i lekceważąco wobec „oszołomów". „Nagrywanie ukrytą kamerą – to brudne i wstrętne", „Dzisiaj każdy może Leszka [Maleszkę] zabić, to marny populizm" etc. Przez następne dwa dni „Wyborcza" jednak milczała, a wreszcie zamieściła wyraźnie starannie zredagowaną recenzję Ewy Milewicz, zawierającą wyrazy skruchy za pozostawienie Maleszki po ujawnieniu jago przeszłości w gronie redakcyjnym i podziękowania dla TVN.

To była zmiana „hierarchii dziobania" – spektakularne pokazanie, że serce nowego, porywinowskiego „układu" bije już nie na Czerskiej, ale na Wiertniczej. Wszystko o polityce stacji mówi to, że mniej więcej w tym samym czasie wyprodukowała także inny film, godzący w najściślej chronione tabu III RP – o współpracy z SB Lecha Wałęsy i kulisach strajku sierpniowego (pokazano w nim między innymi, że płotu, który rzekomo Wałęsa przeskoczył, w ogóle w owym czasie nie było i że do stoczni dostarczyła go motorówka Marynarki Wojennej). Tego filmu jednak stacja nigdy nie pokazała. Użyła go tak, jak kiedyś używano pancerników, które nie musiały wcale wychodzić z portu – mocarstwowość dawało samo ich posiadanie.

Zatrzymanego w archiwach filmu o Wałęsie prawdopodobnie nigdy już świat nie ujrzy – po ujawnieniu „szafy Kiszczaka" zawarty w nim dynamit zwietrzał – ale to niejedyny dowód na to, że dobierając materiały na antenę, TVN kieruje się nie tylko dziennikarskimi kryteriami. Bardzo przejrzysta polityczna gra stała za wprowadzeniem w obieg publiczny reportażu Bertolda Kittela o rzekomej swobodzie, jaką cieszą się pod rządami PiS neonaziści.

eprasa.pl a27c412366

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Siła Opozycji

Pomijając zasadność oskarżeń, jakoby główna część reportażu – „urodziny Hitlera", notabene obchodzone w głębokiej konspiracji na leśnym odludziu, co słabo pasowało do deklarowanej tezy – została przez reporterów TVN zainscenizowana, a jej uczestnicy dostali pieniądze, urodziny Hitlera przypadają w kwietniu, a tymczasem reportaż, który wywołał tyle szumu i szerokim echem odbił się w mediach zagranicznych, pokazał TVN dopiero w styczniu 2018 r., ponad osiem miesięcy po jego nakręceniu.

Wracając do roku 2008 i „Trzech kumpli", warto przypomnieć, w jakim kontekście zapadła decyzja o produkcji i emisji dokumentu idącego pod prąd całej wcześniejszej i późniejszej narracji TVN. Stało się to tuż po odsunięciu od władzy PiS w wyborach roku 2007 – tych, podczas których w wielkich miastach zabrakło kart do głosowania, a zmobilizowani przeciw PiS wyborcy czekali w długich kolejkach. Ta mobilizacja była niewątpliwie zasługą zwalczających PiS mediów. Powtórzyły one sukces telewizji PRL-owskiej, jakim było propagandowe zmęczenie społeczeństwa tak, że większość przyjęła tan wojenny apatią i poddaniem się.

MECHANIZM MEDIÓW III RP

Ten klasyczny dla nas przykład propagandowej skuteczności warto przypominać nieustannie. Mimo że w czasie „karnawału Solidarności" przestępczość spadła do poziomu dużo niższego niż kiedykolwiek wcześniej czy potem w PRL, a akcji protestacyjnych było stosunkowo niewiele i przeważnie nie wiązały się one ze strajkiem, większość żyjących w tamtych czasach Polaków do dziś pamięta go jako czas lęku i chaosu, rozkwitu przestępczości i nieustających strajków. W istocie jest to „pamięć wszczepiona" przez ówczesny „Dziennik Telewizyjny". Osiągnięto ten efekt, nagłaśniając w telewizji każde przestępstwo, każdy konflikt w najmniejszym nawet zakładzie pracy, i okraszając te obrazy korowodem ekspertów straszących „zimnymi kaloryferami" i pustymi hakami, gdy w zdemolowanym przez rozstrajkowanych warchołów z Solidarności kraju zacznie się surowa zima.

Zupełnie identyczny był mechanizm zastosowany przez media III RP przeciwko rządom koalicji PiS-Samoobrona-LPR. W ciągu dwóch lat nagłaśniały one dziesiątki zmyślonych „nadużyć władzy", inkrustując to wyznaniami celebrytów i ekspertów, że się „duszą", że każdego ranka boją się aresztowania i że „atmosfera" rządów PiS jest nieznośna. Tak dzień po dniu tworzono nastrój „zagrożenia dla demokracji" i „dusznej atmosfery rządów PiS", jako ich antytezę przedstawiając głoszoną wtedy przez Tuska zapowiedź „polityki miłości" i życia „fajnego", „jak w Europie". Wielu uczestników debaty publicznej do dziś odwołuje się do rzekomych „nadużyć" czy „nacisków rządów PiS", ubolewając, że te „zbrodnie" – w ich przekonaniu równie oczywiste jak dla partyjno-mundurowych „chaos" i „przygotowania do wojny domowej" pierwszej Solidarności – nie zostały rozliczone, i uznając to za „ogromne zaniechanie" PO i Tuska.

To bardzo niesprawiedliwy zarzut, PO zrobiła wtedy, co mogła, aby nadążyć za mediami, które dały jej władzę – powołała dwie specjalne komisje sejmowe, a prokuratura pod jej kontrolą starannie rozpatrzyła 67 doniesień o przestępstwie, które przy medialnym nagłośnieniu do niej złożono, niektórych uczestników wydarzeń przesłuchując po kilkanaście razy. I właśnie w ten sposób niechcący dowiodła, że cała ta propaganda, w której TVN wiódł prym, była wyssana z palca. Pięć kolejnych wyroków sądowych dało pewność, że śmierć Barbary Blidy (rozgrywana ówcześnie propagandowo identycznie jak teraz śmierć Pawła Adamowicza) nie była skutkiem „zaszczucia" ani żadnych nadużyć, ani w ogóle samobójstwem, tylko tragicznym skutkiem nieudolnej próby samookaleczenia, a prace komisji kierowanej przez Andrzeja Czumę zaś – że wszystkie rzekome „naciski" i „nadużycia" zostały sfabrykowane.

Po tym swoistym dowodzie uznania trudno się dziwić, że TVN zapragnął odegrać większą niż dotychczas rolę i spektakularnie odsunął od „rządu dusz" przetrąconą „aferą Rywina" michnikowszczyznę. Przez osiem kolejnych lat sztandarowe programy informacyjne TVN nadawały codziennie trzy te same „wiadomości", różnie je tylko formułując: „kolejny wielki sukces władzy – Europa podziwia

eprasa.pl a27c412366

Tuska i polskie sukcesy", „znowu wielka kompromitacja prezydenta/prawicowej opozycji – Europa i świat śmieją się z Kaczyńskich i polskiego zaścianka" oraz „pod rządami Tuska Polska jest coraz bardziej fajna".

Wszystko to robiono w błogim przekonaniu, że rządy liberalno-lewicowych elit są całkowicie niezagrożone, a prawica „wymrze jak dinozaury", ponieważ – jak otwarcie sformułował to Bartłomiej Sienkiewicz, wtedy jeszcze w roli analityka – „Tusk trafnie rozpoznał układ sił w państwie i skutecznie się weń wpisał". W istocie była to trafna analiza, nie brała pod uwagę tylko jednego – że dla Tuska rządzenie Polską to zaledwie pośredni etap kariery i że zostawiając swych zwolenników na lodzie, ucieknie on nagle do Brukseli i pozostawi dziedzictwo w rękach celowo dobranych miernot.

FAKE NEWSY I EKSPERCI

Nie pomogło nawet zmyślenie przez TVN24 w ostatniej chwili przed ciszą wyborczą rzekomego zamachu na życie walczącego o reelekcję Bronisława Komorowskiego. O ile jednak PO po bolesnym upadku nie zdołała się pozbierać do dziś, TVN katastrofę roku 2015 zniósł dość gładko – jej śladem pozostał tylko żart o tym, jak po wyborach szef stacji poleca swoim dziennikarzom nadrobić braki w bezstronności: „Osiem lat krytykowaliśmy tylko opozycję, od dziś będziemy krytykować tylko rząd".

Natychmiast po wyborach stacja zaczęła rozkręcać kolejne histerie, począwszy od zmyślonych „kilometrówek Dudy" (rzekoma afera polegała na odkryciu, że kiedy prezydent był jeszcze posłem, korzystał z bezpłatnych biletów i noclegów). Wiatru w żagle nabrała przy sprawie Trybunału Konstytucyjnego, która, jak wówczas wierzono, miała doprowadzić do przyśpieszonych wyborów i powrotu poprzedniego układu. Bez TVN pierwsza manifestacja KOD pod siedzibą TK miałaby mizerne rozmiary i prawdopodobnie historia tego ruchu potoczyłaby się jeszcze bardziej żałośnie. Przypomnijmy, że TVN24 od samego rana podgrzewał wtedy atmosferę wyindukowanymi newsami o podłych zamiarach rządu, a potem relacjonował protest na bieżąco tak skutecznie, że gdy marsz dotarł pod Sejm, był już dwa razy liczniejszy niż na początku.

Szkoda czasu i miejsca, by wyliczać kolejne nakręcane przez TVN histerie. Zdroworozsądkowe rozporządzenie ministra, upraszczające formalności niezbędne do wycięcia na własnej działce drzewa, stało się pretekstem do wielkiej kampanii o rzekomym wycinaniu przez PiS całych lasów – ilustrowanej zdjęciami sprzed lat i z wycinek deweloperskich, niemających nic wspólnego z rozporządzeniem. Może najbardziej wyrazistym przykładem pozostaje rozpętanie „czarnych protestów" – społeczny projekt zakazu aborcji eugenicznej przedstawiono jako rządowy, strasząc nigdzie w nim nieumieszczonymi zakazami badań prenatalnych czy kar i śledztw prokuratorskich za poronienie. Ten sam mechanizm stosował potem TVN kilkakrotnie, na przykład społeczny projekt ustawy antypedofilskiej przedstawiając jako rzekomy „rządowy zakaz edukacji seksualnej". Katalog produkowanych na Augustówce fake newsów jest długi. Ale też trzeba przyznać, że polega on na własnych pracownikach i rzadko „agreguje" fake newsy innych mediów antypisowskich. W programach TVN zachowano na przykład powściągliwość wobec samospalenia Piotra Szczęsnego czy otrąbionej przez „Wyborczą" „afery Srebrnej", i w ogóle większości „afer" prokurowanych przez media Agory i RASP (choć te podchwytują każdy news TVN, co jasno pokazuje, że ustalona w 2008 r. „hierarchia dziobania" pozostaje aktualna).

Regularnym emocjonalnym paroksyzmom wokół kolejnych fake newsów towarzyszy stały informacyjny szum produkowany przez doborowe grono stałych ekspertów, nieodmiennie, dzień w dzień konstatujących, że Polska stacza się ku faszyzmowi i „polexitowi", jest tak samo jak za komuny, tak samo jak w III Rzeszy, jak w Korei Północnej etc. Jedną z wizytówek stacji pozostają rozmowy obecnej w niej od samego początku Moniki Olejnik, twórczyni całej charakterystycznej dla mediów III RP sztuki wywiadu nastawionego nie na rozmowę z gościem, ale na wpojenie widzowi, co o gościu i o poruszanych w rozmowie sprawach powinien myśleć – także środkami niewerbalnymi, miną, tonem głosu, mową ciała i oczywiście charakterystycznym dla Olejnik ciągłym przerywaniem „niesłusznym" gościom i strofowaniem ich. Inną jest prowadzone przez Marcina Mellera „Śniadanie mistrzów", stanowiące porażający pokaz oderwania od realnego świata i wyższościowych urojeń bywalców salonów.

Swoistym hołdem PiS złożonym sile TVN było to, że po pośpiesznym – z racji potrzeb toczonej wtedy wojny o Trybunał i próby wzniecenia niepokojów, które miały doprowadzić do powtórzenia wyborów – przejęciu mediów państwowych TVP została szybko przekształcona w anty-TVN, działający według mniej więcej tych samych schematów, wypracowanych jeszcze przez założyciela stacji Mariusza Waltera (w 1983 r. polecanego zachowanym w archiwach IPN listem przez Jerzego Urbana Czesławowi Kiszczakowi jako najlepszy kandydat do przygotowania planowanego programu telewizyjnego Służby Bezpieczeństwa) oraz Milana Suboticia, zdemaskowanego po latach jako tejże służby tajny współpracownik.

ZAMKNIĘCI W BAŃCE

Nie wdając się w decyzje, na ile fachowo to zrobiono, propaganda anty-TVN w dużym stopniu zneutralizowała wpływ tej stacji. Powtórzenie sukcesu lat 2005–2007 jest dziś niemożliwe, TVN oddziałuje bowiem już tylko na swoją „bańkę". Najwyraźniej jednak czerpie z tego znaczne profity, bo nadzieje PiS, że przejęcie ITI przez firmy amerykańskie (najpierw Scripps Network, później Discovery) w najmniejszym stopniu nie stępiło politycznego zaangażowania TVN. Z jednym tylko wyjątkiem: gdy w zainteresowaniu znajdują się sprawy polsko-amerykańskie, TVN, w przeciwieństwie do innych mediów antyrządowych, komentuje je jednym głosem z TVP Info.

Co gorsza, przejęcie „głównej partii opozycyjnej" – jak mówią o TVN politycy PiS – przez Amerykanów odebrało PiS szanse jakiegokolwiek wpływu na wrogą jej telewizję. Gniewne karcenie przez ambasador Mosbacher (skądinąd osobistą przyjaciółkę prezesa Discovery, Davida Zaslava) planów „dekoncentracji mediów" nie pozostawia wątpliwości, że choć stacja ta jest ideowo polskim odpowiednikiem zwalczanej przez administrację Trumpa CNN, to dla Amerykanów jest to przede wszystkim korporacja amerykańska, której interesów polskiemu rządowi naruszyć po prostu nie wolno.

Na pociechę dodać można tylko to, że układ, w którym realną opozycją wobec rządów PiS nie są partie polityczne, tylko koncern medialny, zainteresowany nie wygraniem wyborów, ale zmaksymalizowaniem zysków czerpanych z obsługiwania emocji upadłych elit III RP, ma swoje plusy. I może jest to jedna z przyczyn, dla której mimo cyklicznych medialnych histerii PiS wygrywał kolejne wybory, zwiększając swój stan posiadania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

Na pomoc pokrzywdzonym. Jak Fundusz Sprawiedliwości wspiera ofiary przestępstw

Fundusz Sprawiedliwości wspiera wszystkie ofiary przestępstw, ich najbliższych, a także świadków przestępstw. Fundusz dla ofiar przestępstw finansuje m.in. pomoc medyczną, rehabilitacyjną oraz materialną (np. pomaga w sfinansowaniu przejściowych problemów ze zobowiązaniami czynszowymi).

Dzięki przeprowadzonej za rządów Zjednoczonej Prawicy reformie Fundusz uzyskał nowe możliwości udzielania pomocy na szeroką skalę. Powstała m.in. licząca 351 miejsc sieć punktów pomocy, do których mogą zgłaszać się poszkodowani. Zatrudnieni w nich specjaliści mogą zorganizować m.in. pomoc prawną, zapewnić wsparcie psychologa, tłumacza i tłumacza języka migowego, a także pomóc w napisaniu różnego rodzaju pism i wniosków.

FOT. ADOBE STOCK

Fundusz Sprawiedliwości realizuje wiele projektów, aby wesprzeć osoby pokrzywdzone w przestępstwach. Tylko w tym roku przeznaczył na ten cel kilkadziesiąt milionów złotych

WSZECHSTRONNA POMOC

W przypadku ofiar przemocy domowej, a także przemocy fizycznej i psychicznej Fundusz Sprawiedliwości oferuje pomóc w znalezieniu bezpiecznego schronienia, może także pokryć koszty żywności, zakupu odzieży, obuwia, środków czystości etc., a także koszty opieki nad dzieckiem w żłobku, przedszkolu czy w szkole. Ofiary przemocy domowej mogą też liczyć na pomoc w zakresie przekwalifikowania zawodowego.

Poszkodowanym w wyniku przemocy fizycznej i psychicznej czy też ofiarom wypadków drogowych Fundusz nie tylko udziela pomocy prawnej, lecz także pomaga w zakupie leków, sprzętu ortopedycznego i medycznego niezbędnego w powrocie do zdrowia.

Z pomocy Funduszu Sprawiedliwości mogą również korzystać pokrzywdzeni kradzieżą lub oszustwem, pozbawieniem alimentów czy innym przestępstwem. Fundusz pomaga bowiem każdej ofierze, bez względu na rodzaj przestępstwa, w wyniku którego została ona pokrzywdzona.

Aby umożliwić poszkodowanym łatwiejsze zwracanie się o pomoc, umożliwiono m.in. kontakt z pracownikami Funduszu za pośrednictwem infolinii (+48 222 309 900) oraz poczty elektronicznej (info@numersos.pl.). Nowe formy kontaktu zapewniają większe bezpieczeństwo m.in. tym poszkodowanym, którzy doświadczają przemocy domowej. Na konkretną pomoc mogą liczyć także świadkowie przestępstw. W ośrodkach pomocy mogą oni uzyskać pomoc psychologa, psychiatry i terapeuty, a także poradę, co zrobić w danej sytuacji.

Z pieniędzy Funduszu Sprawiedliwości świadczona jest także pomoc postpenitencjarna osobom zwalnianym z zakładów karnych i aresztów śledczych oraz ich bliskim. Pomocy takiej udzielają m.in. współpracujący z Funduszem zawodowi kuratorzy sądowi oraz funkcjonariusze Służby Więziennej.

Fundusz Sprawiedliwości czynnie wspiera osoby, które opuściły areszt lub więzienie, i ułatwia im powrót do normalnego życia. Byli więźniowie i aresztanci mogą liczyć m.in. na pomoc w znalezieniu zakwaterowania, wsparcie w poszukiwaniach zatrudnienia (w tym finansowane ze środków Funduszu kursy zawodowe), a także na bony żywnościowe, odzież czy artykuły higieniczne.

Za rządów Zjednoczonej Prawicy znacząco wzrosła także ilość środków przeznaczonych na pomoc poszkodowanym – według danych Ministerstwa Sprawiedliwości w 2019 r. pula pieniędzy przeznaczonych na pomoc za pośrednictwem ośrodków dla ofiar zwiększyła się ponad czterdziestokrotnie w porównaniu z rokiem 2012 r. W 2016 r. na pomoc świadczoną przez ośrodki dla pokrzywdzonych przestępstwem przeznaczono 19,7 mln zł, w 2017 r. 16,4 mln zł, w 2018 r. 25,3 mln zł, a w 2019 r. przeznaczono na ten cel aż 75 mln zł.

ZAPOBIEGANIE PRZESTĘPCZOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości formalnie zaczął funkcjonować już w 1997 r. Dopiero za rządów Zjednoczonej Prawicy zaczął jednak podejmować widoczne i systematyczne działania na rzecz ofiar przestępstw zakrojone na szeroką skalę. Początkowo miał bowiem pomagać jedynie finansowo ofiarom przestępstw i wspierać więźniów, kończących odbywanie kar, w powrocie do normalnego życia. Pieniądze z Funduszu miały być przeznaczane na organizacje pozarządowe niosące pomoc osobom pokrzywdzonym.

Pierwszych zmian w Funduszu dokonano w 2013 r. Dopiero jednak w roku 2017 Fundusz Sprawiedliwości gruntownie zreformowano, dzięki czemu może on dziś nie tylko pomagać ofiarom przestępstw, lecz także podejmować realne działania w celu przeciwdziałania przestępczości.

Fundusz finansuje więc m.in. działania, których celem jest przeciwdziałanie przyczynom przestępczości, a także wspieranie rodzin zagrożonych dysfunkcyjnością (w szczególności w zakresie profilaktyki i terapii uzależnień oraz współuzależnień, a także rozwiązywania konfliktów w rodzinie).

Ze środków funduszu wspierane są również akcje edukacyjne oraz informacyjne dotyczące przyczyn przestępczości i sposobów jej zapobiegania, a także służące upowszechnianiu wiedzy na temat praw osób pokrzywdzonych przestępstwem oraz alternatywnych metod rozwiązywania konfliktów, w szczególności mediacji w sprawach rodzinnych, nieletnich i karnych.

Fundusz pokrywa także koszty prowadzenia badań naukowych, organizacji studiów podyplomowych czy kursów dokształcających.

eprasa.pl a27c412366

Ideologia wielkiego sojusznika

Ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher w obcesowy sposób daje Polakom odczuć, kiedy nasze interesy się krzyżują FOT. TVN

Tomasz Rowiński

Czy Polska może liczyć na neutralność Discovery, do którego należy TVN, w sprawie sporu o ideologię LGBT? Trudno tego oczekiwać

Politycy Zjednoczonej Prawicy latem po raz kolejny próbowali wrócić do jednej ze swoich flagowych idei politycznych – repolonizacji mediów. Projekt bardziej stanowczy był przygotowywany w środowisku Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobry. W jego przypadku chodziłoby nie tylko o repolonizację, lecz także o wymuszenie dekoncentralizacji rynku medialnego. Dość powszechnie komentowano, że realizacja tego pomysłu wywołałaby międzynarodowy konflikt polityczny. Ostro miały się sprzeciwić choćby Stany Zjednoczone, ponieważ to Amerykanie są właścicielami telewizji TVN, ale także częściowo giganta medialnego, którym jest Ringier Axel Springer. Ten ostatni wydaje m.in. tabloid „Fakt", tygodnik „Newsweek", ma też największy portal internetowy w Polsce – Onet.pl.

Drugi z projektów wzorowany na rozwiązaniach niemieckich i francuskich miał przygotowywać resort wicepremiera i ministra kultury prof. Piotra Glińskiego. Liczono na to, że zabieg ten ułatwi dyskusję z przewidywaną presją, a nawet atakami na polski rząd, które mogłyby nadejść zwłaszcza ze strony Unii Europejskiej.

Amerykanie jednak zareagowali szybko i prewencyjnie. Ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher w swoim stylu zabrała głos w wewnętrznych sprawach naszego kraju, pokazując, gdzie znajdują się granice amerykańskiego interesu. „Pluralizm w polskich mediach już istnieje. Przymusowe rozdrobnienie mediów ograniczy wolność słowa, ponieważ przetrwają tylko państwowe i małe media. Polskie społeczeństwo nie skorzystałoby na mniejszej liczbie różnorodnych głosów. Zmuszanie firm medialnych do sprzedaży akcji zmusi inwestorów do szukania innych rynków. To nie jest dobry klimat inwestycyjny – to cenzura. Przyciąganie inwestycji zagranicznych i silna gospodarka wymagają przewidywalności. Długoterminowe licencje = długoterminowa inwestycja, w każdym biznesie, w tym w biznesie mediowym" – napisała na Twitterze Mosbacher.

UKŁAD SIŁ

W jednej chwili mogliśmy zobaczyć, jak skomplikowana jest sytuacja Polski w układzie międzynarodowych sił. Dzisiaj USA – dominujące elity tego kraju, politycy, ustawodawstwo – są lewicowe i nie powinniśmy mieć co do tego wątpliwości. Lewicowe są ideologie wyznawane przez amerykańskie koncerny. Wspierają one dość powszechnie polityczny ruch homoseksualny czy aborcję. Zobaczyliśmy także, że zarówno władze USA reprezentowane przez ambasadora, jak i należące do Amerykanów duże media stosują wciąż tę samą matrycę działania. Opowiadają się za Polską demokratyczną o tyle, o ile kopiuje ona bezrefleksyjnie ideologiczne i kulturowe mody Zachodu oraz – co oczywiste – nie stawia oporu twardym interesom amerykańskim. Pomiędzy naszą suwerennością a bezpieczeństwem powstało pewnego rodzaju napięcie. Można by powiedzieć, że to normalny los narodów aspirujących lub starających się odzyskać swoją historyczną pozycję.

eprasa.pl a27c412366

Przykładem istnienia tego napięcia, a także krzyżowania się niekorzystnych dla nas tendencji jest aktywność telewizyjnego koncernu Discovery. W marcu 2018 r. Discovery Inc. stał się właścicielem ważnego z politycznego punktu widzenia medium, jakim jest grupa TVN. W procesie przejmowania TVN nastąpiła specyficzna synergia między interesami amerykańskiego koncernu a politycznym interesem Komisji Europejskiej. 6 lutego 2018 r. KE wydała zgodę na przejęcie TVN, a odrzuciła wniosek Polski, żeby decyzję w tej sprawie mógł podjąć polski Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Instytucje polskiego państwa zostały w ten sposób wyłączone z możliwości wpłynięcia na kształt ładu medialnego we własnej politycznej domenie.

W portfolio Discovery Inc. widać dziś olbrzymią różnorodność nadawców. To przede wszystkim kanały przyrodoznawcze, popularnonaukowe, podróżnicze czy sieć kanałów sportowych Eurosport. Discovery Inc. posiada ponad sto różnych stacji telewizyjnych nadających w 39 językach świata i odbieranych w ponad 180 krajach. Pierwszy flagowy kanał ruszył w roku 1985 i był to znany dziś prawie wszystkim The Discovery Channel. Z czasem koncern rozwinął także wydawnictwo książkowe i elektroniczne oraz sieć sklepów Discovery Store. Discovery Inc. w latach 2016–2017 odkupiło od spółki Agora jej stację telewizyjną Metro. Można potraktować tę transakcję, wartą prawie 20 mln zł, jako wyciągnięcie ręki przez amerykańską korporację do znajdującego się w ciągłych finansowych tarapatach wydawcy „Gazety Wyborczej".

PRZYPADEK DISCOVERY

Ideologicznie Discovery Inc. jest w Polsce dość ostrożne. Gdy w roku 2019 organizatorzy warszawskiej Parady Równości opublikowali grafikę prezentującą kolejność przemarszu organizacji oraz korporacji podczas wydarzenia i znalazła się na niej nazwa Discovery, wydane zostało oświadczenie, że firma nie popiera wydarzenia. „Spółka Discovery nie jest zaangażowana w Paradę Równości. W wydarzeniu biorą udział wyłącznie indywidualni pracownicy spółki" – zakomunikowała wówczas Joanna Górska, dyrektor działu public relations Grupy TVN Discovery Polska. I wyjaśniała: „Zgodnie z Kodeksem Etyki Discovery mogą oni uczestniczyć w ruchach społecznych oraz wydarzeniach o charakterze politycznym, przy czym w takich sytuacjach reprezentują oni wyłącznie swoje osobiste poglądy".

Być może właściwszym tropem pozwalającym zrozumieć zaangażowanie ambasador Mosbacher w sprawę interesów amerykańskich korporacji medialnych w Polsce są interesy amerykańskich środowisk żydowskich wobec polskiej sytuacji politycznej. David Zaslav, szef Discovery Inc., ojciec sukcesu tej korporacji, jeden z najlepiej opłacanych dyrektorów generalnych w USA, pochodzi z rodziny nowojorskich Żydów. Podczas wywiadu z września 2019 r. dla i24news.tv entuzjastycznie wypowiadał się na temat historii Żydów i istnienia państwa Izrael. Nie ma w tym nic złego, ale wyraźnie wskazuje na polityczną tożsamość tej wpływowej postaci. Dodajmy, że ostatnim mężem amerykańskiej ambasador w Polsce, po którym nosi ona nazwisko, był zmarły w 2010 r. republikański polityk i przedsiębiorca żydowskiego pochodzenia Robert Mosbacher. Na stronie ambasady USA w Polsce możemy zaś znaleźć taką oto informację łączącą dwie kluczowe dla polityki amerykańskiej w Polsce postacie: „8 marca [2020 r. – przyp. T.R.] w Carnegie Hall w Nowym Jorku, podczas 8. corocznej gali Jewish Awards Gala, ambasador Georgette Mosbacher otrzymała tytuł Orędownika Pamięci o Holokauście (Champion of Advancing Holocaust Memory), nagrodę przyznawaną przez World Values Network. [...] Ambasador Mosbacher została wyróżniona za działalność na rzecz tolerancji i walki z nienawiścią w ramach prowadzonego przez amerykańską misję dyplomatyczną w Polsce programu szerzenia wiedzy o Holokauście i bogatym dziedzictwie żydowskim w Polsce. Nagrodę wręczył jej David Zaslav, prezes i CEO firmy medialnej Discovery Inc. Organizatorem uroczystości jest World Values Network prowadzona przez rabina Shmuleya Boteacha, która to organizacja wspiera osoby oddziaływujące w pozytywny i efektywny sposób na problemy skali globalnej".

Discovery Inc. prowadzi programy wspierające społeczność czarnoskórych, Azjatów, kobiety i młodych. Jest też Discovery priDe

W tym kontekście mniej też dziwi zaangażowanie ambasador Mosbacher przeciwko Polsce w sprawie nowelizacji ustawy o IPN, która była mocno atakowana zarówno przez środowiska żydowskie w Izraelu oraz Stanach Zjednoczonych, jak i liderów amerykańskich. Nie dziwi też obecność w Polsce Discovery Inc. Amerykanie po prostu pilnują swoich interesów, w tym także interesów amerykańskich Żydów, również poprzez „udziały" w siłach opozycji. Rozgrywają nam niemal klasyczne „dziel i rządź".

Czy Polska może liczyć na neutralność Discovery w sprawie sporu o ideologię LGBT? Czy wypowiedź z roku 2019 przy okazji Parady Równości można wziąć za dobrą monetę? Trudno tego oczekiwać. Agenda politycznego ruchu homoseksualnego stała się nieodzowną częścią amerykańskiej kultury politycznej. Discovery Inc., tak jak inne amerykańskie korporacje, prowadzi odpowiedni program wspierający społeczność czarnoskórych, Azjatów, kobiety czy młodych. Rzecz jasna, jest też program Discovery priDe. Nie możemy w tej sprawie liczyć na koneksje z republikanami (przecież Georgette Mosbacher nie jest demokratką!), ponieważ oni również zaakceptowali drugą falę rewolucji seksualnej. Obrazu sytuacji niech dopełnią drobne fakty. Robert Mosbacher był pierwszym republikańskim szefem kampanii wyborczej, który już w roku 1992 spotkał się z aktywistami National Lesbian Gay Task Force, a jedna z jego córek (którą miał z jedną ze swoich czterech żon) jest dziś znaną działaczką politycznego ruchu homoseksualnego.

Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny „Gazety Polskiej", pisał w kwietniu tego roku: „Zdumiewa obrona przez panią ambasador Mosbacher TVN-u, głównej antyrządowej siły w Polsce. Założę się, że raczej nigdy nikt jej nie przetłumaczył, co ta stacja nadaje. W każdym razie to rzadki przypadek, żeby ambasador prowadził politykę, która zmierza do zmniejszenia wpływów swojego państwa w regionie, w którym się znalazł". Sądzę inaczej – stosunek Stanów Zjednoczonych do Polski nie jest inny niż w czasach transformacji. Razem z wojskiem, gwarancjami i dolarami Amerykanie przynoszą swoje interesy oraz światopogląd na danym etapie jego rozwoju i oczekują, że nie będzie on odrzucany. Umacnianie suwerenności Polski kontrującej liberalną cywilizację wcale nie musi być tym, czego chcą najbardziej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

KUL na zakręcie

Piotr Semka

Ksiądz profesor Mirosław Kalinowski jako pierwszy rektor KUL potraktował serio sprawę bulwersujących wypowiedzi publicznych – m.in. u Moniki Olejnik w TVN24 – ks. prof. Alfreda Wierzbickiego. Czy nowy rektor przetrwa naciski i zacznie odbudowywać katolicki prestiż uczelni?

Kolegium rektorów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego zapowiedziało, że ks. prof. Alfred Wierzbicki stanie przed rzecznikiem dyscyplinarnym ds. wykładowców akademickich. Jest to efekt kontrowersji wokół publicznych wypowiedzi wykładowcy i jego poręczenia za „Margot" – uczestnika profanacji figury Jezusa w Warszawie. „Kolegium zaznaczyło, że wypowiedzi ks. Wierzbickiego są traktowane przez władze uczelni jako działania szkodzące misji KUL. Kolegium rektorskie odcina się od tych słów i apeluje, aby nie traktować ich jako stanowiska uniwersytetu" – czytamy w komunikacie.

W obronie ks. Wierzbickiego staje obóz katolików postępowych, dla których to spór o oblicze ideowe lubelskiej uczelni. Dla tych, którzy z niepokojem obserwowali wieloletni brak reakcji władz uczelni na coraz bardziej bulwersujące wystąpienia publiczne ks. Wierzbickiego, to przełom. Nadzieja na powrót do zasady egzekwowania odpowiedzialności za słowa i deklaracje.

Sporu o ks. Alfreda Wierzbickiego nie sposób zrozumieć bez znajomości dziejów lubelskiej uczelni w ciągu ostatnich 30 lat.

NIEŁATWA WOLNOŚĆ

9 czerwca 1987 r. Jan Paweł II, były profesor KUL, odwiedził swoją dawną uczelnię. Była to chwila triumfu „jedynego niekomunistycznego uniwersytetu od Łaby do Władywostoku". Przez cztery powojenne dekady lubelska Alma Mater zdobyła status jednego z najważniejszych ośrodków myśli katolickiej w Europie. Jej niezależność od komunistycznego państwa przyciągała do Lublina nonkonformistów z najdalszych zakątków Polski. Wykładowcy KUL tacy jak prof. Mieczysław Albert Krąpiec, ks. prof. Stanisław Kamiński, s. Zofia Zdybicka, prof. Mieczysław Gogacz czy prof. Jerzy Kłoczowski należeli do ekstraklasy polskiej nauki. Schyłek komunizmu w 1989 r. wydawał się tworzyć dla uczelni szanse na jeszcze świetniejszy rozwój. Znikała zmora inwigilacji SB i walki z lokalnymi władzami PRL o każdy worek cementu na rozbudowę budynków uczelni. Potencjał naukowy kadry KUL w połączeniu z końcem ograniczeń administracyjnych kazał wierzyć władzom uczelni, że zaczyna się nowy obiecujący rozdział w dziejach uniwersytetu.

Minęło parę kolejnych lat, a nastrój optymizmu mocno przybladł. Generacja „mistrzów" z lat 60. i 70. zaczęła wymierać lub odchodzić na emeryturę. Kończyła się też wyjątkowość uniwersytetu. Skoro wszystkie uczelnie przestały być komunistyczne, nimb „oazy swobody" przyciągający młodzież z całego kraju przestał działać. Zmniejszył się też strumień datków od polonusów z Zachodu, którzy wcześniej, w latach 1956–1989, ofiarnie wspierali KUL. Po części z racji wymierania wojennej generacji, po części z racji uznania, że teraz w Polsce jest już normalnie. Rozdęte plany budowalne z epoki „wojtyliańskiej", na czele z ogromnym Kolegium Jana Pawła II, okazały się inwestycjami na

eprasa.pl a27c412366

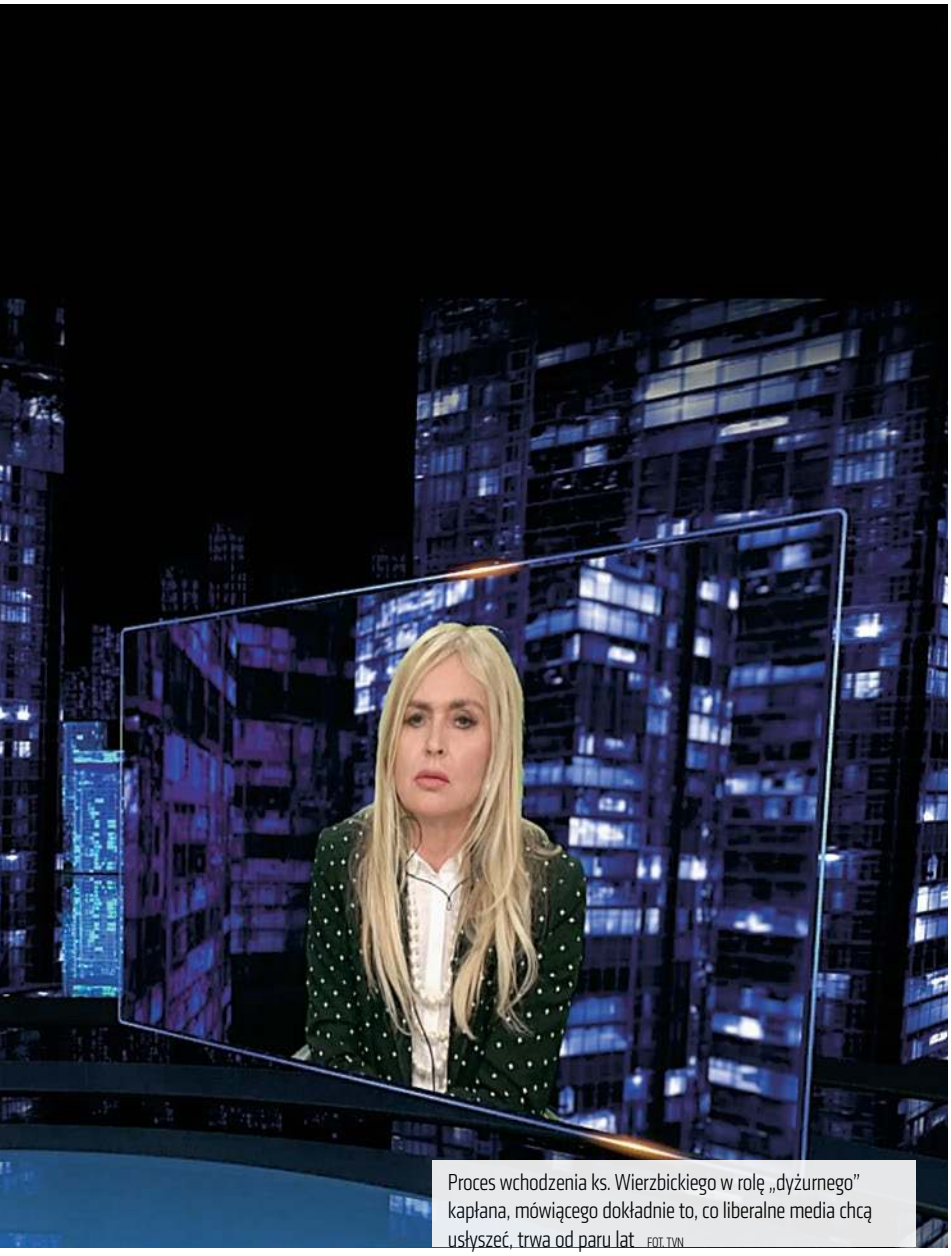

Proces wchodzenia ks. Wierzbickiego w rolę „dyżurnego" kapłana, mówiącego dokładnie to, co liberalne media chcą usłyszeć, trwa od paru lat FOT. TVN

wyrost. Strumień studentów zmniejszył się, a uczelnię dodatkowo zaskoczyła konkurencja z licznymi nowymi uczelniami, które mnożyły się w latach 90. jak grzyby po deszczu.

Według uczelnianej legendy, gdy w 1993 r. lubelską uczelnię odwiedziła bliska Kościołowi premier Hanna Suchocka z pytaniem, co może zrobić dla KUL, jeden z rektorów miał odpowiedzieć, że najlepiej trzymać państwo od uniwersytetu jak najdalej. Był to głos tych wykładowców, którzy opowiadali się za utrzymaniem prywatnego charakteru uczelni i za trwaniem wyrazistej katolickiej tożsamości uniwersytetu. Zupełnie inne poglądy miała druga grupa wykładowców, która przypominała, że za epoki Gierka i Jaruzelskiego KUL był otwarty na różne nurty myślowe. Przekonywano, że KUL powinien mieć status uczelni publicznej i otrzymywać dotacje za każdego studenta z kasy Ministerstwa Edukacji. W końcu pod wpływem narastających problemów finansowych zwyciężyła ta druga opcja. Zaczął się wyścig o jak największą liczbę studentów, co często nie przekładało się na utrzymanie wysokiego poziomu nauczania. Słabło też wyczulenie na tożsamość katolicką uniwersytetu. Jeszcze w latach 1989–1998 w czasie kierowania uczelnią przez ks. Stanisława Wielgusa, bohatera późniejszej afery lustracyjnej, na KUL utrzymywała się pewna równowaga między skrzydłem konsertwatywnym, na czele z o. Mieczysławem Krąpcem, a nurtem progresywnym, na którego czoło zaczął wysuwać się filozof i etyk ks. Andrzej Szostek, następca Wielgusa na stanowisku rektora w latach 1998–2004.

Kolejną cezurą w życiu uczelni było objęcie arcybiskupstwa w Lublinie w 2007 r. przez bp. Józefa Życińskiego. Jako wielki kanclerz KUL nowy metropolita lubelski wykorzystywał tę funkcję, aby dowartościowywać progresywne skrzydło kadry profesury. Równowaga została zakłócona.

W 2008 r. wybucha pierwszy skandal – w trakcie dyskusji nad tzw. sprawą Agaty. W jej finale ówczesna minister zdrowia Ewa Kopacz osobiście interweniuje w celu przeprowadzenia aborcji u 14-letniej dziewczyny, która zaszła w ciążę z nieletnim partnerem. Wielu katolików podejrzewało, że Agata poddana została presji ze strony matki w kierunku zabicia własnego dziecka. Szok wywołany ponurą aferą spowodował głosy, że minister zdrowia powinna zostać objęta ekskomuniką.

W obronie Ewy Kopacz wystąpił wówczas były rektor KUL ks. Andrzej Szostek, który ogłosił: „Pani minister nie może odpowiadać za to, że takie właśnie prawo w tej chwili w Polsce obowiązuje, natomiast jest zobowiązana do jego respektowania". Zdaniem etyka z KUL, jeśli decyzja minister Kopacz o wskazaniu szpitala, w którym aborcja mogłaby zostać dokonana, podjęta została zgodnie z prawem, to pretensje trzeba zgłaszać do prawa, a nie do niej. „A jeśli do niej, to o to, że w ogóle zgodziła się być ministrem" – dodał ks. Szostek. „Nie wolno stwarzać sytuacji tak dwuznacznych, że powiem: godzę się być ministrem, ale pewnych praw nie będę przestrzegał, bo – jak ocenia etyk – byłaby to anarchia".

Ksiądz profesor Szostek nie ponosi żadnych konsekwencji za wypowiedzi, które wielu katolików uznaje za sprzeczne z chrześcijańskim sumieniem. Pośrednio wspiera ks. Szostka sam abp Życiński, krytykując w wypowiedzi dla KAI „tworzenie rankingu kandydatów do ekskomuniki i umieszczanie w nim członków rządu lub tych, którzy z racji instytucjonalnych obowiązków zmuszeni są do działań, jakich wewnętrznie nie akceptują".

W 2013 r. opinię katolicką poruszyła informacja, że stworzone na KUL Kolegium Międzyobszarowych Indywidualnych Studiów Humanistyczno-Społecznych

eprasa.pl a27c412366

ogłosiło w swoim programie do wyboru m.in. wykład z dziedziny „Gender: feminizm, queer studies, men's studies" w przestrzeni literatury. Biskup włocławski Wiesław Mering zwrócił się wobec doniesień medialnych do ówczesnego rektora KUL ks. prof. Antoniego Dębińskiego o wyjaśnienia. „Zgodnie z katolickim charakterem uczelni podejmujemy badania naukowe nad współczesnymi zjawiskami kulturowymi, a wśród nich także badania nad ideologią gender" – odpisał wtedy ks. prof. Antoni Dębiński.

W wywiadzie dla „Naszego Dziennika" bagatelizował sprawę: „Nauczanie o jakimś zjawisku nie podnosi tego zjawiska do rangi dyscypliny naukowej. Jest zasadnicza metodologiczna różnica między nauczaniem czegoś a o czymś. Kiedy nauczamy czegoś, traktujemy to jako prawdziwe i godne przyjęcia. Kiedy nauczamy o czymś, przedstawiamy wyniki analizy, ujawniamy założenia i wskazujemy na konsekwencje".

Wyjaśnienia nie rozładowały obaw w sytuacji, gdy wykłady miały być przygotowywane w kooperacji z Ośrodkiem „Brama Grodzka – Teatr NN", znanym z lewicowego zaangażowania i ze współpracy ze środowiskiem „Krytyki Politycznej". Jeszcze potem szok wywołało wprowadzenie nowego logo KUL bez znaku krzyża. Formalnie nowy znak miał towarzyszyć staremu godłu z orłem i krzyżem, ale w praktyce zdominował plakaty i druki uczelni.

Obie sprawy miały niszczący charakter dla wiarygodności uczelni w oczach konserwatywnych katolików. Wielu wiernych zrezygnowało z dalszego dotowania lubelskiego uniwersytetu.

REBELIANT

Przełom związany z epoką abp. Życińskiego był też początkiem stopniowej radykalizacji ks. prof. Alfreda Wierzbickiego. Ten teolog i etyk, profesor nadzwyczajny KUL i dyrektor Instytutu Jana Pawła II zaczął występować w liberalnych mediach w roli kapłana kontestatora, lansującego hasło „nowoczesnego Kościoła". Dał się poznać jako gorący zwolennik formalnie antyprzemocowej, a faktycznie silnie genderowej konwencji Rady Europy. „Wielu duchownych, ale także katolickich intelektualistów reaguje na nią alergicznie i w ten sposób, zamiast wyraźnie zaangażować się na rzecz zwalczania przemocy, zajmuje się czymś mniej istotnym" – oceniał ksiądz profesor.

W jego opinii biskupi zbyt pochopnie skrytykowali założenia nurtu gender.

Od ok. 2013 r. ks. Wierzbicki coraz częściej pojawia się w lewicowych mediach, m.in. w TVN, „Gazecie Wyborczej", TOK FM, jako dyżurny autorytet przywoływany przy okazji kolejnych kontrowersji dotyczących polskiego Kościoła. Jego tytuł wykładowcy katedry etyki na KUL na osobach nieznających realiów kościelnych robił wrażenie głosu prezentującego oficjalne nauczanie. A władze uczelni nie reagowały.

Z biegiem czasu ks. Wierzbicki coraz częściej wypowiadał się na tematy polityczne, oczywiście pod sztandarem troski o polski katolicyzm. W 2016 r. ogłosił, że „Kościół wyszedł na głupka, bo poparł PiS". Niedługo potem został stałym felietonistą portalu Koduj24, jawnie powiązanego z Komitetem Obrony Demokracji. W TOK FM z nazwiska zaatakował abp. Marka Jędraszewskiego, dowodząc, że „wypowiada się tak, jakby należał do PiS". Gdy publicznie nazwał swego kolegę z uczelni ks. prof. Tadeusza Guza „durniem", wyczerpał cierpliwość nawet życzliwego mu arcybiskupa lubelskiego Stanisława Budzika, który nakazał mu przeproszenie brata w kapłaństwie.

Ksiądz Wierzbicki zaczął też wchodzić na pole dyskusji o zasadach życia kapłańskiego. Niedługo po emisji filmu braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu" podał w wątpliwość sens przymusu celibatu księży.

SPÓŹNIONA REAKCJA

Proces wchodzenia przez ks. Wierzbickiego w rolę „dyżurnego" kapłana, mówiącego dokładnie to, co liberalne media chcą usłyszeć, trwa od paru lat. W tej sytuacji mało kogo w Polsce zdziwiło poręczenie lubelskiego kapłana dla „Margot". „Doszedłem do takiego rozeznania, że w stosunku do »Margot« zastosowano nieproporcjonalnie środki – chyba nie ma potrzeby wyjaśniania, rozwijania tego – i że jest to represja" – tak w programie Moniki Olejnik w TVN24 wyjaśniał swą decyzję.

Oburzony wsparciem dla uczestnika profanacji pomnika Jezusa w Warszawie członek zarządu fundacji Życie i Rodzina Krzysztof Kasprzak zaapelował o zwolnienie księdza z KUL. „Katolicka uczelnia nie może zatrudniać do pracy ze studentami osoby, która swoją działalnością publiczną szkodzi Kościołowi. Taka osoba nie będzie miała dobrego wpływu na kolejne roczniki studentów, z którymi pracuje" – przekonywał Kasprzak.

Wcześniej podobne apele przechodziły bez żadnego echa. Ostatnio jednak coś na KUL się zmieniło.

18 czerwca 2020 r. nowym rektorem uczelni został ceniony teolog pastoralny, ks. prof. Mirosław Kalinowski – rocznik 1962, czyli jak na standardy KUL-owskie ktoś stosunkowo młody. Jako pierwszy rektor od wielu lat potraktował on serio sprawę bulwersujących wypowiedzi publicznych ks. Wierzbickiego. Decyzją kolegium rektorów po raz pierwszy dojdzie do zbadania, jak publiczne wystąpienia bywalca programów Moniki Olejnik w TVN mają się do misji lubelskiej uczelni.

Z odsieczą ks. Wierzbickiemu śpieszy już progresywna część kadry. Dwunastu profesorów KUL wystosowało list w obronie kolegi. Ksiądz profesor Andrzej Szostek próbuje wywrzeć presję na nowego rektora, zapowiadając wobec decyzji w sprawie ks. Wierzbickiego wycofanie się ze wszystkich form współpracy ze swoją macierzystą uczelnią. Były rektor posuwa się jeszcze dalej. „Przypuszczam, że rektor jest pod naciskiem sił kościelnych i politycznych" – ogłasza ks. prof. Szostek, choć nie popiera tego żadnymi faktami. Sprowadzenie sprawy na grunt polityki może obrońcom kontrowersyjnego kapłana bardzo pomóc w akcji obrony wykładowcy etyki. Ruszają do akcji inne uczelnie.

Protestuje Instytut Filozofii i Socjologii UW. „Tygodnik Powszechny" zbiera podpisy w jego obronie. W szerszym jednak planie cała sprawa jest testem dla mediów liberalnych, na ile mogą być skuteczne w ingerowaniu w wewnętrzne sprawy katolickiej uczelni.

Na samym KUL ze strony wykładowców „konserwatywnych" nikt nie pali się do wypowiadania w tej sprawie. Nikt nie chce uchodzić za prześladowcę ks. Wierzbickiego. Jednak zakończenie bezkarności skandalistów w koloratce budzi uznanie.

Najważniejsze pytanie na teraz to to, czy nowy rektor wytrzyma kampanię w obronie ks. Wierzbickiego. Presja na rektora Kalinowskiego może być bardzo silna. Wszystko zależy od tego, w jak głośne dzwony będą bić obrońcy ks. Alfreda. Zrywanie zagranicznych umów o partnerstwie czy demonstracyjne odejścia z uczelni. Ale jeśli nowy rektor przetrwa te naciski, to powoli będzie się odbudowywać katolicki prestiż uczelni.

Krótko mówiąc, na naszych oczach odbywa się walka o rząd dusz na KUL. Kto wygra tę batalię?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl a27c412366

Śmigłowce dla Polski

Bell deklaruje, że dostarczy Siłom Zbrojnym RP nowoczesne śmigłowcowe w ramach każdego z programów modernizacyjnych, zgodnie z zapotrzebowaniem. Dzięki temu Polska mogłaby uczestniczyć w programie budowy śmigłowców przyszłości Future Vertical Lift – wyjaśniają w wywiadzie dla „Do Rzeczy" przedstawiciele amerykańskiego potentata

W połowie września amerykański producent śmigłowców Bell Textron otworzył w Konstancinie-Jeziornie pod Warszawą autoryzowane centrum obsługi dla śmigłowców (ang. AMC – Authorized Maintenance Center). To pierwszy tego typu punkt na europejskiej mapie. Polskie AMC będzie wsparciem serwisowym lekkich śmigłowców Bell 407 i Bell 505, prezentowanych także na tegorocznym Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego 2020 w Kielcach.

Inwestycja ta to kolejny krok do rozwijania działalności Bella w Polsce, którego wiceprezes, Vince Tobin, w czerwcu br. w rozmowie z Polską Agencją Prasową deklarował, że koncern jest gotowy zmodernizować śmigłowcową flotę polskiej armii w ramach wszystkich programów zbrojeniowych, czyli Kruka, Perkoza i Kondora, jednocześnie gwarantując wsparcie rodzimego przemysłu.

– Dostrzegamy solidny potencjał i kompetencje polskiej branży lotniczej i jesteśmy gotowi do daleko idącego dialogu o współpracy przemysłowej. Wejście Bella w kluczowe programy modernizacji śmigłowców otworzy nowe możliwości dla branży lotniczej, a jednocześnie wzmocni bezpieczeństwo łańcucha dostaw – mówił dla PAP Tobin. Dodał przy tym, że w opinii Bella Polska może stać się liderem branży wiropłatów w Europie.

PRZEZ H-1 DO FUTURE VERTICAL LIFT?

Czerwcowe deklaracje wiceprezesa Bella powtórzyli kolejni przedstawiciele tej firmy, którzy pojawili się na niedawnym MSPO w Kielcach. W trakcie spotkania prasowego „Śmigłowce Bell dla Polski", przypominając aktualną ofertę militarną koncernu (m.in. sprawdzone przez Korpus Piechoty Morskiej USA śmigłowce: uderzeniowy Viper AH-1Z i wielozadaniowy Venom UH-1Y), zapewniali, że inwestycja Polski w śmigłowce Bell zwiększy bezpieczeństwo naszego kraju, podniesie nasze zdolności przemysłowe, a także otworzy ścieżkę do współpracy w ramach Future Vertical Lift, czyli amerykańskiego programu budowy śmigłowców przyszłości pionowego startu.

– W FVL zaangażowanych jest wiele państw i zachęcałbym Polskę do dołączenia do programu. Chętne do współpracy kraje muszą najpierw wystosować Letter of Interest. Współpraca na pewno przyniesie wiele korzyści. Polska, jeśli przystąpi do FVL, a takie programy jak Kruk czy Kondor są pośrednim krokiem dotarcia do tego, umocni z pewnością także swoją pozycję militarną – wyjaśnił Joel Best, dyrektor sprzedaży wojskowej i strategii na Europę, Bliski Wschód oraz Azję Środkową w Bell Textron.

Erwin Boone, kierownik ds. współpracy przemysłowej Bell Textron, dodał z kolei:

– Jeśli w programach takich jak Kruk czy Perkoz zostanie wybrany Bell, to konieczne wsparcie techniczne zostanie zapewnione zgodnie z polskimi wymaganiami dotyczącymi partnerstwa przemysłowego i offsetu. Wsparcie miałoby także charakter inwestycji w infrastrukturę, która przez dziesięciolecia służyłaby polskiemu lotnictwu.

Joel Best akcentuje przy tym, że kluczem do powodzenia modernizacji jest dostarczenie rozwiązań „skrojonych na miarę" oraz takich, które pozwolą realizować wszystkie rodzaje misji.

– Takie podejście da najlepsze rezultaty. Bell ma świetną i stabilną flotę mieszaną z mnóstwem opcji, które będą pasowały do wszystkich typów misji – mówił, podkreślając zarazem, że śmigłowiec uderzeniowy AH-1Z jest jedynym, który przenosi pociski kierowane powietrze-powietrze AIM-9 Sidewinder. Dokładnie takie, w jakie uzbrojone są F-35 zamówione niedawno przez MON. Wreszcie – jak przekonują rozmówcy – istotną zaletą oferty opartej na H-1 ma być rachunek ekonomiczny. Całkowite koszty cyklu życia, uwzględniając serwi-

eprasa.pl a27c412366

sowanie, utrzymanie i szkolenia, wyglądają korzystniej względem konkurencji.

PRZEWAGA TECHNOLOGICZNA

Czy Bell ma jednak szanse na wygraną w programach modernizacyjnych polskiej armii, skoro w Polsce działają już dwa konkurencyjne zakłady produkcyjne?

– Prowadzimy rozmowy z Polską, ale w grę wchodzą trzy programy, co czyni projekt bardziej skomplikowanym. Nie jesteśmy w Polsce dlatego, że łatwo się tu robi interesy, przeciwnie, jesteśmy świadomi wyzwań, ale jednocześnie zdeterminowani, aby je podjąć. Wierzymy w naszą, ale i waszą technologię.

Jesteśmy gotowi współpracować z polskimi ministerstwami, niecierpliwie czekamy na to, aby spełnić ich wymagania, i zależnie od przeznaczonego budżetu oraz wymogów zrobimy, co tylko w naszej mocy, aby wspólnie z polskim rządem i przemysłem odnieść sukces – wyliczał Joel Best.

O gotowości spełnienia wszystkich wymogów i kryteriów wsparcia, zgodnie z planami rządu polskiego, zapewniał też Andy Woodward, kierownik kampanii międzynarodowych Bell Textron, odpowiedzialny m.in. za koordynację działań Bella w Polsce.

Dowodem realnych możliwości włączania polskich przedsiębiorstw w łańcuch dostaw Bella, zdaniem obecnych na MSPO przedstawicieli koncernu, ma być współpraca teksańskiego potentata z firmami z Polski przy tworzeniu pierwszego na świecie awionicznego Centrum Technologii Wytwarzania (MTC – Manufacturing Technology Center), istotnie wspierającego projektowanie i wdrażanie innowacji Bella w Future Vertical Lift. Erwin Boone, wskazując na kryteria takiej współpracy, a także potencjał technologiczny Polski, wyjaśniał:

– Już teraz Bell współpracuje z dwoma polskimi firmami, i to nie w ramach offsetu ani przetargu czy współpracy z rządem, ale tylko dlatego, że technologie dostarczane przez te firmy spełniały wysokie wymagania i okazały się potrzebne do produkcji helikopterów Bella.

Rozmawiała Magda Gryn

Kontynuując wątek innowacyjności Bella i jego wkładu w program FVL, redakcja „Do Rzeczy" zadała także kilka pytań wiceprezesowi Bell Textron – Carlowi Coffmanowi, odpowiedzialnemu za strategię firmy w budowaniu śmigłowca przyszłości.

Pionier innowacji w lotnictwie

Dlaczego Bell uważa się za lidera innowacyjności w lotnictwie śmigłowcowym?
Jest to możliwe dzięki połączeniu naszej innowacyjności, technologii i kreatywnego myślenia z silną współpracą z innymi liderami branży, którzy tworzą nasze zespoły projektowe i produkcyjne. Bell współpracuje z kilkoma krajami na całym świecie, aby tworzyć także lokalne struktury wsparcia innowacji. Jednym z przykładów jest powstanie pierwszego w Europie Autoryzowanego Centrum Serwisowego w Konstancinie-Jeziornie, pod Warszawą, ale przede wszystkim trzeba tu wspomnieć o unikalnym w skali świata centrum technologicznym – MTC.

Czym jest w praktyce MTC?
MTC – Manufacturing Technology Center – to ekscytujący, innowacyjny poligon doświadczalny, na którym będziemy testować i udoskonalać technologie oraz procesy, demonstrując naszą gotowość i zdolność do pomyślnego budowania i obsługi samolotów w ramach programu Future Vertical Lift (FVL). MTC ma rozwiązywać największe wyzwania związane z produkcją wiropłatów. Ma zapewniać zdigitalizowaną przestrzeń do współpracy między poszczególnymi zespołami. Każdy centymetr obiektu będzie monitorowany i kontrolowany przez sieć systemów IT, Internetu rzeczy (IoT) oraz cyberbezpieczeństwa, które zarządzają dopływem i odpływem danych, a także ruchem operacji w całym centrum. Inną kluczową cechą MTC jest łączność z łańcuchem dostaw, co pozwoli producentom proaktywnie zarządzać harmonogramem i kosztami. Otrzymując aktualizacje w czasie rzeczywistym od swojej sieci dostawców, Bell może automatycznie wykrywać i rozwiązywać problemy. Pomoże to firmie zoptymalizować produkcję, a ostatecznie znacznie zmniejszyć czas i koszty.

Bell był obecny na ostatnim MSPO w Kielcach. Można tam było też zobaczyć prezentacje maszyn nowej generacji, takich jak Bell 360 Invictus. Co jest wyróżnikiem tego projektu?
Bell 360 Invictus wykorzystuje sprawdzone, ale i nowe technologie, aby spełnić wymagania programu armii amerykańskiej FARA. Przy jego tworzeniu koncern wykorzystuje wnioski z wielu lat doświadczeń w lotach pionowych, tak aby zapewnić żołnierzom przełomowe, ale i niedrogie zdolności. Projekt kładzie nacisk na konfigurację, która zapewnia dostępność operacyjną, trwałość i łatwość utrzymywania maszyn już od pierwszej generacji.

Jak będzie wyglądało przenoszenie takich projektów jak Invictus czy V-280 Valor do produkcji?
Bell stosuje metodologię „projektuj i buduj", która opiera się na wspólnym uczestnictwie inżynierów w strumieniu danych wraz z zaawansowanym podglądem, obrazowaniem cyklu życia. To ona pozwala poprawić wydajność i optymalizować ogólne moce przerobowe. Nasze autorskie narzędzia oparte na digital thread łączą wszystkie aspekty projektowania, produkcji, operowania w łańcuchu dostaw i serwisowania maszyn. Współpraca zespołowa na dużą skalę jest łatwiejsza, zarówno przejście do fazy produkcji, jak i sama produkcja, a to wszystko na koniec obniża koszty, przy zachowaniu planu prac oraz zasad zrównoważonego rozwoju.

eprasa.pl a27c412366

Młot na lewicę

Przemysław Czarnek był w założeniach PiS typowany na ministra sprawiedliwości, gdyby doszło do rozpadu koalicji. Został ministrem edukacji

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

Kamila Baranowska

Przemysław Czarnek do polityki krajowej wszedł z przytupem. W ciągu zaledwie roku z nieznanego szerzej samorządowca stał się głównym fighterem obozu rządzącego

Homofob, cham, nieuk, świr – tak w ostatnich tygodniach o nowym ministrze edukacji i szkolnictwa wyższego wypowiadali się politycy opozycji. Bardziej świadczy to o nich niż o nim, ale pokazuje też, jak wielkie emocje budzi dziś Przemysław Czarnek, wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, były wojewoda lubelski, poseł PiS. Przeciwko jego ministerialnej nominacji profesorowie i naukowcy różnych uczelni wystosowali specjalny list otwarty, a przed MEN odbył się protest środowisk lewicowych w tej sprawie (zorganizowany przez działaczkę partii Razem).

Kontrowersje dotyczące nominacji Przemysława Czarnka mają związek z jego ostrymi wypowiedziami publicznymi dotyczącymi spraw światopoglądowych. Profesor Czarnek to bowiem postać wyrazista z jeszcze bardziej wyrazistymi (niektórzy rzekliby, że radykalnymi) poglądami, które otwarcie głosi. Będąc członkiem sztabu wyborczego Andrzeja Dudy, zaapelował w TVP Info: „Brońmy nas przed ideologią LGBT i skończmy słuchać tych idiotyzmów o jakichś prawach człowieka czy jakiejś równości. Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym i skończmy wreszcie z tą dyskusją". Po tym występie posypały się na niego gromy, a on sam bronił się, że jego słowa zostały wyrwane z kontekstu. W sztabie zdecydowano jednak, by poseł Czarnek nieco przyhamował z aktywnością medialną. Kiedy media wzięły na warsztat przeszłą działalność posła Czarnka i prześwietliły jego wypowiedzi z poprzednich lat, okazało się, że podobnie ostrych wypowiedzi na temat LGBT (ale nie tylko, bo też np. kobiet czy wychowania dzieci) jest więcej. Dwa lata temu został nawet pozwany przez organizatora Marszu Równości w Lublinie o zniesławienie, bo na swoim kanale na YouTube stwierdził, że marsz „promuje zboczenia, dewiacje i wynaturzenia". W ramach ugody sądowej Czarnek przeprosił „wszystkich, którzy poczuli się urażeni", zaznaczając jednocześnie, że ze swoich słów się nie wycofuje, bo oddziela osoby od czynów, a jego krytyka dotyczy tych ostatnich. – Pozostaję przeciwnikiem promocji zboczeń, dewiacji i wynaturzeń, a zwolennikiem małżeństwa opartego na związku kobiety i mężczyzny – skomentował.

WRÓG NUMER JEDEN

Nic dziwnego, że lewica dostała szału, uznając Czarnka za wroga numer jeden, wytykając mu homofobię, mizoginizm i wszystko, co najgorsze.

W PiS pojawiły się nawet spekulacje, że poseł Czarnek z premedytacją buduje swój wizerunek radykała, bo wie, że ostre sądy dobrze się sprzedają, a w rzeczywistości jest dużo bardziej umiarkowany.

Zdaniem prof. Waldemara Parucha, politologa z UMCS, byłego szefa Centrum Analiz Strategicznych w kancelarii premiera, a prywatnie znajomego Czarnka, to nieprawda. – Znam go parę lat i mogę powiedzieć, że jest uczciwy, jeśli chodzi o spójność poglądów – mówi „Do Rzeczy"

eprasa.pl a27c412366

Paruch. – Zawsze był wyrazisty, ma taki typ osobowości, ale w mojej ocenie to cnota, a nie wada. Nigdy nie przekracza granic, nie atakuje ad personam – dodaje.

Jacek Sasin w RMF FM powiedział, że Czarnek „ma poglądy, które odpowiadają temu, co głosi nasze środowisko polityczne, czyli że nie ma miejsca w edukacji na narzucanie ideologii".

Tyle tylko, że głosi je w sposób tak dosadny, iż w partii zaczynają się domysły, czy jego kandydatura nie została zbyt pobieżnie sprawdzona. Pisała o tym niedawno „Rzeczpospolita".

– Poseł Czarnek jest człowiekiem prawdziwym i nie ma w tym żadnego radykalizmu – mówi „Do Rzeczy" poseł Sławomir Zawiślak, który miał rekomendować prof. Czarnka na funkcję wojewody lubelskiego u władz partii. – Po prostu stawia jasne tezy i argumentuje je przepisami prawa oraz życiem. Mówi to, co myśli, i jednocześnie potrafi to jednoznacznie argumentować. To żaden radykalizm. To szczerość i umiejętność, którą nie wszyscy posiadają. Osobiście szanuję takich ludzi, sam staram się taki być. Myślę, że m.in. dzięki takim cechom jest on tak bardzo lubiany. Ta wyrazistość będąca w zgodzie z poglądami, czyli odważny, konkretny, prawdziwy, szczery język, u bardzo wielu Polaków wzbudza do niego zaufanie. To rzadka, dobra cecha.

Zawiślak poznał Czarnka w 1998 r. w kampanii samorządowej, a gdy w 2005 r. został posłem, Czarnek przez kilkanaście lat blisko z nim współpracował. – Kiedy zrobił doktorat, zaczął ze mną współpracować bardzo ściśle, sporządzając bardzo wiele projektów interpelacji, zapytań, interwencji i sporządzając także ekspertyzy. Regularnie spotykał się też z wyborcami w moim biurze, udzielając im bezpłatnych porad prawnych – wspomina poseł Zawiślak.

„Długo rozmawiałem z posłem Zawiślakiem, kiedy zaproponował, żebym został wojewodą. Sporo czasu zajęło mi także podjęcie decyzji. Przecież to wielka odpowiedzialność, która wiąże się z rezygnacją z dotychczasowych zajęć, np. pracy prawnika dla gmin. Ostatecznie jednak zdecydowałem się, że podejmę to wyzwanie" – opowiadał Przemysław Czarnek w „Kurierze Lubelskim". Cztery lata później podjął kolejne wyzwanie – postanowił walczyć o mandat poselski. Startując po raz pierwszy, z drugiego miejsca na liście, mając rozpoznawalność wyłącznie na poziomie lokalnym, uzyskał rekordowy wynik ponad 87 tys. głosów. Ponoć to właśnie zwróciło na niego uwagę samego Jarosława Kaczyńskiego, który umie wyłapywać i doceniać pracowitość ludzi w terenie. A tej cechy trudno Czarnkowi odmówić. Będąc wojewodą, odbył blisko 250 spotkań w terenie. Jeździł tam, gdzie ludzie nigdy żadnego urzędnika ani polityka na żywo nie widzieli. Profesor Paruch wskazuje, że – co rzadkie u akademików, a co przydatne w polityce – prof. Czarnek ma dużą łatwość nawiązywania kontaktu z ludźmi i zjednywania ich sobie.

Korzystał z tego, jak słyszymy, także wtedy, gdy jako wojewoda z nadania PiS musiał współpracować z opozycyjnym prezydentem Lublina Krzysztofem Żukiem i opozycyjnym marszałkiem województwa. Wykazywał się skutecznością i zdrowym rozsądkiem. – Gdy trzeba coś załatwić w sprawie lokalnej drogi czy inwestycji, poglądy na temat LGBT przestają mieć aż takie znaczenie – mówi nam jeden z lubelskich polityków opozycji.

ODPOWIEDŹ NA ZIOBRĘ?

Dlatego wiele osób, także w samym PiS, uważa, że Czarnek, wbrew obawom, w roli ministra nauki będzie łagodniejszy. – W połączonym superresorcie jest tyle do zrobienia, że jeśli naprawdę się tym zajmie, to nie będzie miał czasu na komentowanie bieżącej polityki i chodzenie do mediów – mówi nam jeden z posłów PiS. Chociaż są i tacy, którzy twierdzą, że nie ma mowy, by zrezygnował z dalszego budowania swojego wizerunku jako „młota na lewactwo", bo tego właśnie oczekuje od niego kierownictwo partii.

W PiS żywa jest bowiem interpretacja, że nominacja Czarnka do rządu to odpowiedź na grę Zbigniewa Ziobry, który od miesięcy próbuje pozycjonować się względem PiS jako ta prawica, która stoi na straży wartości konserwatywnych i nie boi się radykalizmu, jeśli idzie o tematy ideologiczne. Teraz PiS ma w swoich szeregach posła, a niebawem ministra, który ostrością sądów i wyrazistością przekonań dorównuje liderom Solidarnej Polski, a nawet ich przebija. Trudniej więc będzie zarzucić PiS ideowe rozwodnienie.

Zresztą spekulacji co do tego, dlaczego Kaczyński tak mocno stawia na Czarnka, ekspresowo awansując z zupełnie nieznanego polityka i kierując go na ważne rządowe stanowisko, jest więcej.

– Od jakiegoś czasu prezes obserwuje jego rozwój. Tak było z wieloma osobami, choćby z Andrzejem Dudą, który także swego czasu dostawał kolejne funkcje – uważa jeden z naszych rozmówców z PiS. Dodaje, że na razie trwa „sprawdzanie w boju". – Po dobrze ocenianym wojewodowaniu zdał egzamin wyborczy. Teraz ma kolejny egzamin, będzie można sprawdzić, czy pragmatyzm sprawowania urzędu pozwoli kontrolować jego radykalizm – dodaje.

Profesor Czarnek był brany pod uwagę także jako potencjalny następca Zbigniewa Ziobry w resorcie sprawiedliwości zarówno w wariancie rządu mniejszościowego bez Solidarnej Polski, jak i w wariancie, w którym Ziobrze proponowano inny resort. Ostatecznie koalicjanci się dogadali, więc Czarnek został oddelegowany na odcinek edukacji i szkolnictwa wyższego.

– Kaczyński chce, żeby media zajmowały się człowiekiem homofobicznym z poglądami rodem ze średniowiecza. To jest typowa zagrywka Kaczyńskiego. Wrzucić spór ideologiczny, aby nie zajmować się pragmatyką. To jest teatr marionetek, którym steruje Kaczyński – stwierdził szef PO Borys Budka.

Jeśli to prawda, to opozycja też z ochotą bierze w nim udział, bo w ostatnich dniach w kontekście rekonstrukcji rządu większość polityków opozycji mówi tylko o Czarnku.

– Bardzo często celem środowisk medialnych i opozycyjnych stają się ludzie spoza polityki, którzy wchodzą do niej z pewnym dorobkiem i pozapolitycznym doświadczeniem. Cała ta nagonka przeciwko prof. Czarnkowi przypomina mi to wszystko, co się działo w 2015 r. wokół Piotra Glińskiego, gdy zostawał ministrem kultury. Wtedy też za wszelką cenę próbowano zdeprecjonować go i jego dorobek oraz skłócić z ludźmi kultury. Dziś jest próba skłócenia prof. Czarnka ze światem akademickim – uważa prof. Paruch.

Na pytanie, dlaczego Kaczyński postawił na człowieka, który w krajowej polityce jest zaledwie od roku, którego za dobrze nie zna i który budzi tak wielkie emocje i kontrowersje po drugiej stronie, nasuwa się jeszcze jedna dość oczywista odpowiedź. Brzmi ona: „Bo mógł". Co jak co, ale generowanie politycznych konfliktów i późniejsze zarządzanie nimi to kwintesencja polityki w wykonaniu Jarosława Kaczyńskiego. Profesor Przemysław Czarnek ze swoją wyrazistością i z ostrymi opiniami wpisuje się w nią doskonale.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

Maciej Pieczyński

Tęczowe studia

Środowiska naukowe i akademickie nie od dziś ulegają postulatom lewicy światopoglądowej

Uniwersytet Jagielloński postanowił wyjść naprzeciw „potrzebom" osób transpłciowych i niebinarnych. Uczelniany system informatyczny od niedawna wyświetla imię studenta, z którym się on identyfikuje, niezależnie od tego, czy pod tym imieniem figuruje w oficjalnych dokumentach, czy nie. – Żeby się dobrze uczyć, trzeba czuć się bezpiecznie, i temu właśnie służy narzędzie, które przygotowaliśmy – tłumaczyła na antenie Radia Eska Katarzyna Jurzak, kierownik Działu ds. Bezpieczeństwa i Równego Traktowania Uniwersytetu Jagiellońskiego. W artykule opublikowanym na ten temat na stronie rozgłośni można przeczytać, że „niektórzy bali się braku akceptacji, więc nie brali udziału w zajęciach, a w końcu dopadało ich załamanie nerwowe. Z takimi problemami borykali się transpłciowi i niebinarni studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego. Aplikacje do wykładów on-line wyświetlały wykładowcom i innym studentom tzw. martwe imiona, a nie te, którymi się faktycznie posługują".

Sam jestem wykładowcą i pracownikiem naukowym Uniwersytetu Szczecińskiego. Dlatego, aby przedstawić niektóre uczelniane absurdy od środka, podpierając się własnym doświadczeniem, będę na potrzeby tekstu zmieniać narrację z trzecio- na pierwszoosobową. Brak udziału w zajęciach z reguły traktowany jest jako nieobecność, którą należy w ten czy inny sposób nadrobić, w porozumieniu z wykładowcą, niezależnie od przyczyn. Problemy zdrowotne to oczywiście okoliczność łagodząca, ale dopiero wówczas, gdy student takie problemy udowodni stosownym dokumentem – uleganie wszelkim fanaberiom i wymówkom raczej wychowawcze nie jest. Tak czy inaczej uczelnie są autonomiczne, wykładowcy mają spory zakres swobody, więc wszystko zależy od indywidualnego podejścia i konkretnych ustaleń pomiędzy jednak mimo wszystko dorosłymi ludźmi. Natomiast, żeby nazywać „martwymi" imiona studentów, obowiązujące w ich oficjalnych dokumentach, trzeba nie mieć żadnego pojęcia o charakterze pracy na uczelni. Wykładowca prowadzi zajęcia z różnymi grupami, liczącymi łącznie nawet kilkadziesiąt czy kilkaset osób. W większości sylabusów aktywność na zajęciach jest traktowana jako składowa oceny. Do tego ustne odpowiedzi, prace pisemne, egzaminy, protokoły, do których trzeba wpisywać oceny… Oczekiwać od wykładowcy, że będzie pamiętał i brał pod uwagę nie tylko prawdziwe, lecz także wymyślone dane swoich studentów, to absurd.

Nowej tożsamości student będzie mógł używać jedynie w wirtualnych kontaktach z koleżankami, kolegami i wykładowcami (wirtualnych, bo UJ, tak jak większość uczelni, wciąż pracuje w trybie zdalnym, bez kontaktu bezpośredniego), bez zmiany danych osobowych.

NAUKOWCY POLITYCZNIE ZAANGAŻOWANI

Inicjatorem wprowadzenia genderowych rozwiązań w praktyce działania uczelni jest organizacja studencka Tęczuj UJ. „Zajmujemy się tematyką LGBTQ+: bezpieczeństwem studentów_ek LGBTQ+, edukacją równościową, szerzeniem kultury i historii społeczności oraz współpracą z sojusznikami_czkami" – czytamy na stronie stowarzyszenia na Facebooku. Szefująca organizacji Mitya Zwarycz (dumna z tego, że nosi imię jednocześnie żeńskie i męskie) tytułuje się mianem „Osoby Prezesującej". Jej zdaniem na całym Uniwersytecie Jagiellońskim studiują setki osób niebinarnych i transpłciowych. – Wykładowca po prostu odmawiał zwracania się danym imieniem do danej osoby albo kompletnie ignorował taką osobę, albo nie chciał wpuszczać takiej osoby na zajęcia – tak w mediach sprawę przedstawiła Mitya Zwarycz.

– Wykładowca ma prawo zwracać się do studenta zgodnie z imieniem i nazwiskiem, zapisanymi w dokumentach – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy" Magdalena Korzekwa-Kaliszuk, prawnik i psycholog. – Problem zaburzeń tożsamości płciowej istnieje nie od dziś. Został naukowo przebadany, są na ten temat liczne publikacje psychologów. Istnieją efektywne metody leczenia tych zaburzeń. Niestety, agresywne lobby LGBT

eprasa.pl a27c412366

Protest przeciwko udziałowi prezydenta Andrzeja Dudy w inauguracji roku akademickiego na Uniwersytecie Warszawskim, 1 października 2020 r.

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

wykorzystuje realnie istniejące problemy psychologiczne do osiągania swoich ideologicznych celów. Takie rozwiązania jak te wprowadzone niedawno na Uniwersytecie Jagiellońskim, zamiast pomagać, szkodzą osobom, które być może powinny sięgnąć po wsparcie terapeuty – dodaje.

To nie pierwszy raz, kiedy polskie środowisko uczelniane deklaruje przywiązanie do ideałów lewicy światopoglądowej. Doskonałą ilustracją preferencji politycznych świata nauki była debata wokół postulatów LGBT, która rozgorzała w trakcie wyborów prezydenckich. Kamieniem ideowego sporu rzucili politycy z otoczenia prezydenta Andrzeja Dudy. Przypominanie o „tęczowych" poglądach Rafała Trzaskowskiego mogło przyciągnąć konserwatywny elektorat, musiało jednak wywołać sprzeciw naukowych elit. Wyrwane z kontekstu słowa Jacka Żalka o tym, że „LGBT to nie ludzie, tylko ideologia", stały się pretekstem do zarzucania partii rządzącej i jej kandydatowi, że dehumanizuje przedstawicieli mniejszości seksualnych.

PAN zaapelowała wówczas do „wszystkich uczestników życia publicznego, a w szczególności do polityków większości parlamentarnej oraz sympatyzujących z nimi dziennikarzy, o zaprzestanie wygłaszania i rozpowszechniania nienawistnych, pogardliwych i dehumanizujących komentarzy na temat osób identyfikujących się jako osoby homoseksualne, biseksualne lub transpłciowe". W opinii przedstawicieli PAN „takie komentarze podtrzymują uprzedzenia i stereotypy wobec osób identyfikujących się jako osoby homoseksualne, biseksualne lub transpłciowe, które nie mają żadnego potwierdzenia w aktualnej wiedzy naukowej, w szczególności wiedzy z zakresu nauk biomedycznych i nauk społecznych". Po stronie lobby LGBT stanęło Prezydium Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, oświadczając, że „żadne okoliczności, w tym kampania wyborcza, nie mogą uzasadniać sformułowań pełnych pogardy, skierowanych pod adresem jakiejkolwiek mniejszości będącej częścią naszego społeczeństwa". Z kolei Kolegium Rektorsko-Dziekańskie UJ przekonywało w specjalnie wystosowanym apelu, że „dyskryminujące wypowiedzi nie powinny padać z ust ludzi, którzy reprezentują nasze społeczeństwo i którzy powinni respektować prawa wszystkich bez względu na ich wykształcenie, płeć, orientację seksualną czy wyznanie".

Teoretycznie trudno polemizować z tezami dokumentu. Jednak apel nie miał wymowy ogólnej. Odnosił się natomiast do konkretnych opinii, formułowanych przez konkretnych polityków na temat konkretnych zjawisk. „Społeczności akademickie nie są jednolite, a różnorodność jest ich siłą. Każde obraźliwe słowo – które pada pod adresem jakiejkolwiek mniejszości, w tym osób LGBT+, które wyjątkowo dotkliwie ucierpiały wskutek ostatnich wypowiedzi w przestrzeni publicznej – godzi w całą wspólnotę akademicką, czego stanowczo nie akceptujemy" – czytamy w treści apelu. Wynika stąd, że krytyka ideologii LGBT, nadinterpretowana jako krytyka osób, o których prawa chcą walczyć szermierze ideologii LGBT, jest automatycznie traktowana jako krytyka społeczności akademickiej.

Tak, jakby społeczność akademicka była z założenia jednolita w swoich poglądach na tę sprawę. Wolność wypowiedzi i głoszenia własnych poglądów ma, widać, jasno określone (przez lewicę) granice. Według autorów apelu „stygmatyzujące słowa skierowane pod adresem jakiejkolwiek grupy zawsze godzą w konkretnego człowieka", a dla środowiska uczelnianego „każdy człowiek był, jest i będzie najwyższą wartością". Znów: polemika z grupą pojmowana jest jako atak na konkretnego jej reprezentanta. Jeszcze mocniej niż przedstawiciele UJ po stronie lewicy wypowiedział się rektor Uniwersytetu Łódzkiego. „Od kilku dni jesteśmy świadkami ataków na osoby LGBT+. Te niegodne wypowiedzi części polityków wobec tych osób stanowczo potępiamy […]. Dyskryminujące wypowiedzi szkodzą też wizerunkowi naszego kraju w świecie" – czytamy w oświadczeniu prof. Antoniego Różańskiego.

„Uniwersytet Szczeciński to wspólnota, w której każdy niezależnie od narodowości, płci, przekonań politycznych czy orientacji seksualnej jest tak samo ważny i ma takie same prawa. Dlatego stanowczo sprzeciwiamy się wszelkim wypowiedziom, które obrażają i poniżają osoby LGBT […], nie ma naszej zgody na wykluczanie i agresję słowną wobec osób LGBT" – czytamy w treści

eprasa.pl a27c412366

oświadczenia Kolegium Rektorskiego US. Piszący te słowa sam jest pracownikiem Uniwersytetu Szczecińskiego.

Znów z narracji trzecioosobowej przejdę na pierwszoosobową. Jako pracownik US tylko częściowo utożsamiam się z oświadczeniem wystosowanym przez moją uczelnię. Tak, zgadzam się, że osób LGBT nie można obrażać i poniżać. Wszyscy ludzie zasługują na szacunek. Nie zgadzam się jednak z tezą, powtarzaną w kolejnych oświadczeniach, zgodnie z którą obiektem ataku polityków były konkretne osoby. Nie – polemika z ideologią nie oznacza braku szacunku wobec ludzi, w imieniu których ta ideologia występuje. Dlatego tak, a nie inaczej sformułowane oświadczenie jest świadectwem ideologicznego zaangażowania neutralnych z założenia przedstawicieli nauki po jednej ze stron bardzo ostrego sporu światopoglądowego, a wręcz i politycznego.

KARAĆ ZA POGLĄDY

Jednak środowiska akademickie apelują nie tylko o tolerancję, nie tylko nawet o afirmację dla środowisk homoseksualnych. Już jesienią 2019 r., a więc wiele miesięcy, zanim jeszcze krytyka LGBT stała się tematem kampanii do wyborów prezydenckich, Prezydium Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich zaapelowało o karanie tych przedstawicieli społeczności akademickiej, którzy mają niechętny stosunek do LGBT. W oświadczeniu przyznano, że wolność słowa jest wartością podstawową, która powinna przyświecać każdej instytucji akademickiej. Jednak „uczelnia jest też miejscem kształcenia, w którym naczelną wartością jest poszanowanie godności i szacunek dla człowieka, niezależnie od jego przynależności etnicznej, wyznania, narodowości czy orientacji seksualnej".

Natomiast, jak wynika z listu, zależnie już od jego poglądów. Jeśli bowiem „człowiek" jest krytycznie nastawiony do LGBT, to środkiem powinna być nie dyskusja, lecz kara. „Wyrażamy głęboki sprzeciw wobec działalności tych członków wspólnoty akademickiej, którzy używają języka przywołującego najciemniejsze karty historii Polski i świata. Czyny takie powinny bezwarunkowo podlegać odpowiedzialności dyscyplinarnej na naszych uczelniach" – czytamy. Sygnatariusze dokumentu wprost opowiedzieli się za teorią gender, stwierdzając, że „wybory dokonywane przez osoby o orientacji LGBT są bardzo trudnymi decyzjami, wynikającymi z rozbieżności płci biologicznej z psychiczną identyfikacją płci". Waga listu jest niebagatelna. Konferencję Rektorów tworzą bowiem szkoły wyższe posiadające uprawnienia do nadawania stopnia doktora w co najmniej jednej dyscyplinie.

W listopadzie ubiegłego roku jedna z uczelni w pewnym sensie zastosowała się do tych wytycznych. Śląski Uniwersytet Medyczny nie przedłużył umowy z pracownikiem, który wygłosił wykład pt. „Homoseksualizm a zdrowie". Dowodził w nim m.in., że homoseksualiści częściej chorują na AIDS. Przekonywał również, że „fizycznie, jak również psychicznie pasują do siebie tylko kobieta i mężczyzna". Uczelnia wprost przyznała, że powodem zwolnienia były poglądy wykładowcy.

– Dziekan kierujący Wydziałem Nauk Medycznych w Zabrzu niezwłocznie przedstawił swoje negatywne stanowisko na temat wykładu wraz z decyzją o rozwiązaniu z wykładowcą umowy o realizacji dzieła dydaktycznego. To stanowisko zostało podtrzymane przez prorektora ds. studiów i studentów, który nadzoruje realizację zadań dydaktycznych na uczelni […], Śląski Uniwersytet Medyczny jest instytucją, na której nie są i nie będą popierane zachowania o charakterze homofobicznym – zakomunikowała mediom Bożena Langner, rzecznik ŚUM.

Głośnych spraw z antyprawicową cenzurą na uczelniach było więcej. Profesor Aleksander Nalaskowski, pedagog z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, został zawieszony za felieton, w którym nazwał LGBT „obcą kulturowo i historycznie zarazą, objazdową tyranią chronioną przez policję gwałcicieli". Tekst był rzeczywiście niezwykle ostry. W obronie Nalaskowskiego wystąpili politycy obozu rządzącego. W końcu jednak sprawa prof. Nalaskowskiego została umorzona. Szczęśliwego zakończenia nie miała jednak już sprawa socjolog prof. Ewy Budzyńskiej. Rzecznik dyscyplinarny Uniwersytetu Śląskiego, na którym była zatrudniona na stanowisku profesora, skierował wniosek o jej ukaranie za „narzucanie studentom" własnego światopoglądu. Chodziło m.in. o „promowanie poglądów narodowo-katolickich", w tym m.in. o nazywanie człowieka w fazie prenatalnej ciąży dzieckiem. Profesor Budzyńską w obronę wziął minister Gowin, w jej obronę zaangażował się także instytut Ordo Iuris. Ostatecznie socjolog w geście protestu zrezygnowała z pracy na uczelni.

Profesor Budzyńska pracowała na Uniwersytecie Śląskim prawie przez 30 lat. Przyznaje, że choć zawsze jako osoba o poglądach konserwatywnych była w swoim środowisku zawodowym w mniejszości, to przez większość swojej naukowej kariery nie spotykała się z ostracyzmem. – Wiele zmieniło się w 2015 r. Dojście PiS do władzy sprawiło, że wielu moich koleżanek i kolegów o poglądach lewicowych się zradykalizowało. To spowodowało dystans społeczny wobec osób o konserwatywnych poglądach – mówi prof. Budzyńska w rozmowie z „Do Rzeczy". Socjolog wymienia trzy przyczyny, dla których elity uczelniane są w większości przesiąknięte ideami lewicowo-liberalnymi, a przy tym niechętne poglądom konserwatywnym. – Po pierwsze, to spadek po epoce PRL. Wówczas usunięto wielu wybitnych naukowców przedwojennych. Na ich miejsce przyszli wykładowcy o poglądach komunistycznych. Tworzyła się swego rodzaju wielopokoleniowa kasta – naukowcy wychowywali swoich następców, urabiali ich na swoje ideologiczne podobieństwo. Zarazem lewicowe poglądy stawały się oczywistym ułatwieniem kariery. Ten proces nie obejmował jedynie uczelni katolickich, gdzie nie było obowiązkowych wykładów z marksizmu-leninizmu, więc indoktrynacji nie było – mówi.

WALKA Z CENZURĄ?

Jarosław Gowin na początku tego roku, w reakcji na sprawę prof. Budzyńskiej, zapowiedział walkę o wolność słowa na uczelniach. Pod koniec stycznia ogłosił projekt ustawy. Zgodnie z zapisami miałaby powstać komisja ds. wolności słowa w systemie szkolnictwa wyższego i nauki, zaś rektorzy mieliby obowiązek zapewnienia ochrony wolności słowa w swoich jednostkach. Projekt utknął. Powstał natomiast parlamentarny zespół ds. walki z cenzurą na uczelniach. Jarosław Gowin od dawna już nie przewodzi polskiej nauce. Po rekonstrukcji rządu, jak wiadomo, obowiązki ministrów edukacji oraz nauki i szkolnictwa wyższego obejmie jedna osoba – znany z konserwatywnego światopoglądu i mocnych, z lewicowego punktu widzenia kontrowersyjnych wypowiedzi Przemysław Czarnek. W Internecie już krążą, popierane przez pracowników uczelnianych, petycje o jego dymisję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

21-23 Października 2020
Jasionka k. Rzeszowa

5 EDYCJA

KONGRES 590

POLSKA 2030

NAJWAŻNIEJSZE WYDARZENIE GOSPODARCZE JESIENI

KONGRES W FORMULE HYBRYDOWEJ

KUP BILET, ZOSTAŃ PARTNEREM
WWW.KONGRES590.PL

PODKARPACKIE
przestrzeń otwarta

G2A ARENA
Centrum Wystawienniczo–Kongresowe
Województwa Podkarpackiego

eprasa.pl a27c412366

Nowa zmiana

Marcin Makowski

Michał Moskal to dziś prawa ręka Kaczyńskiego. On i inni młodzi chcą zdefiniować PiS na nowo, na przyszłe lata. Starzy w partii stawiają opór

Michał Moskal i Jarosław Kaczyński podczas Konwencji Forum Młodych PiS, 24 czerwca 2020 r. FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Gdzieś w tle sporu o kształt i spoistość Zjednoczonej Prawicy toczy się inna, nie mniej ważna polityczna gra. To momentami burzliwa dyskusja na temat przyszłości ideowej PiS, na której czoło niespodziewanie wysunęło się Forum Młodych PiS wraz z jego przewodniczącym Michałem Moskalem. Byłym działaczem studenckim, który w ciągu dwóch lat z radnego dzielnicowego awansował na stanowisko szefa gabinetu politycznego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego. Dzisiaj to on jest twarzą „piątki dla zwierząt". Jego plany są jednak znacznie odważniejsze i długodystansowe.

NOWA „PANI BASIA"

Gdy w połowie czerwca w Lublinie, chwilę przed wyborami prezydenckimi, odbyła się konwencja młodzieżówki Prawa i Sprawiedliwości, nikt nie poświęcał jej specjalnej uwagi. Media zainteresowały się właściwie tylko tym, że poza członkami Forum Młodych PiS jedynym politykiem na scenie będzie Jarosław Kaczyński. W otoczeniu zieleni i motywów ekologicznych mówił on, podobnie jak reszta panelistów, o konieczności narzucania nowych tematów w debacie publicznej oraz wsparciu, którego kierownictwo PiS udziela swojej „kuźni kadr". Właśnie wtedy – częściowo po raz pierwszy w takiej skali (ekologia, równość wynagrodzenia kobiet i mężczyzn), a w przypadku praw zwierząt (zakaz hodowli futerkowej) po raz kolejny – poruszono zagadnienia, które miały się stać pośrednio jedną z przyczyn kryzysu w koalicji. Również wtedy, w szerszym gronie, zaprezentował się przewodniczący Forum – Michał Moskal.

Ten pochodzący z Janowa Lubelskiego, a następnie mieszkający do studiów w Lublinie 26-latek jest dzisiaj obiektem krytyki branży futrzarskiej i jedną z najszybciej awansujących osób w szeregach całej partii. Swoją aktywność społeczną zaczynał na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie jako student prawa działał równocześnie w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, przez dwa lata będąc przewodniczącym Zarządu Krajowego. Jak przyznaje w rozmowie z „Do Rzeczy", od zawsze ciągnęło go jednak do polityki. – To się u mnie zaczęło wraz z pierwszymi protestami przeciwko ACTA, później były różne lubelskie fundacje zajmujące się samorządami – mówi nam. Złośliwi wyciągają mu, że w okresie studiów miał się „kręcić wokół polityków Platformy", fotografować z Tomaszem Siemoniakiem i zastanawiać nad wstąpieniem do partii. – To bzdura – komentuje jeden ze studenckich znajomych Moskala. – W NZS organizowaliśmy wiele spotkań z politykami z różnych opcji, to były normalne rzeczy – tłumaczy. Na finiszu studiów, na przełomie lat 2017 i 2018, za namową innego znajomego z roku Moskal związał się z PiS. – W pewnym momencie część środowiska NZS z Uniwersytetu Warszawskiego zdecydowała, żeby włączyć się również w politykę partyjną. Michał był jedną z tych osób, wszedł do kierownictwa młodzieżówki PiS w Warszawie, a decyzją Mariusza Kamińskiego i zarządu okręgowego został jej szefem – mówi Michał Szpądrowski, zastępca Moskala w Forum Młodych.

Ze względu na specjalizację dotyczącą prawa i cyberbezpieczeństwa nowy na-

eprasa.pl a27c412366

bytek partii znalazł zatrudnienie w Ministerstwie Obrony Narodowej, gdzie pełnił funkcję asystenta wiceministra Tomasza Zdzikota oraz w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji. W 2018 r. został wybrany na radnego dzielnicy Żoliborz oraz wiceprzewodniczącego Komisji Budżetu i Mieszkalnictwa. Na „radar" bardziej zorientowanych w polityce kadrowej PiS dziennikarzy trafił jednak dopiero w maju tego roku, gdy ku sporemu zaskoczeniu zastąpił na stanowisku dyrektora Biura Prezydialnego PiS odchodzącą na emeryturę Barbarę Skrzypek – słynną „panią Basię" spopularyzowaną w komediowym serialu „Ucho Prezesa".

MUREM ZA KACZYŃSKIM

Stało się jasne, że prezes PiS wysyła sygnał „stawiania na młodych", który nie wszystkim przypadł do gustu. Część polityków z Nowogrodzkiej w nieoficjalnych rozmowach wskazywała na zbyt małe doświadczenie Moskala. – Mówimy o organie, który odpowiada za działanie komitetu politycznego, prezydium partii, rady politycznej oraz za kongresy, na czele którego stoi chłopak świeżo po studiach. To ryzykowny krok – komentuje powierzenie posad Moskalowi nasz informator. Inni rozmówcy dodają, że Moskal nie wziął się jednak znikąd – od 2019 r. współpracował z Jarosławem Kaczyńskim w relacji, którą określają jako schemat „mistrz-uczeń". Ta diagnoza znajduje jeszcze wyraźniejsze odzwierciedlenie przy najnowszej z nominacji Moskala, tym razem na szefa gabinetu politycznego wicepremiera Kaczyńskiego w nowym rządzie Mateusza Morawieckiego.

– Moje zadanie to przede wszystkim wspieranie premiera Kaczyńskiego przy kierowaniu komitetem bezpieczeństwa. W dwóch z trzech nadzorowanych przez niego resortów już pracowałem, co ułatwi moje zadanie – opowiada „Do Rzeczy" Moskal. Nieoficjalnie dowiadujemy się, że nie będzie on jedynym członkiem Forum Młodych w gabinecie wicepremiera, który docelowo składać się ma w większości z działaczy młodzieżówki oraz kilku doświadczonych urzędników, zapewniających sprawną obsługę gabinetu. Nie jest równocześnie tajemnicą, że u pewnych, zwłaszcza bardziej „zasłużonych" w boju kampanijnym polityków nowa układanka kadrowa, podobnie jak nominacja Moskala, budzi niepokój i zazdrość. Trudno nie postrzegać sprawy w ten sposób, ponieważ osoba kierująca gabinetem politycznym jest w praktyce „prawą ręką" Jarosława Kaczyńskiego. Moskal widuje się z nim w cztery oczy kilka razy w tygodniu, to on z Michałem Szpądrowskim stali również za akcją #StopFurChallenge, w której po raz pierwszy prezes pojawił się osobiście na młodzieżowym portalu społecznościowym TikTok, zachęcając do podejmowania działań zmierzających do likwidacji branży futrzarskiej w Polsce.

– Wiele osób uznało wtedy Michała Moskala za kogoś, kto omotał Kaczyńskiego. Niejako wbrew jego poglądom namówił go na ostrzejszy, lewicowy i ekologiczny kurs polityczny, który później zakończył się zagrożeniem koalicji – słyszę od mojego informatora. Jeden z wysoko postawionych ministrów twierdzi jednak, że to tylko wygodny pretekst wykorzystywany do ataków na Moskala, który w rzeczywistości dostosował się do agendy Kaczyńskiego. Prezes bowiem od lat walczy o prawa zwierząt i chciał nie tylko autentycznie wprowadzić „piątkę", lecz także za jej pomocą przetestować wierność członków własnej partii oraz Solidarnej Polski i Porozumienia.

WYGASZANIE SPORU IDEOWEGO

– Na Forum Młodych PiS od tygodni mówiło się, że po wyborach prezydenckich nastąpi ofensywa programowa pod zielonym sztandarem. Przecież ten Lublin nie był zrobiony jako widzimisię prezesa. Już wtedy było widać ten plan, choć może nie spodziewano się, że aby załagodzić kryzys, sam Kaczyński będzie musiał wejść do rządu – twierdzi inny rozmówca „Do Rzeczy" obeznany z kulisami planów programowych partii.

Ten ruch czyni Moskala i działaczy zgromadzonych wokół Forum Młodych jedynie silniejszymi. Wprost mówi o tym jego partyjny współpracownik. – Michał jest bezpośredni, nie owija w bawełnę, jednocześnie jest bardzo pracowity. Nazywa problemy wprost, rozmawia z premierem Kaczyńskim o tym, jak walczyć o głosy młodych ludzi w Polsce – przekonuje Michał Szpądrowski. Inni działacze, którzy widzieli współpracę Moskala i Kaczyńskiego, dodają w nieoficjalnych rozmowach, że szef FM podsyła również prezesowi materiały i opowiada o tym, jak działa dynamika mediów społecznościowych. – Kaczyński nie wierzy praktycznie nikomu na słowo, ale lubi, gdy politycy starają się mu sprzedać jakiś nowy temat, a równocześnie dostarczają dane i teksty, w które później sam może się wgłębić. TikTok nie był w tym sensie przypadkiem, tylko świadomie użytym narzędziem – słyszę.

Prawdziwe pytanie o rolę zarówno Forum Młodych, jak i Michała Moskala w PiS dotyczy jednak nie jego politycznych awansów, o których krąży (ironiczna) anegdota, że „idzie w górę szybciej niż Morawiecki", ale kierunku, który na lata zdefiniuje agendę ideologiczną całej partii. „W pierwszej kolejności, co wielu przyjęło z zaskoczeniem, skupiliśmy się na trzech aspektach: ochronie środowiska naturalnego, równouprawnieniu płciowym kobiet oraz humanitarnym traktowaniu zwierząt. Tematy te, choć do tej pory zawłaszczone przez lewicę, muszą być obecne także w prawicowej dyskusji, ponieważ są ważne dla każdego młodego człowieka, a oddanie w nich pola naszym politycznym oponentom doprowadzić może jedynie do wypaczenia przez nich prawdziwej istoty rzeczy" – pisał szef gabinetu politycznego wicepremiera Kaczyńskiego na początku września w liście do członków młodzieżówki.

Ten kierunek według moich rozmówców – choć przez wielu wprost krytykowany – jest w Forum Młodych PiS autentyczny. Moskal otwarcie opowiada o swojej fascynacji zielonym konserwatyzmem Rogera Scrutona, konieczności zejścia z linii ognia w przynajmniej kilku tematach, do tej pory lansowanych przez Solidarną Polskę, oraz otworzenia prawicy na wrażliwość związaną z troską o ekologię. – Czyste powietrze nie jest lewicowe ani prawicowe. Walka o prawa zwierząt również. Nie możemy się bać działać na tych polach, bo my myślimy o prawicy za 20, 30 lat – słyszę z ust jednego z polityków PiS. Jak dodaje, skończył się czas mówienia, teraz trzeba coś robić. – Nie chcemy mielić w nieskończoność tematów LGBT, ale np. pokazać Polakom, że w sprawie zwierząt futerkowych możemy aspirować do standardów europejskich, zamiast być miejscem, w którym lokuje się uciążliwą dla mieszkańców i niskomarżową branżę przetwórstwa oraz skórowania, a wysokomarżowe szycie futer robione jest za naszymi granicami – przekonuje jeden ze współpracowników Moskala. To jest w przybliżeniu strategia na „przyszłość PiS", który zachowując konserwatywną tożsamość, chce za sprawą ludzi takich jak Moskal istotnie przedefiniować jej akcenty. Przynajmniej w tym temacie przed partią i jej „kuźnią kadr" daleka droga.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

Przez usuwanie niewybuchu (oznaczony żółtą boją) dostęp do ogólnodostępnej przeprawy promowej będzie mocno ograniczony FOT. DOMIN/SUPER EXPRESS/EAST NEWS

Operacja „Tallboy”

Agnieszka Niewińska

W tym tygodniu mieszkańcy Świnoujścia muszą liczyć się z paraliżem miasta. To efekt akcji, w której nurkowie minerzy mają zneutralizować 5,5-tonową brytyjską bombę lotniczą z czasów drugiej wojny światowej

Takiej operacji Świnoujście jeszcze nie widziało. Nie tylko zresztą Świnoujście. Operacja neutralizacji ważącej blisko 5,5 tony bomby Tallboy z czasów drugiej wojny światowej jest niespotykana nawet na skalę światową. W poniedziałek od godz. 7 przystąpi do niej 8. Flotylla Obrony Wybrzeża. – Mieszkańcy Świnoujścia są w pewien sposób przyzwyczajeni do operacji rozbrajania niewybuchów z czasów drugiej wojny światowej, ale zwykle te akcje wymagają zamknięcia przeprawy na dwie–trzy godziny i ewakuacji niewielkich grup mieszkańców. Tym razem rozmiar akcji jest nieporównywalny – mówi Jarosław Jaz, rzecznik prezydenta Świnoujścia. I dodaje: – Na liście do ewakuacji jest ponad 700 mieszkańców, ogólnodostępna przeprawa promowa będzie zamknięta w godz. 7–17, i to przez kilka dni. Marynarka Wojenna planuje operację na trzy dni, ale dwa kolejne zostawia sobie w zapasie. Świnoujście jest otwarte dla odwiedzających przez cały rok, ale sugerowalibyśmy, by wizyty zaplanowane między 12 a 16 października przełożyć na inny czas. Czeka nas kilka trudnych dni.

JAK TRZĘSIENIE ZIEMI

Tallboy to po Grand Slam druga najcięższa bomba konwencjonalna wykorzystywana podczas drugiej wojny światowej. Zaprojektował ją brytyjski inżynier, naukowiec i konstruktor Barnes Wallis. Tallboy nie tylko ze względu na ogromną masę, lecz także na rozmiar – 6,4 metra długości i niemal metr średnicy – stanowił poważne wyzwanie dla lotnictwa. Przetransportować i zrzucić był ją w stanie tylko jeden ówczesny bombowiec – Avro Lancaster. Po raz pierwszy zrzucono tę bombę w 1944 r. w okupowanej przez Niemców Francji, ale – jak mówi Michał Mackiewicz, kustosz Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie – Brytyjczycy zaczęli projektować takie monstrualne bomby już na początku lat 40. – Pierwotnie Tallboy miał osiągać prędkość dźwięku. Ostatecznie była ona nieco niższa, ale i tak siła rażenia tej bomby była ogromna, porównywalna z trzęsieniem ziemi – podkreśla Michał Mackiewicz. I dodaje: – Choć tallboya zaczęto używać od 1944 r., to nie powiedziałbym, że bomba ta pojawiła się za późno. Trzeba pamiętać, jakim potencjałem dysponowali wówczas Niemcy. Stworzyli system potężnych fortyfikacji, do których budowy

eprasa.pl a27c412366

wykorzystali olbrzymie ilości zbrojonego betonu kilkumetrowej grubości. Zbudowane przez nich w ten sposób instalacje zabezpieczały m.in. okręty podwodne, choćby u wybrzeży Francji. Poradzić mogły sobie z tym tylko ogromne bomby burzące, takie jak Tallboy. Były też wykorzystywane do niszczenia infrastruktury transportowej oraz instalacji pocisków V1 i V2, które mocno dawały się Brytyjczykom we znaki.

Na niewybuch tallboya w Kanale Piastowskim natrafiono we wrześniu ubiegłego roku podczas przygotowań do pogłębienia toru wodnego Świnoujście–Szczecin. Bomby Tallboy alianci zrzucali nad kanałem, by zniszczyć niemiecki 186-metrowy krążownik „Lützow", który ostatecznie został zatopiony 16 kwietnia 1945 r. podczas nalotu brytyjskich bombowców. – Alianci do ostatnich dni wojny obawiali się niemieckich jednostek nawodnych i podwodnych. Te pierwsze – choć losy wojny były już przesądzone – mogły wybrać się w korsarski rejs i narobić szkód. Nic więc dziwnego, że włożyli dużo energii w zniszczenie „Lützow", tak jak wcześniej pracowali nad zniszczeniem pancernika „Tirpitz", którego ostatecznie na dno też posłała bomba Tallboy – mówi Michał Mackiewicz.

EKSPLOZJA PO 75 LATACH?

Nad operacją neutralizacji spoczywającego w Kanale Piastowskim tallboya nurkowie minerzy pracują od jesieni ubiegłego roku. – Takiej operacji jeszcze nikt nie przeprowadzał – mówi kmdr ppor. Grzegorz Lewandowski, rzecznik prasowy 8. Flotylli Obrony Wybrzeża. Tłumaczy, że wokół tallboya znajdowało się wiele obiektów zawierających materiały wybuchowe, m.in. lotnicze miny morskie typu Mark oraz bomby głębinowe typu WBD. – By przystąpić do operacji neutralizacji tallboya, nurkowie minerzy z 12. Dywizjonu Trałowców – najlepsi specjaliści, do których należy najtrudniejsza część operacji – musieli mieć pewność, że w promieniu 200 m od tallboya nie ma żadnych materiałów wybuchowych. Z obszaru tego wydobyto obiekty zawierające łącznie ok. 3 ton trotylu. Certyfikat czystości tego terenu otrzymaliśmy z końcem sierpnia, ale operacja neutralizacji tallboya wymaga także dużego zaangażowania wielu podmiotów i instytucji cywilnych spoza wojska, np. Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego, Urzędu Miasta w Świnoujściu, Urzędu Morskiego czy pozostałych służb mundurowych – wylicza kmdr ppor. Grzegorz Lewandowski.

Rzecznik 8. Flotylli Obrony Wybrzeża zwraca uwagę, że jest duże ryzyko wybuchu tallboya. – Nurkowie minerzy ocenili, że obiekt jest w bardzo dobrym stanie. Bomba zawiera 2,4 tys. kg materiału wybuchowego torpex, co odpowiada prawie 3,6 tys. kg trotylu. Każdy ruch, każde uderzenie, każda zmiana ciśnienia może doprowadzić do eksplozji – zaznacza.

Z tego względu wojsko wyznaczyło kilka stref bezpieczeństwa. Promień 2 km od tallboya to strefa zagrożenia dla życia i zdrowia, do 2,5 km to strefa bezwzględnej ewakuacji. W strefie do 3 km obowiązuje zakaz przebywania na przestrzeniach otwartych. Strefa niebezpieczna dla ludzi zanurzonych w wodzie to aż 16,5 km.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Siła rażenia tej bomby była ogromna, porównywalna z trzęsieniem ziemi

Komandor ppor. Grzegorz Lewandowski wyjaśnia, że tallboy nie zostanie podniesiony z dna Kanału Piastowskiego i przewieziony w odległe miejsce w celu detonacji. Zagrożenie wybuchem byłoby zbyt duże. – Zastosujemy metodę deflagracji, czyli wypalenia materiału wybuchowego znajdującego się w bombie. Dopiero od rzeczywistych rezultatów tego procesu będzie uzależniona dalsza część operacji, czyli ewentualne usunięcie tego obiektu z miejsca, w którym zalega – tłumaczy rzecznik prasowy 8. Flotylli Obrony Wybrzeża.

Nurkowie wokół ładunku będą przebywać jedynie na etapie przygotowania tallboya i instalacji sprzętu niezbędnego do przeprowadzenia deflagracji. – Bezpieczeństwo żołnierzy i osób zaangażowanych w operację jest najważniejsze, dlatego deflagracja zostanie zainicjowana zdalnie, radiowo z odległości ponad 2 km od bomby – zaznacza kmdr ppor. Lewandowski.

TO NIE KONIEC NIEWYBUCHÓW

Michał Mackiewicz nie ma wątpliwości, że nurków minerów czeka w Świnoujściu bardzo trudne zadanie. – Nie chciałbym być na ich miejscu. To operacja dla najlepszych specjalistów i na ogromną skalę. Podobne akcje unieszkodliwiania niewybuchów z drugiej wojny światowej przeprowadzane były w zachodnich Niemczech, ale masa rozbrajanych ładunków była nieporównywalna – mówi kustosz Muzeum Wojska Polskiego.

W 2013 r. w Dortmundzie natrafiono na ważący 1,8 tony niewybuch z czasów drugiej wojny światowej. Ewakuowano 20 tys. osób. Podobnie było w 2015 r. w Kolonii, gdzie na ważącą tonę bombę lotniczą natrafiono podczas prac nad instalacją ciepłowniczą w samym centrum miasta. Przygotowania do neutralizacji bomby trwały kilka dni. Ewakuowani musieli zostać mieszkańcy dwóch dzielnic Kolonii.

– Z całą pewnością tallboy nie jest ostatnim niewybuchem, na jaki natrafiliśmy. Jeszcze przez dziesiątki lat będziemy odkopywać pociski różnych kalibrów z okresu drugiej wojny światowej. Wiele niespodzianek znajdziemy zwłaszcza na Śląsku czy na Pomorzu Zachodnim. Tam znajdowało się wiele niemieckich instalacji militarnych. Znalezisk można się spodziewać np. w okolicach Polic, gdzie Niemcy produkowali paliwa syntetyczne dla swojej armii. Alianci prowadzili w tamtym rejonie intensywne naloty – tłumaczy Michał Mackiewicz.

Zaangażowanym w akcję neutralizacji tallboya pozostaje życzyć powodzenia, a mieszkańcom Świnoujścia spokoju i cierpliwości. – Mamy nadzieję, że wojsku uda się szybko zakończyć operację i już w środę po godz. 17 będziemy mogli zameldować, że wszystko się udało, a życie w naszym mieście wróci do normy – mówi Jarosław Jaz ze świnoujskiego magistratu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

Serial „Ratched" obmyślony został przez Evana Romansky'ego jako prequel „Lotu nad kukułczym gniazdem"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Co by tu jeszcze...

Piotr Gociek

Jak przerobić klasykę? Najłatwiej na gorsze. Tylko po co? Lekcji udziela serwis Netflix

Sequel, prequel, historia alternatywna – każdy sposób jest dobry dla kontynuowania dzieła reedukacji w duchu politycznej poprawności i „nowej normalności", ale nie tej pandemicznej, tylko tej spod znaku rewolucji marksizmu-lesbianizmu. Dopiero co przybliżałem na łamach „Do Rzeczy", jak wykorzystuje się w tym celu serialowe historie alternatywne. Serial „Watchmen" wykorzystywał ten chwyt, by białych ukazać bez wyjątku jako przebrzydłych i krwawych rasistów. Serial „Spisek przeciw Ameryce" wmawiał współczesnym Amerykanom, że każdy z nich to antysemita i ukryty faszysta czekający niecierpliwie, aż nad Potomakiem objawi się jakiś nowy führer i rzuci hasło do masowych prześladowań amerykańskich Żydów. Były to produkcje HBO, ale i Netflix nie pozostawał z tyłu, wszak serial „Hollywood", o którym też pisałem, stawiał rękami twórców „Glee" tezę, że fabryka snów oraz świat w ogóle byłyby lepsze, gdyby za sterami przemysłu filmowego po drugiej wojnie światowej zasiedli pospołu geje oraz prześladowane mniejszości etniczne.

Tym razem znów o Netflixie za sprawą dwóch nowości, które sprawiają, że włos jeży się na głowie („Ratched"), lub zwyczajnie irytują („Enola Holmes"). Amerykański serwis streamingowy na dobre wcielił się w rolę forpoczty zmian kulturowych i obyczajowych.

WIELKA ODDZIAŁOWA

Najpierw „Ratched". Niektórzy kojarzą to nazwisko, zdecydowanie więcej zareaguje jednak dopiero na hasło: „Wielka Oddziałowa". Kluczowa postać słynnej powieści Kena Keseya „Lot nad kukułczym gniazdem" (1962, pol. wyd. 1981) i jeszcze słynniejszej ekranizacji, której dokonał Miloš Forman (rolę siostry Ratched w roku 1975 grała Louise Fletcher, nagrodzona zresztą za tę kreację i Oscarem, i Złotym Globem). Ratched, symbol opresyjnego systemu, przeciw któremu buntowali się nieszczęśnicy zamknięci w psychiatrycznym szpitalu. Ratched, dowód na to, że – jak melorecytował kiedyś Jim Morrison w „American Prayer" – „szaleńcy zarządzają naszym więzieniem". Ratched, zło wcielone o gładkiej twarzy. „Twarz oddziałowej jest gładka, proporcjonalna i precyzyjnie wykonana, jak buzia kosztownej lalki: kremowobiała skóra przypominająca emalię cielistej barwy, błękitne oczka, mały nosek o różowych chrapkach" – pisał Kesey w powieści.

Serial „Ratched" obmyślony został przez Evana Romansky'ego jako prequel „Lotu nad kukułczym gniazdem", choć bardziej pasowałoby używane w świecie komiksowych superbohaterów określenie „origin story": Skąd wzięła się Wielka Oddziałowa? Kim była, zanim ujrzeliśmy ją na oddziale wojskowego szpitala psychiatrycznego? Jak rządzi żelazną ręką i prowadzi wojny z niesfornymi pacjentami? Co ją uformowało? Współtwórcą jest Ryan Murphy, gejowska ikona Hollywood od „Glee" i „Hollywood".

Ośmioodcinkowa seria (na razie, bo zamówiono też drugi sezon) to uczta dla oczu, bo dopieszczona jest i wystylizowana jeszcze lepiej niż serial „Hollywood". Jednocześnie stanowi obrazę dla inteligencji widza, bo poza pięknymi obrazkami oferuje same prostackie wytłumaczenia (prostackie i odpowiednio perswazyjnie ukierunkowane). Siostra Ratched wkręca się do szpitala dla psychicznie chorych, bo

eprasa.pl a27c412366

jest tam zamknięty jej przybrany brat. Ten zaś trafił na oddział po tym, jak rzucił się mordować księży, szukając pomsty, bo ma z jednym z nich rachunki do wyrównania (tak, oczywiście chodzi o to, że głównym zajęciem księży jest hańbienie niewinnych). Lucia State Hospital okazuje się piekłem na ziemi, bo praktykuje się tam na szeroką skalę lobotomię, elektrowstrząsy oraz rozmaite inne metody robienia pacjentom krzywdy.

Romansky i Murphy próbują nam sprzedać takie oto wytłumaczenie: wszystko, co złe, dzieje się dlatego, że społeczeństwo jest męskie, patriarchalne, nietolerancyjne (no i jeszcze ci wstrętni księża). Siostra Ratched wyznaje w pewnym momencie, że straciła poprzednią pracę, bo w porywach szlachetności serca poddawała cierpiących żołnierzy eutanazji. Dowiadujemy się też, że choć z początku przyszła Wielka Oddziałowa oburza się na sugestie, że jest lesbijką, to jednak odkrywa w sobie ten rodzaj fascynacji, co oczywiście jest kolejnym powodem, dla którego będzie cierpieć. Wszak okrucieństwo społeczeństwa wobec mniejszości wszelkiego rodzaju nie zna granic.

Szkoda miejsca i pióra na dalsze detale, bogaty w ładne obrazki i z wielką pieczołowitością skonstruowany świat serialu „Ratched" to z jednej strony orgia przemocy i okrucieństwa, z drugiej łopatologiczny wywód na temat wad starego świata. Co rozczarowuje najbardziej, to fakt, jak niewiele miejsca poświęcono próbie pokazania ewolucji najważniejszej postaci, czyli samej siostry Ratched. W najlepszym przypadku mamy do czynienia z żeńską odpowiedzią na „Jokera" Todda Phillipsa. Tam przyszły etatowy czarny charakter zszedł na złą drogę, bo go za młodu przykuwano do kaloryfera, no i dlatego, że społeczeństwo go nie rozumie. Siostra Ratched niby dlatego, że jest ofiarą konserwatywnego społeczeństwa, ale przecież w serialu widzimy, że jeszcze zanim trafiła do Lucia State Hospital, normalna nie była. Dlaczego?

I jeszcze jedno. Pisałem już kilkakrotnie o niebezpieczeństwie nieprzemyślanych sequeli. Z reguły spłaszczają i odzierają z uroku dzieła, na których pasożytują. Hannibal Lecter w „Milczeniu owiec" był niesamowitą fiugurą, złem wcielonym, przerażającym memento. Kiedy Thomas Harris i filmowcy zaczęli mu dopisywać przeszłość, zrobił się nagle postacią dużo mniej ciekawą. Z Wielką Oddziałową jest podobnie. W „Locie nad kukułczym gniazdem" fascynowała i przerażała jako symbol systemu oraz nieprzenikniona tajemnica. Po „Ratched" spoglądamy na nią już tylko jak na niebezpieczną świruskę.

SIOSTRA SHERLOCKA

W filmie „Enola Holmes" mamy do czynienia z przeróbką innego rodzaju. Rozszerzeniem znanego i lubianego uniwersum. Tytułowa postać grana z wdziękiem przez Millie Bobby Brown (pamiętna Eleven z serialu „Stranger Things") to nieznana dotąd światu siostra Sherlocka Holmesa. Wychowywana przez matkę w ustronnej cichej rezydencji, wyrasta na pannicę niezależną, ciekawską i niezłą w rozwiązywaniu zagadek. Kiedy jej matka (Helena Bonham-Carter) znika, Enola spróbuje odkryć dlaczego. Na przeszkodzie staną jej jednak starsi bracia. Nieco bezwolny Sherlock (Henry Cavill) i bardzo odrażający, bufonowaty Mycroft (Sam Claflin). Enola ucieka więc z domu i wyrusza do Londynu, po drodze wplątując się w jeszcze jedną kabałę i zyskując niespodziewanego towarzysza podróży.

Jest to opowieść na motywach popularnej serii książek dla młodzieży autorstwa Nancy Springer. Pierwsze tomy przełożono na polski, a ja z okazji premiery książki „Enola Holmes. Sprawa zaginionego markiza" („Do Rzeczy" nr 48/2018) pisałem: „O wersję filmową trochę się obawiam, wiedząc, jak tępe ideologiczne perswazje potrafi produkować współczesny Hollywood, książka sprawiła mi wiele przyjemności". Okazałem się, niestety, prorokiem. Książki, powtórzę, są urocze. Co z tego zostało jednak w filmie Harry'ego Bradbeera? Niewiele. Szkielet fabularny niby jest podobny, ale nastąpiło daleko idące przesunięcie akcentów. Zamiast lekkiej opowiastki przygodowo-detektywistycznej dostaliśmy ciężkostrawną przypowieść o odrażających samcach, grzechach patriarchalnego społeczeństwa (nigdy za wiele złego patriarchalnego społeczeństwa w Netflixie) i licznych zaletach sufrażystek. Niech żyją nam prawa kobiet, nie mam z tym problemu, wszak Polska szybciej o nie zadbała niż Wielka Brytania, ale naprawdę nie każdą fabułę należy przerabiać od razu na dzieło walczące.

Książeczki Nancy Springer łączyły przygodę, zagadkę i nienachalny dydaktyzm. Netflix połączył ciężki dydaktyzm z łopatologią, jak to zwykł robić nie od dziś, stając się awangardą walki ideologicznej w rozrywce. Powieść Kena Keseya „Lot nad kukułczym gniazdem" była – podobnie jak film Formana – uniwersalną opowieścią o starciu jednostki z systemem, o pragnieniu wolności. I z tego powodu emocjonowali się nią zarówno kontrkulturowcy w USA, jak i uciśnieni obywatele tzw. krajów demokracji ludowej. Z tych znaczeń serial Netflixa oryginał odziera, wszystko to redukuje, spłaszcza.

Amerykański gigant streamingowy na razie funduje kulturze lobotomię. Kiedy zafunduje jej eutanazję?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl a27c412366

2000 mkw. dla kultury

Joanna Bojańczyk

Warszawska Akademia Sztuk Pięknych w pałacu Raczyńskich po generalnym remoncie będzie nie tylko siedzibą uczelni, lecz także przestrzenią ekspozycyjną otwartą dla publiczności. Zbiory artystyczne uczelni były dotąd niepokazywane

Pałac przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie – siedziba Akademii Sztuk Pięknych FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zapyziały, niepodpiwniczony, z podziurawioną fasadą, odpadającym tynkiem i pomieszczeniami podzielonymi na klitki. Tak wyglądał budynek Akademii Sztuk Pięknych przy Krakowskim Przedmieściu, gdy osiem lat temu prof. dr hab. Jerzy Bogusławski obejmował nowo utworzone stanowisko prorektora do spraw inwestycji i rozwoju ASP.

Dzisiaj prof. Bogusławski oprowadza mnie po świeżo wyremontowanym pałacu Czapskich, jednym z najpiękniejszych w Warszawie. Teraz będzie on siedzibą nie tylko, jak dotąd, wydziałów malarstwa i grafiki, lecz także miejscem największej w Warszawie przestrzeni wystawowej. 2000 mkw. nowocześnie zaaranżowanej ekspozycji przyjmie zbiory akademii, dotychczas z braku miejsca niepokazywane. Malarstwo, rzeźba, grafika, ceramika, obiekty ofiarowane przez profesorów, depozyty. Tysiące książek. Biblioteka artystyczna i wystawa będą otwarte dla publiczności.

To, że budynek wymaga remontu, wiadomo było od dawna. Myśleli o tym poprzedni rektorzy prof. Adam Myjak i prof. Ksawery Piwocki… Profesor Piwocki powiedział: – Mamy na uczelni architektów. Dlaczego nie skorzystać z ich wiedzy?

Jednak droga do odbudowy nie była prosta. Najpierw trzeba było zająć się uregulowaniem własności budynku. Pałac Raczyńskich, w którym przez cały okres powojenny mieściła się Akademia Sztuk Pięknych, powstał w XVII w. dla prymasa Michała Radziejowskiego, prawdopodobnie według projektu Tylmana z Gameren. Wielokrotnie zmieniał właścicieli: należał do Radziejowskich, Sieniawskich, Czapskich, Krasińskich, Raczyńskich. Odbywały się w nim narady nad projektami Konstytucji 3 maja. Do roku 1912 znajdowały się tu Zbiory Biblioteki Ordynacji Krasińskich. Założyciel tej biblioteki, kolekcjoner Wincenty Krasiński, przekształcił kilka komnat w sale muzealne. Pałac był wielokrotnie przebudowywany, w czasie obrony Warszawy w 1939 r. główny korpus spłonął po wybuchu bomby.

Odbudowano go w latach 40. XX w. i zgodnie z obowiązującą wtedy doktryną konserwatorską zlikwidowano skutki XIX- i XX-wiecznych przekształceń oraz przywrócono pałacowi późnobarokowy kształt oraz dekoracje. Oficyny utrzymano w XVIII-wiecznej formie.

POCZUCIE STABILNOŚCI

Ten piękny budynek jest tylko jedną z kilku lokalizacji największej w Polsce uczelni artystycznej. Funkcjonuje ona w kilku miejscach Warszawy. Przy Krakowskim Przedmieściu znajdują się wydziały malarstwa, grafiki i rektorat, architektura i wzornictwo – przy ul. Myśliwieckiej. Konserwacja i scenografia mieszczą się przy Wybrzeżu Kościuszkowskim w nowoczesnym budynku projektu pracowni JEMS Architekci. Rzeźbę i multimedia pomieścił nowocześnie zaprojektowany przez krakowską grupę Vostok Design gmach przy ul. Spokojnej.

To prawda, że akademia przez cały okres powojenny działała z powodzeniem w budynku przy Krakowskim Przedmieściu, a jednak jej status własnościowy był nieuregulowany. Gdy po 1990 r. rodzina Raczyńskich, ostatnich właścicieli pałacu, wystąpiła o zwrot nieruchomości, trzeba było wreszcie sprawę załatwić.

– Poszedłem do ministra Zdrojewskiego i powiedziałem: „Panie ministrze, czy dostanę kilkaset tysięcy na adwokatów, żeby bronić akademii, czy kilka milionów na nowy budynek?” – opowiada prof. Bogusławski.

I takie dictum sprawę rozwiązało. Akademii udało się zostać legalnie przy Krakowskim Przedmieściu.

Sprawa zakończyła się w roku 2013. Decyzją wojewody mazowieckiego uczelnia nabyła nieodpłatnie prawo własności gruntu Skarbu Państwa przy ul. Krakowskie Przedmieście 5 i została wpisana do księgi wieczystej oraz ewidencji gruntów

eprasa.pl a27c412366

i budynków, ale dopiero wejście w życie małej ustawy reprywatyzacyjnej w sierpniu 2016 r. dało poczucie stabilności. Nieuregulowana forma własności byłaby tylko problemem formalnym, gdyby nie to, że bez zalegalizowania statusu nie można było występować o dotację z Unii na remont. I budynek niszczał coraz bardziej.

– Nie będąc formalnym właścicielem nieruchomości, nie mogliśmy się starać o żadne dofinansowanie na remont, także z Unii Europejskiej. Teraz chcemy go zrobić jak najszybciej – mówił „Gazecie Wyborczej" prof. Adam Myjak w roku 2013.

A potem, już komentując sukces: „Zawsze wierzyłem, że władze nie pozwolą, by uczelnia państwowa z tak ogromną tradycją została pozbawiona możliwości nauczania".

To był dopiero koniec początku. Należało zdobyć pieniądze, wykonać projekt, znaleźć wykonawcę, przeprowadzić prace.

Koszt projektu „Akademia Otwarta – przebudowa i renowacja Pałacu Czapskich Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie na potrzeby działalności kulturalnej i edukacji artystycznej" wyniósł ponad 26 mln zł. Dofinansowanie z UE otrzymano w wysokości 17 mln zł. Różnicę pokryło Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

– To idea akademii otwartej pomogła nam w otrzymaniu dotacji z Unii – mówi prof. Bogusławski. – Chodziło o to, żeby budynek był dostępny także dla publiczności.

Architekt kontynuuje: – Mój pomysł był taki: odgruzować zasypane fundamenty, pogłębić je, podpiwniczyć. A przede wszystkim odtworzyć pomieszczenia w ich historycznym układzie. Mamy w muzeum 20 tys. obiektów, muszą one znaleźć odpowiednie miejsce ekspozycji. Całość nie może być zamknięta tylko dla pracowników i studentów uczelni, ona powinna być udostępniona dla publiczności. Pałac jest tego wart.

JESZCZE W TYM ROKU

Przetarg na projekt architektoniczny wygrał Andrzej Wyszyński. – Największą pracą okazało się podbicie, pogłębienie fundamentów całego pałacu – opowiada Jerzy Bogusławski, który koordynował prace. – Żeby odzyskać piwnice, musieliśmy wygrzebać tony zalegającej tam ziemi. Nie można było tego tak po prostu odkopać, musieli to zrobić archeolodzy. Ziemię trzeba było przesiać. Przy okazji odkryliśmy kafle, niektóre nawet z XVII w., a także XVII-wieczny fragment ogrzewania podłogowego – przewody kominowe w podłodze. Z każdej złotówki trzeba było się rozliczać. Musieliśmy się mocno nagimnastykować, żeby nie zmienił się program, na który dostaliśmy pieniądze. Nowa klatka przeciwpożarowa, winda – to już poza nami. Przed nami: urządzenie, nagłośnienie, meble. Całość musimy zamknąć w tym roku kalendarzowym.

Opisuje główną ideę przestrzenną – by z holu głównego można było zobaczyć ogród. Dotąd ten widok był zablokowany. – Dzięki temu otwarciu mogliśmy zaprojektować reprezentacyjną klatkę schodową do nowo powstałych piwnic – wskazuje Bogusławski.

Profesor Bogusławski uważa, że będzie to jedno z najpiękniejszych i najciekawszych miejsc w Warszawie. Dwa dziedzińce: uniwersytetu i akademii przedzielone tylko Krakowskim Przedmieściem. Idą tędy tłumy ludzi – mieszkańców i turystów. – U nas będzie można oglądać polską sztukę współczesną, jeszcze zanim otworzy się Muzeum Sztuki Nowoczesnej przy Pałacu Kultury – mówi profesor.

I dodaje: – Mamy świetne zbiory i musimy o nie dbać. Każdy artysta, który tu działał, zostawił swój ślad. Mamy darowizny samych artystów albo ich rodzin, mamy depozyty. Będziemy rozwijać międzyuczelnianą wymianę kulturalną. Akademia jest niedostatecznie wypromowana. Myślenie, że jesteśmy wielkimi artystami i muszą nas docenić na zewnątrz, już nie działa. Teraz trzeba się promować. Wreszcie mamy miejsce, żeby to zrobić.

Od Krakowskiego Przedmieścia do stojącego w głębi podwórza pałacu wzdłuż jego głównej osi będzie prowadziła droga, po dwóch jej stronach zieleń. – Tu zawsze siadało się na trawie, to tradycja akademii – mówi prof. Bogusławski.

W piwnicach dotąd znajdowały się tylko pomieszczenia techniczne i słynny wśród studentów nie tylko akademii klub Eufemia. Teraz podpiwniczona jest całość – dzięki temu powstały cztery wielkie sale wystawowe oraz pracownia typografii, w której będzie można zapoznać się z pracą w tradycyjnej drukarni. Na parterze znajdują się dwie sale przeznaczone na wystawę zbiorów muzeum, trzy sale na seminaria i wystawy czasowe oraz trzy sale dla Galerii Salonu Akademii. W foyer będzie prezentacja książek wydawanych przez ASP.

Na pierwszym piętrze oprócz sal senatu i rektoratu będzie się mieścić biblioteka z nowoczesnym systemem magazynowania księgozbioru. – Największa w Polsce biblioteka związana ze sztuką – wyjaśnia prof. Bogusławski. Będą też dwie czytelnie dla studentów i osób z zewnątrz. Całość wyposażona w nowoczesny system nadzoru. W Sali Senatu na pięknych posadzkach z jesionu, dębu i hebanu staną białe stoły oraz krzesła prof. Karola Tichego, kopie tych z Muzeum Narodowego.

Na poddaszu będą mieściły się magazyny otwarte Muzeum ASP. W określonych dniach i godzinach będą dostępne dla publiczności. W pięciu salach wyposażonych w nowoczesny sprzęt do magazynowania obiektów oraz instalację utrzymującą odpowiednie parametry powietrza znajdzie się kolekcja akademii – ok. 20 tys. przedmiotów. Jest to pięć sal.

– Moim marzeniem – mówi prof. Bogusławski, gdy jesteśmy w Sali Senatu – jest tablica pamiątkowa Konstytucji 3 maja. Podobno ostatnie poprawki do konstytucji tu właśnie były nanoszone dzień przed ogłoszeniem. Czy to prawda, do końca nie wiadomo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

W 1941 r. komiksowym superbohaterem w USA był polski pilot: Blackhawk FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jak nas rysują

Łukasz Czarnecki

Kilkanaście ostatnich lat było okresem nobilitacji komiksów. Największa w tym zasługa ekranizacji przygód kultowych bohaterów wydawnictwa Marvel

Malkontenci mogą kręcić nosem i rysować palcami kółko przy skroni, jednak fakt pozostaje faktem – komiksy wyrwały się z niszy zamieszkanej przez tzw. geeków i z przytupem weszły na salony. Na początku lat 20. XXI w. stanowią już część kultury głównego nurtu, a ich twórcy nie tracą impetu, racząc nas kolejnymi przygodami rysunkowych herosów. Komiksowa moda dotarła również do Polski. Aby się o tym przekonać, wystarczy wybrać się na dowolny konwent fanów fantastyki i popkultury – stałym punktem takich imprez jest panel komiksowy, a audytorium wygłaszanych w jego ramach prelekcji stanowią dziesiątki ludzi przebranych za postacie ulubionych bohaterów.

POLACY NIE GĘSI

Warto podkreślić, że Polska nie jest tylko rynkiem zbytu dla wytworów amerykańskich wydawnictw. Nasz kraj wydał cały szereg wybitnych mistrzów komiksów, z których większość (niestety!) znana jest tylko na naszym własnym podwórku, jak np. Janusz Christa, autor „Kajka i Kokosza". Możemy jednak pochwalić się też nazwiskami, które zrobiły ogólnoświatową karierę, pierwszym z brzegu przykładem jest rysujący słynną belgijską serię „Thorgal" Grzegorz Rosiński. Od roku 2016 w jego ślady idzie Katarzyna Niemczyk – polska ilustratorka współpracująca z najważniejszymi wydawcami zza Atlantyku. Współtworzony przez nią dla Marvela cykl „Mockingbird" doczekał się nawet nominacji do Nagrody im. Eisnera, będącej dla twórców komiksów tym samym, czym Oscar dla filmowców.

Polski wkład w światowy komiks nie ogranicza się wyłącznie do zeszytów narysowanych przez naszych rodaków. Od czasu do czasu w obrazkowych opowieściach pojawiają się wątki związane z naszym krajem, jego historią i kulturą. W tegoroczne wakacje Internet zelektryzowała np. wieść o tym, że antagonistą kręconej dla platformy Disney Plus serialowej ekranizacji solowych przygód znanego z „Avengers" Hawkeye'a będzie skrytobójca o swojsko brzmiącym nazwisku Kazimierczak. W komiksowym materiale źródłowych pochodził on właśnie znad Wisły. Na tym ukrywającym twarz za maską klowna najemniku bynajmniej nie wyczerpuje się lista polskich wątków w amerykańskim komiksie. Przekonajmy się zatem, którzy z bohaterów opowieści obrazkowych mają polskie obywatelstwo, w dzieciństwie jedli pierogi (to akurat żart) lub odwiedzili przejazdem Kraków.

JASTRZĄB ZNAD WISŁY

Chyba nie ma Polaka, który nie słyszałby o udziale polskich lotników w bitwie o Anglię. Nazwa Dywizjonu 303 i nazwiska Witolda Urbanowicza, Jana Zumbacha czy Stanisława Skalskiego sprawiają, że każdemu z ich rodaków robi się cieplej w sercu. Mało kto jednak u nas wie, że owi bohaterscy awiatorzy zainspirowali

eprasa.pl a27c412366

serię komiksową, której kolejne odcinki ukazują się od sierpnia roku 1941! Wtedy to właśnie na łamach antologii „Military Comics", wydanej przez amerykańską oficynę Quality Comics, opublikowana została historia zatytułowana „Blackhawk", stworzona wspólnie przez Willa Eisnera i Chucka Cuidera.

Głównym bohaterem wzmiankowanej opowieści był polski lotnik walczący we wrześniu 1939 r. z niemieckimi szwadronami Luftwaffe. Po klęsce polskich wojsk i tragicznej śmierci rodziny ów bezimienny as przestworzy przebił się na Zachód, gdzie sformował sześcioosobowy szwadron „Czarnych Jastrzębi", z którymi startując z ukrytej morskiej bazy, stawiał czoła nazistom.

Polski heros występujący pod pseudonimem Blackhawk szybko stał się bohaterem kultowym. W okresie drugiej wojny światowej jedynym tytułem komiksowym, który sprzedawał się lepiej niż jego przygody, były opowieści o Supermanie. Nawet wtedy, gdy działania wojenne się zakończyły, Polak nadal panował w sercach amerykańskich dzieciaków. Ba, przeżył nawet wydawnictwo, w którym zadebiutował i po dziś dzień walczy ze złem i z występkiem, czyniąc to pod logo DC Comics. Czyni to serię o nim jedną z najdłużej wydawanych w historii. Co prawda, w roku 1952 zmieniono mu obywatelstwo, przemieniając w Amerykanina polskiego pochodzenia, ale drugim po przywódcy w ekipie „Czarnych Jastrzębi" pozostał Polak o imieniu Stanisław. W latach 50. „Blackhawk" doczekał się też kinowego serialu i słuchowiska, które przysporzyły mu kolejnych fanów. Wiele wskazuje też na to, że wkrótce pogromcę nazistów czeka renesans zainteresowania jego osobą, bo w roku 2018 chęć nakręcenia filmu o nim wyraził Steven Spielberg.

MAGNETYZER Z AUSCHWITZ

O ile „Blackhawk" pozostaje u nas tytułem całkowicie nieznanym, o tyle nie da się tego samego powiedzieć o innej heroicznej ekipie, którą teraz się zajmiemy. Mowa mianowicie o stworzonych w latach 60. przez Stana Lee i Jacka Kirby'ego X-Menach, drużynie obdarzonych nadludzkimi mocami mutantów walczących z niesprawiedliwością i uciskiem.

Historia kalekiego telepaty prof. Charlesa Xaviera i jego podopiecznych była dzieckiem swoich czasów. X-Meni nie stanowili grupy bohaterów ubóstwianych przez ludzi, których ratowali. Wręcz przeciwnie, ich przejawiająca się w dziwnych umiejętnościach i osobliwym wyglądzie (jeden z członków ekipy miał anielskie skrzydła, inny przypominał małpę, kolejny miał wygląd diabła ze średniowiecznych manuskryptów, co nie przeszkodziło mu jednak w zostaniu... księdzem) odmienność wywoływała w społeczeństwie strach i nienawiść. Wychowankowie profesora X byli postaciami, z którymi śmiało mogli się utożsamiać przedstawiciele dyskryminowanych mniejszości. Pamiętajmy, że w chwili premiery pierwszego zeszytu o ich przygodach w USA w najlepsze trwała polityka segregacji rasowej, a do niektórych lokali nie wpuszczano: Żydów/Włochów/Polaków/Irlandczyków (niepotrzebne skreślić). Sam Stan Lee przyznawał później, że pierwowzorem walczącego o równouprawnienie mutantów i ich pokojową koegzystencję z ludźmi Charlesa Xaviera był Martin Luther King. Źródłem inspiracji dla twórców tytułu stał się jednak również radykalny bojownik o prawa czarnoskórych – Malcolm X, którego komiksowym odbiciem stał się przywódca Bractwa Złych Mutantów, obdarzony władzą nad metalami i ziemskim polem

REKLAMA

FINEZYJNA NOWOCZESNOŚĆ

Kolekcja szwajcarskich zegarków ROAMER COMPETENCE SKELETON III to ucieleśnienie czystego i klasycznego designu, z którego od lat słynie marka ROAMER. W prostej, eleganckiej kopercie o średnicy 43 mm zamknięto wysokiej klasy automatyczny szwajcarski mechanizm, gwarantujący dokładność i niezawodność. Dzięki zastosowaniu szkieletowania serce tego zegarka można podziwiać niemalże w całości. Warto zwrócić uwagę na piękne kontrasty kolorystyczne poszczególnych elementów mechanizmu – złocistych kół balansu oraz kół zębatych przekładni chodu, a także rubinowych, fioletowych kamieni łożyskujących. Sposób montażu logo ROAMER na tarczy również jest bardzo ciekawy, wygląda jak zawieszone w przestrzeni. Nie można nie wspomnieć także o wyjątkowej kompozycji kolorystycznej. Granatowa tarcza idealnie współgra z wykonaną ze stali szlachetnej kopertą w kolorze stalowym oraz lunetą w odcieniu różowego złota. Całość została osadzona na skórzanym pasku w kolorze ciemnego brązu.

Aby móc cieszyć się tym pięknym zegarkiem przez długie lata, zastosowano odporne na zarysowania szafirowe szkło z powłoką antyrefleksyjną, co zapewnia wieloletnią trwałość i nieskazitelny wygląd.

101663 49 45 05N
cena: 2980 zł

eprasa.pl a27c412366

magnetycznym Magneto. I tu dochodzimy do polskiego wątku, bo ów szwarccharakter był... polskim Żydem.

Magneto trudno nazwać typowym komiksowym złoczyńcą. Jego postać od swego debiutu przeszła zresztą długą ewolucję i we współczesnych komiksach jest on pokazywany raczej jako antybohater. Problem z tym łotrem polega na tym, że należy on do kategorii złych, którzy mają rację. Fakt, głosi on potrzebę zbrojnej emancypacji mutantów i snuje apokaliptyczne wizje nieuchronnego konfliktu między dziećmi atomu a zwykłymi ludźmi. Trudno się jednak dziwić radykalizmowi Magneto, gdy uświadomimy sobie ogrom tragedii, jaka stoi za jego poglądami. Jako się rzekło, jest on Żydem z Polski, którego cała rodzina została przez Niemców zamordowana w obozie koncentracyjnym w Auschwitz. On sam przeżył, bo naukowcy z SS, odkrywszy jego nadludzkie umiejętności, poddawali go okrutnym eksperymentom medycznym. Te wydarzenia pozbawiły przywódcę Bractwa Złych Mutantów wszelkiej wiary w ludzką dobroć i pchnęły go na drogę radykalizmu. Doświadczenie Holokaustu ukształtowało światopogląd Magneto i zaszczepiło w nim przekonanie o potrzebie zbrojnej walki przeciw dyskryminacji podobnych mu mutantów, dyskryminacji, która – jak wierzy – swój finał może znaleźć w nowych piecach krematoryjnych.

Bolesna przeszłość mistrza magnetyzmu stanowiła wdzięczną pożywkę dla filmowców. We wszystkich dotychczasowych ekranizacjach przygód X-Menów wątek Auschwitz stanowił ważną część fabuły. Filmy „X-Men" i „X-Men: Pierwsza klasa" zaczynały się wręcz od scen dziejących się w obozie koncentracyjnym. W pierwszej kinowej sadze o mutantach z lat 2000–2006 wcielający się w rolę Magneto sir Ian McKellen wymownie podciągał rękaw koszuli, by ukazać znaczący rękę jego bohatera tatuaż z obozowym numerem. Z kolei w obrazie „X-Men: Pierwsza klasa" z roku 2011 głównym wątkiem intrygi jest pościg młodego magnetyzera (brawurowo zagranego przez Michaela Fassbendera) za nazistowskim naukowcem, który eksperymentował na nim w Auschwitz.

„Pierwsza klasa" wniosła do filmowego uniwersum mutantów powiew świeżości i doczekała się aż trzech kontynuacji. Niestety, poza świetnymi „X-Men: Przeszłość, która nadejdzie" filmy te trudno nazwać wybitnymi dziełami kinematografii. Za to w mającym premierę w roku 2016 obrazie „X-Men: Apocalypse" twórcy ponownie przypomnieli widzom o polskich korzeniach Magneto, który ukrywał się przed poszukującym go FBI w... podwarszawskim Pruszkowie. Inna rzecz, że reżyser zamiast zaangażować do scen dziejących się w Polsce okresu Jaruzelskiego polskich aktorów, w rolach Polaków poobsadzał Amerykanów, upierając się przy tym, by swoje kwestie mówili w języku Mickiewicza. Efekt, który ta pokrętna logika wywarła w nadwiślańskich kinach, był piorunujący. W trakcie seansu dramatyczne sceny, w których milicjanci zabijali żonę i córkę, bohatera wywoływały na widowni salwy śmiechu. Z drugiej strony, jak się nie śmiać, patrząc na wykrzywione w grymasie udręki twarze aktorów dukających z trudem polskie słowa.

KOMITET OBRONY MUTANTÓW

Biografia Magneto nie jest jedynym przypadkiem, gdy w serii o przygodach X-Menów pojawił się wątek związany z naszym krajem. W roku 2018 twórcy serii „X-Men Red" uraczyli bowiem swoich czytelników opowieścią dziejącą się właśnie w Polsce. Niestety, fabuła ta stawiała Rzeczpospolitą w nie najlepszym świetle.

Historia przedstawiona w piątym zeszycie cyklu zaczyna się w Warszawie w pałacu prezydenckim. Kadry ukazują nam polskiego prezydenta podpisującego ustawę wyjmującą wszystkich żyjących w Polsce mutantów spod prawa. W jej efekcie rozpoczynają się prześladowania mniejszości, do których z radością przyłączają się zwykli obywatele pokazani jako agresywni ksenofobi. Tłumy uciekinierów rzucają się w kierunku północnej granicy. Ścigani przez wojsko mutanci stają ostatecznie na bałtyckiej plaży, mając do wyboru spróbować przepłynąć morze wpław lub zginąć od pocisków polskich żołnierzy. Na szczęście w porę przybywają im na ratunek X-Meni, którzy wyzwalają swych zmutowanych współbraci z rąk siepaczy, przy okazji przekonując niektórych z tych ostatnich do wypowiedzenia posłuszeństwa złemu prezydentowi.

Szczerze powiedziawszy, gdy wkrótce po premierze przeglądałem wyżej wzmiankowany zeszyt, złapałem się za głowę. PR-u tak czarnego jak ten, który zrobili Polsce scenarzyści „X-Men Red", nie widziałem od dawna. Najgorsze jest to, że X-Meni są w chwili obecnej jednym z dwóch (obok Spider-Mana) najlepiej sprzedających się tytułów wydawnictwa Marvel, więc wizja naszej ojczyzny jako rasistowskiego i – nie bójmy się użyć tego słowa – ludobójczego ciemnogrodu dotarła do setek tysięcy odbiorców nie tylko w USA, lecz także na całym świecie. Jednym słowem – nic, tylko siąść i płakać.

Skąd jednak wzięła się w umyśle twórców Marvela ta przerażająca wizja? No cóż, moment powstania tej historii zbiega się w czasie z największą aktywnością Komitetu Obrony Demokracji. Wydaje się, że informacje o działalności tej organizacji musiały jakimś kanałem trafić do autorów komiksu, a ci bez zagłębiania się w kontekst zainspirowali się nimi, biorąc za dobrą monetę narrację snutą przez zwolenników totalnej opozycji, mówiącą o łamaniu przez rząd PiS polskiej konstytucji.

SKNERUS W KRAINIE CENTUSIÓW

Żeby zakończyć naszą wędrówkę po komiksowych stronach przyjemniejszym akcentem, przenieśmy się teraz do Krakowa Anno Domini 2017, kiedy to do podwawelskiego grodu zawitał... Sknerus McKwacz. O wizycie tej mogli się dowiedzieć czytelnicy jednego z wrześniowych numerów komiksowego magazynu „Kaczor Donald", na którego łamach została opublikowana historia zatytułowana „Stary smok mocno śpi".

Powszechnie wiadomo, że mieszkańcom Krakowa już od XIX w. przypina się łatkę centusiów. Nic więc dziwnego, że najbogatszy, a równocześnie najbardziej skąpy kaczor świata poczuł się nad Wisłą jak u siebie w domu. Próbował nawet wraz z Hyziem, Dyziem i Zyziem rozkręcić tu biznes, sprzedając obwarzanki, niestety, nie sprostał konkurencji tradycyjnych krakowskich sprzedawczyń tego przysmaku. Nie ma zresztą w tym nic dziwnego, bo przekupkom z Krakowa nikt do tej pory nie dał rady, więc tego, że i Sknerus ich nie zmoże, można się było łatwo domyślić.

Jak więc widać, we wchodzących w skład głównego nurtu popkultury amerykańskich komiksach nasz kraj pojawiał się od czasu do czasu to w większej, to w mniejszej roli. Wielka jednak szkoda, że nikt jak do tej pory nie wpadł na to, by spróbować wykorzystać medium komiksowe do świadomego promowania Polski za granicą. Tym sposobem można by spokojnie osiągnąć lepsze efekty w kreowaniu pozytywnego wizerunku Rzeczypospolitej, niż wynikły one z wielu dotychczasowych inicjatyw Polskiej Fundacji Narodowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU:

PGNiG ORLEN Enea

PARTNERZY

PPL Porty Lotnicze centrum historii zajezdnia

PARTNER WSPIERAJĄCY:

WARS

eprasa.pl a27c412366

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

tv+

„Teheran"

Samolot z Jordanii do Indii musi niespodziewanie lądować w Teheranie. Awaria silnika? Nie wtedy, gdy w grę wchodzi operacja izraelskiego wywiadu. Tak rozpoczyna się thriller szpiegowski Moshe Zondera, twórcy popularnego serialu „Fauda". Ładne jest to zawiązanie akcji: jednocześnie obserwujemy próbę ewakuacji cennego źródła wywiadowczego, umieszczenia agentki hakerki w sercu wrogich instalacji oraz przypadek, który może pokrzyżować te plany. I który sprawi, że irańska Gwardia Rewolucyjna zwróci uwagę na niewinną wizytę stewardesy w lotniskowej toalecie.

„Teheran" to serial skrojony wedle najlepszych wzorców opowieści o wojnie wywiadów podczas zimnej wojny, tyle że zamiast Sowietów i Amerykanów mamy tu Irańczyków i Izraelczyków. Stawką jest zniszczenie irańskich instalacji nuklearnych. I jak przystało na wiek XXI – choć ostatecznie do akcji mają wejść bombowce – decydująca rozgrywka musi się rozegrać w cyberprzestrzeni. A jako że niełatwo obezwładnić irański system z zewnątrz, potrzebna jest tradycyjna operacja naziemna, wywiadowcza, w samej stolicy Iranu, pokazanej zresztą jako miejsce ponure, w którym nie ma dnia bez publicznych egzekucji.

W roli głównej przykuwa uwagę Niv Sultan, popularna ostatnimi laty aktorka telewizyjna, zaś w roli jej niestrudzonego tropiciela dostajemy Shauna Touba, którego widzieliśmy w podobnej roli w serialu „Homeland" (tyle że tam zwerbowali go Amerykanie). W odróżnieniu od „Homelandu" i innych hollywoodzkich produkcji „Teheran" stawia nie na sensacyjność za wszelką cenę, lecz na przemyślaną intrygę i nieustanne napięcie: staromodną grę w kotka i myszkę, niczym w powieściach Forsytha czy we wczesnych książkach Le Carrego.

Dobrze się to ogląda, choć nie jest to seria, która zapisze się w dziejach telewizji w jakiś rewolucyjny sposób, ot, po prostu bardzo porządna, rzemieślnicza robota. Pojawiają się ciekawe wątki dodatkowe. Chociaż główna bohaterka jest izraelskim żołnierzem, to urodziła się w Iranie (w Izraelu natomiast dorastała). Odcięta za linią wroga zwróci się o pomoc do swej dawno niewidzianej ciotki, przyjrzy się bliżej własnym korzeniom. Niezła obsada, ciekawe postacie, dobre dialogi, budżet w granicach rozsądku – właściwie nie ma powodu, byśmy i w Polsce nie kręcili takich produkcji. Niestety, jakoś nie wychodzi, czego dowodem słabiutcy „Nielegalni" sprzed paru lat. ©℗

★★★★☆☆

SEZON 1
„TEHERAN" („TEHRAN")
IZRAEL 2020

wyst. Niv Sultan, Shaun Toub, Menashe Noy

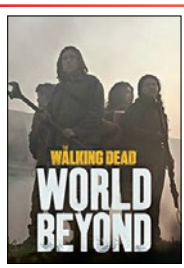

NOWE SERIALE: „THE WALKING DEAD: WORLD BEYOND"

prime video

Po 10 sezonach serialu „Żywe trupy" nowe przedsięwzięcia z nim związane mnożą się jak za sprawą wirusa zombie.
Po serialu „Fear the Walking Dead" przyszła pora na „The Walking Dead: World Beyond" (a wkrótce pojawią się jeszcze dwie inne serie plus filmy kinowe). Tym razem trafiamy do Nebraski, 10 lat po apokalipsie zombie, by obserwować, jak z życiem w nowym ponurym świecie radzi sobie grupka młodych bohaterów. Całość ma mieć dwa sezony, nowe odcinki pojawiają się w streamingu co piątek. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***Sezon 1 „The Walking Dead: World Beyond", USA 2020, Amazon Prime***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Marco Bellocchio* ***„Zdrajca" („Il Traditore")****, Włochy 2019* CINEMAN
- *reż. Greta Gerwig* ***„Małe kobietki" („Little Women")****, USA 2019* HBO GO
- *reż. Yorgos Lanthimos* ***„Faworyta"****, Wielka Brytania 2018* N

eprasa.pl a27c412366

Globtroter z Wehrmachtu

W KINACH

Kto czytał książkę Mirosława Wlekłego, ten zaskoczony nie będzie. Tony Halik – posiadacz dożywotniej licencji na podróżowanie, król życia, obywatel świata i polski patriota – miał arcyciekawą biografię. Jak każdy mitoman, starał się ją jednak jeszcze upiększyć. Stąd wzięły się funta kłaków warte opowieści o Nagrodzie Pulitzera, komitywie z Juanem Perónem i Fidelem Castro, popijaniu szampana z królową brytyjską oraz służbie w RAF. W rzeczywistości „biały Indianin" za młodu nosił mundur niemiecki, na starość zaś zwąchał się z komunistami. Porzucił rodzinę, związał się z młodszą o lat 18 Elżbietą Dzikowską i ocieplał wizerunek PRL w Ameryce. Stan wojenny Halik spędził w apartamencie warszawskiego hotelu Victoria. „O Jaruzelskim nigdy nie powiedział złego słowa", więc zrobiono z niego gwiazdę państwowej telewizji.

Autor dokumentu jest wstrzemięźliwy w ocenach, lecz obraz nie kłamie. Już w reportażach, kręconych podczas słynnej pięcioletniej wyprawy jeepem z Ziemi Ognistej na Alaskę, łacno poznać, że Tony, czyli Mieczysław, miał skłonność do mistyfikacji, a najbardziej lubił filmować siebie. Pozował na twardziela w typie Hemingwaya. „Żył, jak chciał, i to było piękne" – podsumowuje Dzikowska. Czy autentyczna podróżnicza pasja jest wystarczającym rozgrzeszeniem? ©℗

Wiesław Chełminiak

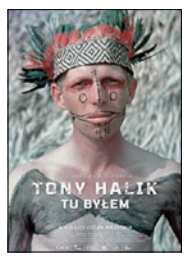

★★★★☆☆
REŻ. MARCIN BORCHARDT
„TONY HALIK"
POLSKA 2020, MAYFLY

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PUDER, BROKAT I BŁOTO

HBO GO

★★★★★☆
REŻ. YORGOS LANTHIMOS
„FAWORYTA" („THE FAVOURITE")
WIELKA BRYTANIA 2018

wyst. Olivia Colman, Rachel Weisz, Emma Stone

W świetle nowych kryteriów, jakimi ma się kierować Amerykańska Akademia Filmowa, „Faworyta" jest dziełem wzorcowym. Heteroseksualni panowie są tu jedynie tłem dla rozgrywki biseksualnych pań. Zresztą, cóż to za mężczyźni – w groteskowych perukach z twarzami pokrytymi pudrem, różem i brokatem. Scenarzyści nie musieli koloryzować: za panowania Anny Stuart angielski dwór istotnie był siedliskiem intryg i zepsucia. Przyjaciółka królowej od serca – księżna Sarah Churchill – parła do wojny z Francją. Jej kuzynka i rywalka Abigail Hill – do pokoju. Grecki reżyser traktuje rzeczywistość sprzed trzech wieków z ostentacyjnym sarkazmem. Bajkowy pałac Anny jest otoczony morzem błota, lordowie prześcigają się w prostactwie. Władza nie potrzebuje prawdy, wystarczą jej pochlebstwa. Trzy wybitne, równorzędne role, jednak Oscara dostała tylko Olivia Colman, bo jej bohaterka jest najbardziej udręczona i nosi koronę.

MAŁOMIASTECZKOWY

N

★★★★☆☆
REŻ. JOHN CARPENTER
„HALLOWEEN"
USA 1978

wyst. Jamie Lee Curtis, Donald Pleasence, P.J. Soles

Janet Leigh najadła się strachu w „Psychozie", ale córka przebiła ją już w debiucie, zdobywając zaszczytny tytuł „królowej krzyku". Po 42 latach wrzask Jamie nadal robi wrażenie. Szkoda, że Edvard Munch tego nie dożył. Tymczasem Netflix, w ramach przygotowań do Święta Dyni, molestuje widzów starymi i nowymi horrorami. Porównanie wypada zdecydowanie na korzyść niskobudżetowej klasyki. „Halloween" zmierza do celu najkrótszą drogą: diaboliczny Michael Myers wraca do rodzinnego miasteczka, by mordować każdego, kto się napatoczy (dziwnym trafem jego ofiarami padają zwykle rozwiązli młodociani). John Carpenter rozbił tym filmem bank, choć błędami, wynikającymi głównie z ubóstwa, lecz po trosze też z nonszalancji twórców, można by obdzielić z tuzin poważnych produkcji. „Halloween", wzorcowy slasher, pozostanie wiecznym wyrzutem sumienia dla rozrzutnych reżyserów. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „STAR WARS: SQUADRONS"

★★★★★☆

Jeżeli komuś się wydawało, że gier w uniwersum „Gwiezdnych wojen" jest tak wiele, że nie ma już miejsca na nic świeżego, to oto nadchodzi nowa nadzieja. Dobrze, może nie taka zupełnie nowa, bo symulator lotów myśliwcami Imperium i Rebelii czerpie pełnymi garściami z klasyków, takich jak „X-Wing Alliance" czy „Rogue Squadron", ale robi to naprawdę świetnie. „Squadrons" to jedna z tych produkcji, którym udaje się połączyć stosunkowo łatwy próg wejścia w rozgrywkę ze stopniowym zwiększaniem poziomu trudności w jej trakcie. Na plus solidna kampania pokazująca wydarzenia po bitwie o Endor i wciągający multiplayer. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *Symulator*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Motive Studios/Electronic Arts*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *12+*

eprasa.pl a27c412366

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Księga ziół

Jeszcze ćwierć wieku temu Richard Klein przekonywał, że „Papierosy są boskie", a cóż dopiero mówić o tym, co w paleniu tytoniu widziano sto i więcej lat temu. A „Smak dymu", powieść Anny Trojanowskiej będąca kontynuacją „Piołunu na zapomnienie", rozgrywa się między wiosną 1914 a jesienią 1920 r.

Nic dziwnego, że bohaterowie książki z rozkoszą wciągają dym w płuca, i to nie tylko mężczyźni, lecz także panie, które właśnie wybijają się na niepodległość. Dosłownie i w przenośni. Zresztą chodzi im nie tyle o palenie, ile o dodanie życiowej szarzyźnie odrobiny czegoś wyjątkowego, na przykład szczypty pikanterii.

Lea, kobieta 40-letnia, której losy są osią fabularną powieści, rzecz całą tak ujmuje: „Najwyższy czas, żeby było tu jak dawniej, pomyślała. Sięgnęła po talerzyk i spróbowała powideł. Były gęste i czarne, miały lekko wyczuwalny posmak dymu, jakby trochę się przypaliły. Ale nie były złe, miały w sobie coś szczególnego, jak wódka wuja Janusza przepędzana z brzozowymi szyszeczkami, jak chleb z miodem i czarnuszką czy czerwone wino, do którego wpuszczono kroplę krwi. Świat byłby mdły bez odrobiny trucizny […]".

Życie nie oszczędza Lei, choć pozornie wydaje się ono ustabilizowane i dostatnie. Jest panią aptekarzową, mąż ma fabryczkę środków leczniczych, mieszkają na warszawskim Starym Mieście, mają trzy córki. Nie jest jednak Lea szczęśliwa, boleśnie odczuwając lekceważenie ze strony męża, który co i rusz ma do niej pretensje, uważając, że jest nieodpowiedzialna i „pocieszna". Stosunki między nimi psują się szczególnie po tym, gdy nie zważając na zdanie męża, jedzie na Syberię do ojca, zesłanego tam 30 lat temu, o którym wie tylko tyle, że spowodował nieszczęście całej rodziny. W Irkucku dowiaduje się, że przyjechała za późno. Wraca stamtąd z przyrodnią siostrą, o której istnieniu nie wiedziała, i z całą masą pytań, na które będzie starała się znaleźć odpowiedzi. Tymczasem wybucha wielka wojna…

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W podróży przekonać się może, że jej przyjaciółka-feministka nie jest daleka od prawdy, twierdząc, że cywilizowany świat kończy się na Lwowie. Ale i wojenna Warszawa okupowana przez Niemców staje się obcym, nieprzyjaznym miastem, w którym życie jest coraz trudniejsze. Lea znajduje odskocznię w wyprawach pod Mławę, gdzie nad Orzycem w ich gnieździe rodzinnym zbiera zioła, którymi uzupełnia asortyment leków w swojej aptece. O ziołach wie wszystko; wie, gdzie znaleźć płucnicę islandzką, gdzie kwitną wysokie wrotycze, a gdzie fioletowe wierzbówki wąskolistne. Szuka popłochów i kąkoli, zbiera bluszczyk kurdybanek, lebiodę, bukwicę, kocanki.

Wojna się kończy, ale Lea traci męża, wdaje się w krótkotrwały, acz burzliwy romans i nie zważając na przeszkody, odbudowuje spaloną fabrykę oraz wznawia produkcję, zasadniczo zmieniając jej profil na zielarski właśnie. Niepodległość okazuje się niepewna, nadchodzi bowiem rok 1920, a wraz z nim bolszewicy zbliżający się do Warszawy: „Tam była ich ziemia obiecana, sezam, w którym zgromadzono bogactwo, dobra wszelakie co najmniej połowy świata, dla większości czerwonoarmistów warte więcej niż wszelkie ideologie, rewolucje, dyktatura proletariatu, władza ludu i inne tego rodzaju hasła, w które kazano im wierzyć".

Ledwie Lea zdąży podnieść z popiołów fabryczkę, już czeka ją następne, bodaj trudniejsze zadanie, ponieważ bolszewicy spalili dwór na Wzniesieniach Mławskich. Podejmuje się i tej odbudowy, świadoma, że „dom to ci, którzy w nim mieszkają, którzy piją poranną kawę przy kuchennym stole, otwierają i zamykają drzwi, zapalają lampy, potykają się o progi; ci, którzy myślą o nim, gdy są daleko; wszyscy, mężczyźni i kobiety, dzieci, zwierzęta, cały ten rozgardiasz, odgłosy, zapachy, trochę codzienności, trochę świąt, jak w ziołowym eliksirze na długie życie".

Niewiele mamy w naszej literaturze – zarówno lotów wysokich, jak i niższych – portretów kobiet tak pełnowymiarowych jak Lea ze „Smaku dymu". Śmiałych, ambitnych, przedsiębiorczych, a przy tym zdających sobie sprawę z wartości, jakie daje rodzina, ale i prawdziwa miłość, także fizyczna. Czytając długą historię tej bizneswoman, dochodzimy do końcowej informacji: „W gazetach pisano o rokowaniach pokojowych w Rydze. Był wieczór siódmego października 1920 roku". Co dalej? Sprawa otwarta. ©℗

★★★★☆

ANNA TROJANOWSKA „SMAK DYMU" ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2020

eprasa.pl a27c412366

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Próżny lament

Lista lektur „ze sztambucha wykształciucha" się rozszerza. Fale literackiego morza, które wyrzucały na brzeg opowieści o tym, jak to ludzie inteligentni cierpią pod butem tyranii Trumpa, teraz zaczynają dokładać do tego jęki na temat brexitu. „Jesień" Ali Smith rozpada się pod ciśnieniem politycznej bieżączki na nierówne części: intrygującą i męczącą.

W pierwszej mamy ciekawą relację Elisabeth i Daniela. Poznali się, gdy ona była dzieciuchem, a on już 80-latkiem. Nic w tym zdrożnego, po prostu samotny, a dysponujący wielką wiedzą o życiu i sztuce człowiek znalazł w bystrej dziewczynce ciekawego partnera do rozmów, i tak już zostało. Teraz on ma lat sto i gaśnie w domu opieki, a jego 30-letnia przyjaciółka odwiedza go regularnie, by poczytać mu na głos albo po prostu do niego mówić, choć wszyscy ją przekonują, że już jej nie słyszy.

Odmienne światy, losy, filtry, przez które patrzą na rzeczywistość – w rękach zdolnego pisarza już to wystarczyłoby na skonstruowanie ciekawej opowieści. Chciałoby się więcej przeczytać o tej nietypowej parze. Ali Smith jest zdolna, ale nie aż tak albo może po prostu nagle przypomniała sobie, że musi napisać powieść ważną, znaczącą i walczącą, więc postanowiła rozbudować „Jesień" o inne elementy. Mamy więc mnóstwo narzekań na to, jak to brexit zabił w ludziach zdolność do prowadzenia dialogu i jakie to życie w podzielonym kraju jest okropne. Mamy obszerne partie poświęcone zapomnianej artystce brytyjskiego pop-artu z obowiązkową sugestią, że kobiety utalentowane krzywdzone są przez patriarchalne społeczeństwo. Czego dowodzić ma także los bohaterki afery Profumo, innego niespodziewanego dodatku do fabuły (wraz z jej wyznaniem, że zwykła sypiać z mężczyznami za pieniądze).

Z całego tego miksu wynika tylko, że źle jest, jak jest, a cudownie by było, gdyby było inaczej, najlepiej gdyby było dobrze, a ludzie kochali się, rozumieli i byli otwarci. Cóż, pewnie tak, ale od pisarza wymagamy też, by próbował nie tylko rejestrować rzeczywistość, lecz także choć trochę próbować ją zrozumieć. Tej refleksji u Ali Smith brak (u pisarzy antytrumpowców z USA zresztą również).

Jest za to sporo eleganckiego literackiego mizdrzenia się, nawiązywania do Dickensa, Huxleya, Orwella. Parafrazy i aluzje starczą może do nominacji do literackich nagród, ale na wielkie pisanie to już niestety za mało. ©℗

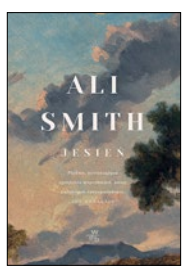

★★★☆☆☆
ALI SMITH
„JESIEŃ"
W.A.B. 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Sto lat, nim Tom Budowniczy zaczął budować katedrę, zanim Kinsbridge zyskało swą nazwę, rozgrywa się akcja prequelu do powieści „Filary ziemi". Przygody, bitwy i wikingowie – tylko dlaczego zły musi być zawsze biskup?

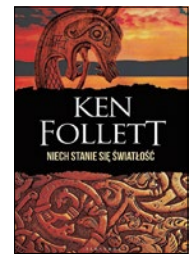

KEN FOLLETT
„NIECH STANIE SIĘ ŚWIATŁOŚĆ"
ALBATROS

Obszerna antologia złożona z fragmentów listów, dzienników i wspomnień Polaków wywiezionych z Kresów Wschodnich w głąb ZSRS w latach 1940–1941. Wstrząsający dokument czasów pogardy i niedoli na nieludzkiej ziemi.

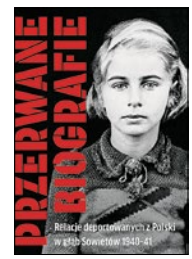

AUTORZY RÓŻNI
„PRZERWANE BIOGRAFIE"
OŚRODEK KARTA

Wznowienie proroczej antyutopii Zamiatina z 1920 r., którą wychwalał Orwell. Ponura opowieść o przyszłości, w której jednostka jest niczym, liczy się tylko masa. Słowo „ja" jest zakazane, a państwo widzi i kontroluje wszystko.

JEWGIENIJ ZAMIATIN
„MY"
REBIS

Badania zdrowotne na podstawie analizy jednej kropli krwi, entuzjazm inwestorów, rosnąca fortuna właścicielki firmy Theranos – brzmi cudownie, ale było kłamstwem. Kulisy największego skandalu w historii Krzemowej Doliny. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

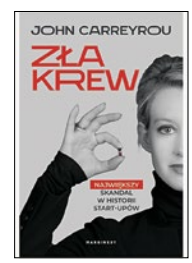

JOHN CARREYROU
„ZŁA KREW"
MARGINESY

KOMIKS TYGODNIA: „MAFALDA"

Kto lubi „Fistaszki", ten pokocha i argentyńską „Mafaldę", ale jest to komiks nieco odmienny. Charles Schulz utkał ponadczasowy świat dziecięcej niewinności z komedii charakterów, mała Mafalda stworzona przez Argentyńczyka Quino zmaga się dużo częściej z kwestiami poważnymi, by nie powiedzieć, że czasem i politycznymi. Zdroworozsądkowe pytania niewinnych zawsze są dużym problemem dla nabywających z latami zobojętnienia i cynizmu dorosłych. A każda okazja do tego, by śmiejąc się, pomyśleć też poważniej – jest dobra. Właśnie ukazuje się u nas drugi tom pasków zebranych o Mafaldzie. Warto zauważyć! ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

QUINO
„MAFALDA. WSZYSTKIE KOMIKSY, TOM 2"
NASZA KSIĘGARNIA 2020

eprasa.pl a27c412366

FOT. YOUTUBE/STACJA7.PL

Rap-modlitwa

Jako młody człowiek żył pomiędzy dwoma światami. Z jednej strony byli znajomi z wrocławskiego blokowiska, fascynacja kulturą hiphopową, nagrywanie rapu. Z drugiej – Kościół, modlitwa, powołanie, które początkowo starał się zagłuszyć. „W tamtych czasach były [to] dwa różne światy. Miałem zdecydowanie więcej znajomych w środowisku hiphopowym niż w środowisku kościelnym, więc decyzja była bardzo trudna, ale po latach walki duchowej nie dało rady, musiałem chociaż spróbować" – mówił ksiądz i raper Jakub Bartczak w rozmowie z portalem glamrap.pl. I dodał: „Do seminarium wszedłem jako ziomek z osiedla i ziomkiem dla swoich znajomych zostałem".

Na początku był przekonany, że nowa droga oznacza rezygnację z nagrywania rapu. Po kilku latach w kapłaństwie postanowił łączyć oba światy. W 2013 r. wydał pierwszą płytę „Powołanie", w 2016 r. – „Po prostu wierzę", w 2018 r. – „Bóg jest, działa". W tym tygodniu premierę ma kolejny jego album – „#Siemodle".

Rymuje o Bogu, wierze, powołaniu, modlitwie. We wspomnianej rozmowie z glamrap.pl mówił: „Nasłuchałem się wiele głupich krzywdzących opinii na temat Kościoła od ludzi, którzy się nie modlą i nie chodzą do kościoła. Podobnie jak na temat rapu od tych, którzy w ogóle nie słuchają tej muzyki. Ludziom łatwiej jest postrzegać świat wedle ustalonych przez siebie schematów i łatek". Na film „Kler" zareagował utworem opartym na przypowieści o faryzeuszu i celniku z Ewangelii wg św. Łukasza. Rapował: „Nigdy nie osądzaj bliźniego pochopnie / Pomyśl nad swym sądem wpierw kilkakrotnie / Nigdy o kimś nie mów fałszywie czy źle / Pomyśl, co się kryje w głębi duszy twej".

Na Facebooku ma prawie 75 tys. fanów. Z obu światów. Z jednej strony takie komentarze: „Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, jak była na początku teraz i zawsze, i na wieki wieków Amen. Z Panem Bogiem". Z drugiej: „Wprawdzie zostałem antyklerykałem, zanim się to stało modne, to muszę przyznać – dobre rapsy! Peace!". ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Śmiechu warte

Pan Maleńczuk rozdarty przez lata między sławą głodnego artysty i miłością do luksusu ponad dekadę temu wybrał drogę dancingowego bawidamka. Zaczęło go to uwierać, więc uciekając z Ciechocinka, postanowił zostać jazzmanem, co dało równie bolesny efekt. Wreszcie nadeszła dobra zmiana. Mały poczuł krew, a wtedy słowa układają mu się najlepiej.

Powstała „Klauzula sumienia". W tytułowej piosence Polaczek jest omamiany przez „Onych", którzy wciskają mu narodową dumę, by „mógł z godnością zapomogę brać". A potem w kolejnych utworach sypią się o nim fakty wyjęte z telewizyjnego ekranu. Jako rycerz Maryi – żąda kary śmierci; jako obrońca życia – ma żółte papiery; jako mąż – bije w twarz i wyciąga stal; jako obywatel – jest „heterykiem i alkoholikiem", a nawet antysemitą wielbiącym Niemca.

Byłoby to wszystko zabawne, gdyby nie dwie po prostu obrzydliwe piosenki. „Artysta-Faszysta" to niesmaczny atak na Pawła Kukiza. Bohater „Wojny" to pijawka, której krwi „nie będzie dość", a „życie jego pełne knowań zdrad / i żelaza grad, bo tak ginął brat".

Muzycznie płyta jest ciekawa. Postawienie na brzmienie akustycznego tria (perkusja, kontrabas, gitara), różnorodność stylistyczna i jak zwykle niezły wokal sprawiają, że płyta brzmi zawodowo. I jest jedna piosenka, „Shabada", która mimo zajadłości tekstu wymyka się doraźności politycznego donosu. ©℗

★★☆☆☆☆
MALEŃCZUK „KLAUZULA SUMIENIA" AGORA

★★★☆☆☆
QUEEN + ADAM LAMBERT „LIVE AROUND THE WORLD" HOLLYWOOD

Koncertowa składanka zarejestrowana w ciągu ostatnich siedmiu lat w pięciu krajach. Finał pochodzi z tegorocznego występu w Australii. Adam Lambert (drugi w ósmej edycji „American Idol") głos ma jak dzwon, tyle że w nagraniach dawnej magii brak. Świetny coverband.

★★★★☆☆
MELANIE C „MELANIE C" RED GIRL

Najbardziej utalentowana ze Spice Girls na ósmym albumie serwuje taneczny pop w stylistyce Kylie Minogue czy Dua Lipy. W otwierającym „Who I Am" wyznaje: „Kiedy patrzę w lustro / w końcu podoba mi się to, co widzę". Cieszmy się z nią, bo to jej najbardziej przekonywujący krążek. ©℗

eprasa.pl a27c412366

RMF FM

Numer 1

wśród opiniotwórczych stacji radiowych w 2020 roku

wg Instytutu Monitorowania Mediów

To nie jest koniec świata. To jest koniec koalicji...
Marek Suski

... jeżeli będziemy szli dalej tą logiką, to wyścigi konne i ZOO mogą być zakazane.
Marek Jurek o projekcie ustawy „piątka dla zwierząt"

... bycie wiceministrem za pensję kierownika supermarketu nie jest czymś co odpowiada Pawłowi Kukizowi czy mnie.
Jarosław Sachajko, poseł Kukiz'15

Źródło:
Radio Track, Kantar Polska, 01-06.2020, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie, wszyscy 15-75 lat

eprasa.pl a27c412366

Wysokie loty

Krzysztof Masłoń

Fryzurą i wysmakowaną garderobą zwracał uwagę tegoroczny, jak miało się okazać, laureat nagrody – Radek Rak FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA GAZETA

Telewizja z ulicy Wiertniczej widzom stęsknionym za wysoką kulturą zafundowała transmisję z gali wręczenia Literackiej Nagrody Nike, przyznanej w tym roku po raz 24., co buduje historię krótszą wprawdzie od noblowskiej, ale – zdaniem specjalistów z innej znaczącej ulicy stołecznej, a mianowicie Czerskiej – dla literatury polskiej ważnej jak żadna inna. Dowodzi tego niezbity fakt, że Olga Tokarczuk Nike otrzymała dwa razy, a Nobla tylko raz.

Powiedzmy od razu: było wzniośle, uczenie i elegancko. Nieliczna, za to starannie wyselekcjonowana publiczność przybyła do Biblioteki Narodowej prezentowała się w maseczkach odświętnie. Fryzurą i wysmakowaną garderobą zwracał uwagę tegoroczny, jak miało się okazać, laureat nagrody – Radek Rak. Na tym polu konkurować z nim mógł jedynie redaktor Adam Michnik. Ten arbiter elegantiarum dosłownie powalał swoim strojem pochodzącym z kolekcji: Śmietnik 1976.

W trakcie imprezy, której niestety telewizja TVN nie pokazała w swym głównym paśmie – licząc się pewnie z tym, że obejrzy ją mniej widzów niż królujące w tym programie „Kuchenne rewolucje" z Magdą Gessler w roli głównej – zeszłoroczny laureat Mariusz Szczygieł zapewnił, że Polacy w dobie pandemii czytają więcej. Jednak z tego, co powszechnie wiadomo, nastąpił postęp taki sobie, gdyż w ciągu ostatniego roku 39 proc. rodaków udało się przeczytać jedną lub nawet więcej książek, a to stanowi wzrost dwupunktowy. O 5 pkt wzrosło nam natomiast spożycie alkoholu – ze wskaźnikiem 11,5 l czystego alkoholu na głowę.

Lektura książek nagrodzonych i nominowanych do Nike wydatnie pomoże nam wznieść się na wyżyny: intelektualne, etyczne i jakie tylko możliwe. Na przykład nagrodzone przez czytelników „Gazety Wyborczej" „27 śmierci Tony'ego Obeda" Joanny Gierak-Onoszko opowiadają o tragicznym losie 150 tys. obywateli kanadyjskich, wychowywanych w szkołach z internatami prowadzonych przez Kościół katolicki, gdzie byli maltretowani, molestowani i wykorzystywani w takim stopniu, że jeśli nawet przeżyli, to trauma uniemożliwiała im potem normalne życie. Na pewno za to stracili życie Żydzi zamordowani w Holokauście, a i po śmierci nie dali im spokoju Polacy, zamieniając masowe mogiły w złotonośne pola, co w „Płuczkach" relacjonuje Paweł Piotr Reszka. Monika Sznajderman z kolei pochyliła się nad kolejno znikającymi z przestrzeni Beskidu Niskiego, gdzie ta „antropolog kultury zajmująca się formami współczesnej wyobraźni religijnej" zamieszkuje, a to Cyganami, a to Żydami, a to Łemkami. Do nagrody kandydowała też Agnieszka Dauksza, na co dzień prowadząca na uniwersytecie zajęcia z „badań afektywnych i kulturowej teorii literatury", a do Nike aspirująca po napisaniu książki o Marii Jaremie, zmarłej w 1958 r. ikonie polskiej awangardy, „wyemancypowanej i bezkompromisowej aktywistce", żonie Kornela Filipowicza, późniejszego partnera Wisławy Szymborskiej zresztą. Mogło się wydawać, że w tej, jakże mocnej, konkurencji trudne zadanie czeka Radka Raka, zwłaszcza że do zaproponowania miał jedynie odświeżające spojrzenie na Jakuba Szelę, który pod jego piórem nie tylko przemienił się w Jakóba, lecz także ze znanego choćby z „Wesela" Wyspiańskiego Upiora w tutejszego Robin Hooda. Niewykluczone, że laureatowi pomógł wykonywany przez niego zawód weterynarza, z czym korespondowało wyróżnienie recenzji nagrodzonej książki sporządzonej przez zootechnika. Nie znaczy to, że literatura zeszła na psy. Przeciwnie, a gdyby ktoś miał wątpliwości, to przewodniczący jury, prof. Paweł Próchniak, podkreślił, że książka Radka Raka „przypomina o potrzebie mitu, podpowiada, że pod powierzchnią rzeczywistości – u podszewki rzeczy, w ciemności fastrygowanej plączącą się fosforescencją – pulsują dawne mitologie zapomniane klechdy, tajemnicze fabulacje".

Prowadząca galę Grażyna Torbicka, jako że od lat „kocha kino", wyraziła nadzieję, że rekomendowane tytuły doczekają się ekranizacji, tak jak to się stało z przypomnianym kilkoma ujęciami dziełem Agnieszki Holland „Pokot", będącym adaptacją powieści Olgi Tokarczuk „Prowadź swój pług przez kości umarłych". Każdy będzie mógł wtedy – wnioskowała – orzec, czy lepszy jest film (lub serial), czy literacki oryginał. No dobrze, ale co począć, gdy jedno jest gorsze od drugiego, tak jak w rzeczonym wypadku? ©℗

eprasa.pl a27c412366

MECENAS KONCERTU

Enea

eprasa.pl a27c412366

FOT. ADOBE STOCK

Substytut kary

Łukasz Warzecha

W świetle prawa tymczasowe aresztowanie ma być środkiem ostatecznym, stosowanym jedynie wówczas, gdy w żaden inny sposób nie da się osiągnąć celu, jakim jest zabezpieczenie właściwego przebiegu postępowania. Tymczasem jest całkiem inaczej

Pod koniec kwietnia mieszkanka Torunia, zmagająca się od dawna z problemami psychicznymi i opiekująca się przewlekle chorym mężem, dwukrotnie opuściła domową kwarantannę, nałożoną na nią po potwierdzeniu zakażenia koronawirusem. Poszła zrobić zakupy, odwiedziła kilka sklepów. Tłumaczyła – w co akurat nietrudno uwierzyć – że nie miał jej kto w tej sprawie wyręczyć. Czy ktokolwiek został przez nią zakażony – nie wiadomo. Polskie państwo zabrało się do karania groźnej przestępczyni w całej swojej surowości. Została zatrzymana, a następnie prokurator wniósł o tymczasowe aresztowanie, stwierdzając, że ma zastosowanie art. 165 Kodeksu karnego:

„Kto sprowadza niebezpieczeństwo dla życia lub zdrowia wielu osób albo dla mienia w wielkich rozmiarach:

1) powodując zagrożenie epidemiologiczne lub szerzenie się choroby zakaźnej albo zarazy zwierzęcej lub roślinnej […], podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8”.

Została tu spełniona przesłanka grożącej wysokiej kary – bo polski Kodeks postępowania karnego przewiduje, że tymczasowe aresztowanie może mieć zastosowanie właśnie w przypadku zagrożenia karą minimum ośmiu lat pozbawienia wolności. Sąd wniosek prokuratury przyklepał.

Szum zrobił się, gdy media we wrześniu zaczęły pisać, że torunianka wciąż siedzi w areszcie – piąty miesiąc! – bo co prawda sąd zgodził się zamienić areszt tymczasowy na poręczenie majątkowe, ale nikt go nie wpłacił. Pod wpływem medialnej awantury oraz interwencji obrońcy kobiety, wspomaganego przez Instytut Ordo Iuris oraz Helsińską Fundację Praw Człowieka, sąd zmienił decyzję i kobieta w końcu wyszła na wolność.

Zapewne najsłynniejszym „tymczasowo” (nie da się tego napisać bez cudzysłowu) aresztowanym w Polsce był kibic Legii Maciej Dobrowolski, który w zamknięciu bez wyroku spędził trzy lata: od 2012 do 2015 r. Dostał za to odszkodowanie w wysokości – uwaga – 7,5 tys. zł.

TYMCZASOWE ARESZTOWANIE TO NIE KARA

Te przypadki nie są niestety odosobnione. Coś bardzo złego dzieje się w Polsce z instytucją tymczasowego aresztowania.

Żeby zrozumieć, na czym polega problem, najpierw trzeba uporać się z fałszywym postrzeganiem tymczasowego aresztowania. Często w internetowych dyskusjach o konkretnych przypadkach można się spotkać ze sformułowaniem, że „areszt się należał”. To pokazuje, jak niezrozumiana jest ta instytucja. Tymczasowe aresztowanie nie jest bowiem karą – jest środkiem zapobiegawczym, który ma jedynie zabezpieczyć właściwy tok postępowania, więc nie można mówić, że komukolwiek się „należy”. Należeć się może jedynie kara, którą tymczasowe aresztowanie nie jest.

Zamieszanie może również wynikać z samej nazwy. Kodeks postępowania karnego mówi o „tymczasowym aresztowaniu”, podczas gdy Kodeks wykroczeń przewiduje karę „aresztu”. Dlatego właśnie Fundacja Court Watch Polska (FCWP), od lat zajmująca się monitoringiem obywatelskim sądów, postuluje w swoim raporcie o tymczasowym aresztowaniu zmianę nazwy tego środka zapobiegawczego na przykład na „odizolowanie zapobiegawcze”.

Formalne przesłanki do wniosku o tymczasowe aresztowanie zawarte są w art. 258 Kodeksu postępowania karnego. To uzasadniona obawa przed ucieczką lub ukryciem się oskarżonego lub obawa o mataczenie (np. nakłanianie świadków do składania fałszywych zeznań), a także wspomniane już zagrożenie karą minimum ośmiu lat pozbawienia wolności. Jednak k.p.k. mówi też wyraźnie, że tymczasowego aresztowania się nie stosuje, jeżeli

eprasa.pl a27c412366

wystarczy inny środek zapobiegawczy (może to być np. obowiązek meldowania się na posterunku policji). Jest też mowa o tym, że tymczasowego aresztowania nie stosuje się, jeśli miałoby to spowodować poważne niebezpieczeństwo dla życia lub zdrowia podejrzanego czy oskarżonego albo pociągałoby wyjątkowo ciężkie skutki dla niego lub jego najbliższej rodziny. Ta reguła została ewidentnie złamana w sprawie kobiety z Torunia.

PODEJRZANY ZAWSZE „POD RĘKĄ"

FCWP wzięła niedawno tymczasowe aresztowanie pod lupę. Efektem jest raport przedstawiający bardzo niepokojące wnioski. Wrażenie robią już same liczby pokazujące, jak drastycznie wzrosła liczba tymczasowo aresztowanych w ciągu ostatnich lat – co w żaden sposób nie jest skorelowane z poziomem przestępczości w ogóle. Oto w 2015 r. w aresztach przebywało rekordowo mało osób – niespełna 4,2 tys. Trzy lata wcześniej było to ok. 6,5 tys. osób. Po dojściu Zjednoczonej Prawicy do władzy liczby szybko zaczęły się piąć, by w 2018 r. sięgnąć najwyższego od dawna poziomu ponad 7,3 tys. osób. Fundacja ma już jednak nowsze dane od tych ujętych w raporcie. Stąd wiemy, że obecnie w aresztach śledczych zamkniętych jest aż 9,3 tys. osób.

FCWP zbadała 310 losowo wybranych przypadków zastosowania tymczasowego aresztowania. Wnioski są jednoznaczne – ten środek zapobiegawczy jest notorycznie nadużywany, a sądy niemal nigdy nie sprawdzają, czy formalne przesłanki, podawane przez prokuratora, mają potwierdzenie w rzeczywistości. Wskazują na to bardzo lapidarne uzasadnienia decyzji sądów w sprawie tymczasowego aresztowania. Według raportu FCWP mają one po zaledwie kilka linijek tekstu we fragmentach dotyczących przesłanek zgłaszanych przez prokuraturę.

Bartosz Pilitowski, prezes fundacji, opowiada, że najbardziej wyczerpujące i najlepsze merytorycznie uzasadnienie postanowienia sądu w sprawie tymczasowego aresztowania, jakie kiedykolwiek czytał, dotyczyło odrzucenia wniosku prokuratury, a nie jego zatwierdzenia. Postanowienie sądu rejonowego zostało zresztą później zmienione przez sąd okręgowy.

A przecież powinno być odwrotnie! Sądy powinny drobiazgowo analizować i domagać się od prokuratury wyczerpującego uzasadnienia wniosków o tymczasowe aresztowanie oraz obszernie tłumaczyć własne decyzje zatwierdzające wnioski prokuratorów. Decyzją niejako domyślną nie powinna być ta zatwierdzająca wniosek, ale go odrzucająca.

Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że w świetle polskiego – i nie tylko – prawa tymczasowe aresztowanie ma być środkiem ostatecznym, stosowanym jedynie wówczas, gdy w żaden inny sposób nie da się osiągnąć celu, jakim jest zabezpieczenie właściwego przebiegu postępowania. Tymczasem jest całkiem inaczej.

– Z punktu widzenia prokuratora podejrzany w areszcie jest po prostu wygodny – uważa Bartosz Pilitowski. Tłumaczy, że nie trzeba go wzywać na przesłuchania z wyprzedzeniem, jest zawsze „pod ręką". To oczywiście nie powinno decydować o pozbawieniu człowieka wolności.

Są też nieoficjalne cele tymczasowego aresztowania, znane pod hasłem „aresztu wydobywczego". Prokurator ma dużo instrumentów wywierania nacisku na podejrzanego. To na przykład odmowa prawa do odwiedzin, a nawet, w początkowym okresie, do widzenia się z prawnikiem. Można uznać, że w tej wersji tymczasowe aresztowanie staje się swego rodzaju torturą psychiczną pozwalającą wymuszać zeznania. Tyle że istnieje poważna wątpliwość co do ich wiarygodności, tak jak w przypadku każdej tortury. Lecz cóż – to znów metoda wygodna dla prokuratorów.

Tymczasowe aresztowanie jest sytuacją dla podejrzanego lub oskarżonego znacznie gorszą niż orzeczona już kara. Po pierwsze, aresztowana osoba jest pod władzą i kontrolą prokuratora, a nie administracji więziennej i sądu penitencjarnego. Podlega Kodeksowi postępowania karnego, a nie Kodeksowi karnemu wykonawczemu. Ten pierwszy stawia ją w gorszej sytuacji. W świetle tego drugiego ma większe prawa. Po drugie, nie ma perspektywy końca osadzenia. Sądy bowiem nadzwyczaj łatwo przedłużają tymczasowe aresztowanie na wniosek prokuratury. Człowiek ma też świadomość, że nie siedzi w związku z dowiedzioną mu winą. Przecież w świetle prawa jest niewinny. Po trzecie, oskarżenie nie zawsze musi się skończyć skazaniem, a jeśli już, to może to być kara w zawieszeniu. Wówczas nie sposób nawet zaliczyć tymczasowego aresztowania na poczet orzeczonej kary. W najgorszym wypadku możliwe jest, że osoba tymczasowo aresztowana na wiele miesięcy zostanie przez sąd uniewinniona. Po czwarte, tymczasowe aresztowanie ma oczywiste fatalne skutki dla podejrzanego czy oskarżonego i jego otoczenia. Może zniszczyć rodzinę, biznes, miejsca pracy, jeśli aresztowanym jest przedsiębiorca. Wszystko to – przypomnijmy – dotyczy człowieka formalnie niewinnego.

Jak pokazuje raport FCWP, liczba wniosków o tymczasowe aresztowanie mocno wzrosła od 2015 r. Wtedy wynosiła ok. 14 tys., w 2018 r. już blisko 20 tys. Sądy zatwierdzają minimum 90 proc. z nich. Według Pilitowskiego to nie przypadek ani nie autonomiczna zmiana mentalności prokuratorów. – To zhierarchizowana struktura – mówi prezes FCWP. – Jeśli prokuratorzy coraz częściej wnioskują o areszt tymczasowy, to widocznie wiedzą, że mogą albo że takie jest oczekiwanie przełożonych.

ROZMYTA ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Rodzi się pytanie, dlaczego na wnioski prokuratury niemal zawsze godzą się sądy. Pilitowski opowiada o swojej rozmowie z sędzią, która tłumaczyła, że zawsze bardzo uważnie analizuje wnioski prokuratury i nie godzi się na nie z automatu. Nierzadko zdarza jej się wydawać postanowienie odmowne, ale niemal zawsze prokuratura zaskarża je do sądu okręgowego i tam uzyskuje zatwierdzenie swojego wniosku. A to zniechęca do wnikliwego zajmowania się sprawą.

Przede wszystkim jednak mamy do czynienia ze swoistym paradoksem rozmytej odpowiedzialności. Prokuratorzy wnioskują o tymczasowe aresztowanie, bo jest to dla nich wygodne, a poza tym mają poczucie, że im wolno, decyzja oraz weryfikacja i tak należą zaś do sądu. Sędziowie zaś uważają, że skoro prokurator wnioskuje o areszt tymczasowy, to nawet jeśli jego wniosek jest słabo umotywowany na piśmie, to z pewnością jest zasadny. Przecież prokurator zna sprawę najlepiej na tym etapie. W ten sposób każda ze stron może mieć przekonanie, że to nie ona odpowiada za ewentualne nadużywanie tego środka zapobiegawczego.

Znaczenie może też mieć oczekiwanie publiczności, która domaga się kar surowych, ale też nieuchronnych i rychłych. A jako że procesy mogą się ciągnąć latami – czas postępowań sądowych w Polsce w ostatnich latach się wydłużył – areszt tymczasowy jest przez wiele osób uznawany za substytut kary. Całkowicie niesłusznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

Ile umiaru w umiarze?

Aktywiści LGBT próbujący... szczekaniem zagłuszać wolontariuszy Krucjaty Młodych TFP, którzy pod koniec września w centrum Warszawy zorganizowali happening, podczas którego zbierali podpisy pod projektem obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej StopLGBT

FOT. WREALU24

Marek Jurek

Polsce potrzebny jest konserwatyzm wolny od bizantyjskiego cynizmu i populistycznej agresji, ale przede wszystkim od polityki pozorów

Żyjemy w kraju o kulturze katolickiej i ma to swoje naturalne odbicie w życiu publicznym. Ale jakie, właściwe czy karykaturalne? Na to wielokrotnie stawiane pytanie spróbował dać kolejną odpowiedź Michał Szułdrzyński, w opublikowanym w „Rzeczpospolitej" artykule „Od PiS do Hołowni. Katolicyzm politycznego użytku".

Pierwsza i najważniejsza konkluzja autora to brak właściwej reprezentacji opinii katolickiej na forum publicznym. To, co chciałoby za nią uchodzić, spaczone jest interesami władzy, oportunizmem, złymi emocjami. W PiS Szułdrzyński widzi cynizm proponujący hierarchii Kościoła wspólnotę interesów, oferujący „ochronę" w zamian za bezkrytyczne poparcie, bizantyjską supremację władzy nad życiem chrześcijańskim. W Konfederacji i Solidarnej Polsce – nastawienie „rekonstrukcyjne", odrzucenie współczesności, realnego społeczeństwa, co wywołuje nieuchronną obustronną (otoczenia i wobec otoczenia) agresję. Ruch Szymona Hołowni przyjmuje postawę odwrotną – spontanicznej aprobaty dla współczesności, szukania w niej miejsca, kosztem zasad, których krytycznej funkcji dzisiejsze społeczeństwo potrzebuje. Cały ten stan rzeczy bardzo źle wpływa na życie katolickie, przenosząc do jego wnętrza cynizm, złość lub wygodny oportunizm – a wszystko to stanowi zaprzeczenie ducha katolickiego i musi mieć dla życia chrześcijańskiego oraz całego społeczeństwa konsekwencje (mniej lub bardziej) destrukcyjne.

Szułdrzyński nie tylko dokonuje opisu, lecz także słusznie wyraża przekonanie, że wielu tych problemów by nie było, gdyby w Polsce „powstał silny konserwatywny ośrodek kulturotwórczy,

eprasa.pl a27c412366

oparty na reprezentowanych przez Kościół wartościach, ale wprost niepowiązany z hierarchami. Nie zrealizował się w Polsce model opisany w 1991 r. przez Jana Pawła II w encyklice »Centessimus annus« i innych dokumentach wykładających społeczne nauczanie Kościoła, w którym to za politykę odpowiedzialni byli świeccy na własny rachunek, lecz świeccy posługujący się sumieniem, w którego kształtowaniu współpracuje chrześcijaństwo". Obserwacje są celne, analiza słuszna, choć nie do końca dokładna i niesięgająca głębszych przyczyn rejestrowanych zjawisk.

SAMODZIELNOŚĆ JEST (PRZEMILCZANYM) ZOBOWIĄZANIEM

Ośrodków tego rodzaju powstało w wolnej Polsce kilka, począwszy od Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, którego Radą Polityczną miałem honor okresowo kierować, a bez którego Polska nie przywróciłaby po odzyskaniu niepodległości wielu instytucji cywilizacji chrześcijańskiej. Ani ZChN jednak, ani inne tego rodzaju ośrodki nie były rzeczywiście dość „silne" i dość trwałe. Co zdecydowało o tych ograniczeniach?

Jeśli akcja kulturalna, społeczna, polityczna katolików ma mieć wpływ – to musi istnieć opinia gotowa na nią odpowiedzieć. Nie wystarczy wzywać katolickiej inteligencji do „działania na własny rachunek", trzeba lud wzywać, by szukał właściwych przywódców w wypełnianiu naszych wspólnych narodowych i społecznych obowiązków. Utrzymywanie w życiu katolickim syndromu paternalistyczno-fideistycznego (paternalizmu ze strony hierarchii Kościoła, fideizmu politycznego ze strony ludu) praktycznie uniemożliwia budowanie samodzielnej reprezentacji opinii katolickiej. Oczywiście syndromu tego nikt deklaratywnie nie popiera ani nie uzasadnia. Wszyscy go odrzucają, tyle że odrzucenie to podlega z reguły zawieszeniu wobec kolejnych nadchodzących wyborów. Dopóki zaś katolicy będą w radiu czy gdzie indziej czekać na „wskazanie", dopóty takiej samodzielnej reprezentacji nie będzie, a poparcie opinii katolickiej łatwo będzie można przekierować w stronę władzy zabiegającej o dobre relacje z hierarchią Kościoła (co niekoniecznie oznacza wypełnianie chrześcijańskich obowiązków polityki). Analiza Michała Szułdrzyńskiego zawiera jednak kilka błędów, a przede wszystkim zasadniczą niekonsekwencję. Aktywnym politycznie środowiskom zarzuca (często słusznie) instrumentalizowanie religii, tymczasem sam kończy, stawiając osobliwie funkcjonalną kwestię, że „może właśnie tym, czego nam trzeba, jest nowa koncepcja Boga, odczytanie Ewangelii na nowo w świecie płynnej nowoczesności, pandemii i mediów społecznościowych?".

Katolicy powinni brać serio zalecenie św. Ignacego Loyoli, by raczej ratować sąd bliźniego, niż go pogrążyć. Tak więc zachowując założenie, że Szułdrzyński nieprecyzyjnie sformułował swą myśl, zdecydowanie zareagować muszę na jej narzucające się odczytanie.

Jeśli akcja kulturalna, społeczna, polityczna katolików ma mieć wpływ, to musi istnieć opinia gotowa na nią odpowiedzieć

Co niedzielę powtarzamy, że wierzymy w jednego Boga, mamy wyznawać go w prawdzie, a nie według naszych potrzeb czy tym bardziej intencjonalnych „koncepcji". Szukajmy Boga tam, gdzie jest – w Domu Ojca, więc w kościele, w którym jest Eucharystia, i w Kościele, który wykłada Biblię w swoim Magisterium, i w porządku natury, bo – jak uczy Święty Tomasz – kto szuka porządku, ten szuka Boga. Szukajmy go – i służmy Mu. Służba bowiem jest najbardziej realną formą wyznawania absolutnego prymatu Boga i Jego suwerenności. Szczera, odpowiedzialna, wypełniana z otwartym umysłem służba – jest najlepszą gwarancją traktowania religii jako celu, a nie jako środka. I jedności, bo jeśli będziemy zakładać, że katolickie Credo jest ważniejszym od wszelkich innych wspólnym mianownikiem, a Magisterium – ważniejszym kryterium, to zawsze zachowamy podstawową jedność jako opinia katolicka i (proporcjonalnie) konsensus jako społeczeństwo.

„UDAJMY, ŻE ISTNIEJEMY GDZIE INDZIEJ"

Drugi błąd Szułdrzyńskiego to jedna z chronicznych chorób naszej kultury, opisana w czasie wojny przez Andrzeja Trzebińskiego chęć wiary, że „istniejemy gdzie indziej", pragnienie uniknięcia walki, do której zobowiązują wyzwania współczesności. Tymczasem dziś – jak już kilkanaście lat temu pisał Jan Paweł II – widzimy nadawanie „Europie oblicza wykluczającego dziedzictwo religijne, a w szczególności głęboką duszę chrześcijańską, przez stanowienie praw dla tworzących ją ludów, w oderwaniu od ich życiodajnego źródła, jakim jest chrześcijaństwo". Warto zwrócić uwagę, że diagnoza świętego papieża wskazuje na „stanowienie praw dla ludów" jako na zasadniczy czynnik kryzysu, który ma konsekwencje polityczne i wymaga reakcji politycznej. Michał Szułdrzyński jednak wie, gdzie żyjemy, nawet jeśli chciałby, żeby było inaczej. Pisze przecież, że „to, co uchodziło za coś oczywistego w polskim społeczeństwie dwie dekady temu, dziś już pachnie konserwatywnym radykalizmem". Bo gdy zwycięża rewolucja, sam powrót do normalności zaczyna – wśród małodusznych umysłów – uchodzić za „rekonstrukcjonizm".

Chęć zachowania (czy powrotu do) normalności żadnym „rekonstrukcjonizmem" nie jest, ale czytając tekst Michała Szułdrzyńskiego, warto postawić sobie inne pytanie, niezbędne, jeśli nie chcemy pozostać w sferze haseł i słów: kiedy sprzeciw wobec rewolucji genderowej i homoseksualnej jest autentyczny, a kiedy jedynie demonstracyjny, kiedy zmierza do jej zatrzymania i rewitalizacji ładu, a kiedy jedynie do rozbudzenia emocji wyborczych czy odprawienia – ku satysfakcji własnej i wyborców – tożsamościowych rytuałów bez realnych społecznych następstw?

W pewnym sensie Szułdrzyński stawia to pytanie sam, gdy pisze, że „minister sprawiedliwości i współpracownicy z jego partii Solidarna Polska stawiają na ostry polityczny konflikt na tle światopoglądowym". Bo „stawka na konflikt" może być tylko „stawką wyborczą", akcją „wizerunkową", a nie próbą jego rozstrzygnięcia. Pytanie jest o tyle zasadne, że przez pięć lat ugrupowanie to nie podejmowało prób wypowiedzenia konwencji stambulskiej, nie domagało się od rządu jasnej i spokojnej deklaracji, że Polska prowadzić chce politykę opartą na zasadach cywilizacji chrześcijańskiej, minister sprawiedliwości nie wyjaśnił

eprasa.pl a27c412366

Michał Szułdrzyński, zastępca redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej”

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/FORUM

RZECZPOSPOLITA WYDARZENIA EKONOMIA PRAWO REGIONY PLUSMINUS

Od PiS do Hołowni. Katolicyzm politycznego użytku

Partia Jarosława Kaczyńskiego wybrała taki model relacji z Kościołem, w którym religia legitymizuje władzę (na zdjęciu prezes PiS podczas obchodów rocznicy powstania Radia Maryja, Toruń, 2015 r.)

Forum, Piotr Malecki

Michał Szułdrzyński

NAPISZ DO AUTORA

nawet, czy w walce z przestępczością aborcyjną nastąpiła „dobra zmiana”. Być może Solidarna Polska zrozumiała, że jeśli ma zachować podmiotowość, to musi znaleźć swoją polityczną raison d’être, ale co z tego wyjdzie – dopiero zobaczymy. Jeśli zależy nam na sprawach, to nie możemy być naiwni, ale nie możemy też rezygnować z żadnego efektywnego wsparcia dla dobra wspólnego.

WOBEC REWOLUCJI

W uproszczony i niesprawiedliwy sposób autor tekstu o „katolicyzmie politycznego użytku” opisuje sprzeciw wobec rewolucji homoseksualnej. Jedno wyjaśnienie: zmiana edukacji publicznej (aż do ignorowania wychowawczych praw rodziców), zanegowanie naturalnego ustroju rodziny, moralny (przez kwalifikację – również w oficjalnych dokumentach – jako „fobii” lub „nienawiści”), a coraz częściej prawny zakaz krytyki homoseksualizmu – to jest rewolucja, określenie to nie ma charakteru retorycznego.

Szułdrzyński tymczasem opisuje ją trochę tak, jak starcie prywatnych „wrażliwości” i skłonności gejów oraz antygejów. Ironizuje, że rekonstruktorzy (czyli ci, którzy chcą Polski choćby takiej, jak – wedle jego własnego określenia – „dwie dekady temu”) „urządzają modlitewne różańcowe spotkania przebłagalne za »grzech sodomski«, zupełnie zapominając, że Katechizm, choć piętnuje seks homoseksualny, wzywa do szacunku wobec samych homoseksualistów, odrzucając ich dyskryminację. Spotkań modlitewnych w intencji szacunku dla homoseksualistów jakoś jednak ostatnio po prawej stronie nie wiedziałem. Bo dla radykalnej prawicy to wszystko liberalne gadanie”.

Czy to nie zbyt swawolna ironia i pochopny wniosek? Czy publicysta nie zagalopował się w „korporacyjnym” sporze z politykami? Bo czyż przemówienie Krzysztofa Bosaka 16 sierpnia na wiecu przeciw rewindykacjom homoseksualnym nie było nacechowane szacunkiem dla ludzi, niezależnie od ich skłonności? Katolicyzm przede wszystkim nie uznaje za „dyskryminację” odrzucania roszczeń politycznego ruchu homoseksualnego, co więcej – wyraźnie przeciwstawia się posługiwaniu się hasłem „dyskryminacji” dla wymuszania tych roszczeń (por. deklaracja Kongregacji Nauki Wiary „Omosessualitá” z 1992 r., art. 10–14).

Perspektywa Szułdrzyńskiego zawiera charakterystyczne liberalne pomieszanie wymiaru publicznego i prywatnego, zamazywanie różnic między ludźmi o skłonnościach homoseksualnych a ruchem politycznym, który się na nich powołuje. Jeśli chodzi o ten ruch, to jest wyzwaniem zobowiązującym do reakcji, w imię dobra wspólnego, które – jak pisze Święty Tomasz – jest „większe i bardziej Boże” niż dobra indywidualne. Choćby dlatego, że ład społeczny zawiera dobra wszystkich, nie tylko „drugiego”, lecz także„trzeciego, piątego, dwudziestego” i każdego kolejnego człowieka, którego nawet nie znamy, a którego dobro – służąc społeczeństwu – chronimy.

CNOTA UMIARU

Michał Szułdrzyński ma ciągle nadzieję, że pojawi się „umiarkowane, konserwatywne centrum, które stabilizowałoby sytuację polityczną, stając się punktem odniesienia zarówno dla prawicy, jak i lewicy”. Też mam taką nadzieję. Rzecz w tym, żeby właściwie definiować umiar. W istocie to cnota służąca dobru wspólnemu. Należy zachować umiar w roszczeniu swoich praw, bo społeczeństwo też ma swoje, a my oprócz praw mamy również obowiązki. Demokracja powinna być świadoma, że ani mandat wyborczy, ani „przyjęte standardy” nie dają prawa do wszystkiego.

Dzisiejsze pokolenia muszą mieć świadomość, że tylko częściowo możemy konsumować dorobek narodowej przeszłości, przede wszystkim mamy bowiem go zachować i przekazać. Państwo musi szanować własność prywatną, a ci, którzy mają jej więcej – muszą mieć świadomość zobowiązań, które rodzi przywilej. Partie nie powinny kierować się zachłannością wyborczą, traktując imperatyw współpracy jako zło, którego należy unikać wszelkimi dostępnymi środkami. Umiar to zaprzeczenie współczesnej egocentrycznej kultury, nastawianej na korzyść i roszczenia praw.

Natomiast tej kulturze nie należy się przeciwstawiać „umiarkowanie”, choć również nie histerycznie. Po prostu potrzebna jest konsekwencja. Proporcjonalna do tego, jak wartości naszej cywilizacji są kwestionowane lub lekceważone. Umiar nie polega na zdolności balansowania, ale rozmawiania, również na kulturze koniecznego sporu. Polsce potrzebny jest konserwatyzm wolny od bizantyjskiego cynizmu i populistycznej agresji, ale przede wszystkim od polityki pozorów. Świadomy reguł demokracji, ale nie podporządkowujący się subkulturze populizmu wyborczego i gier wizerunkowych. Krótko mówiąc – konserwatyzm zasad i odpowiedzialności, bynajmniej nie umiarkowanej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

Największa na świecie biografia Papieża Polaka ukończona!

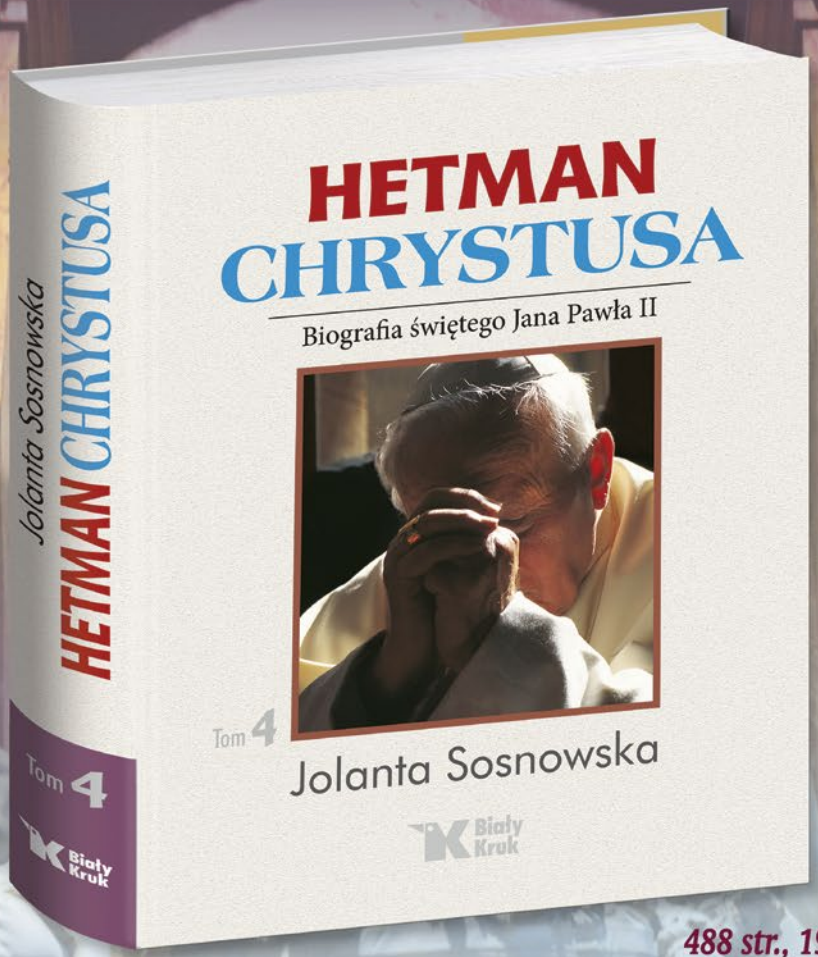

488 str., 19,5 x 24 cm,
twarda, lakierowana oprawa

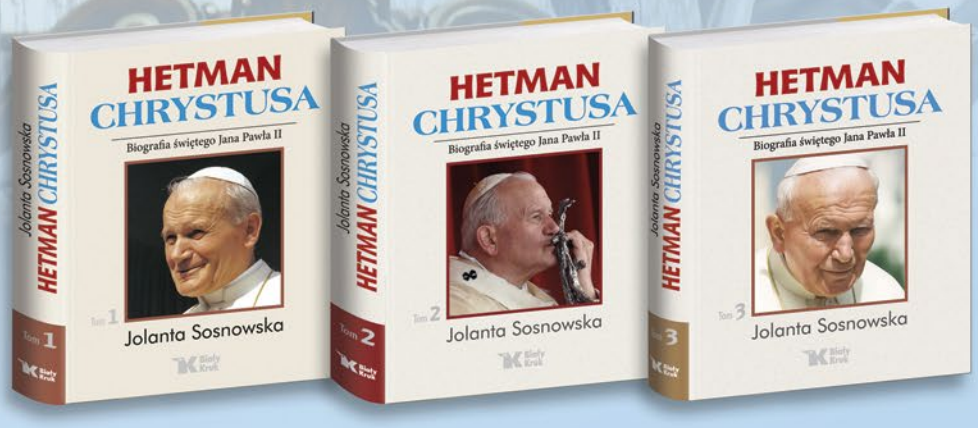

W pakiecie taniej
4 tomy 199 zł
zamiast ~~332~~ zł

Dla Czytelników „Do Rzeczy” 35% taniej!
Wejdź na stronę bialykruk.pl i wykorzystaj kod rabatowy WPIS35

eprasa.pl a27c412366

Jan Parys

Polska – przygoda na całe życie

Doczekaliśmy się sytuacji, kiedy grupa krzykliwych wykształconych obywateli domaga się de facto likwidacji państwa polskiego. Jak temu przeciwdziałać?

Artykułowanie wspólnych interesów przez kraje tworzące Trójmorze na terenie UE jest konieczne i to niezależnie, czy w danym kraju rządzi lewica, czy prawica, bo chodzi o zachowanie samodzielności, o odrzucenie klientelizmu w życiu międzynarodowym. Dzisiaj widać kryzys tzw. demokracji liberalnych. Globalizm, który skazywał narody na niebyt, okazał się mitem, i to szkodliwym. Europa jest i pozostanie mozaiką różnych kultur i narodów. Ta różnorodność Europy to wielkie bogactwo. To z tej perspektywy trzeba patrzeć na Polskę i na Trójmorze.

Młode pokolenie jest zawsze niecierpliwe i skłonne do kontestacji status quo. Spór między liberalizmem i konserwatyzmem rozbija Europę od strony ideowej, grozi politycznymi konfliktami i podziałem wewnątrz cywilizacji zachodniej. Aby tego uniknąć, konieczne jest uprawianie polityki według reguł wskazanych przez Jana Pawła II.

ŻYCIE MA SENS

Młode pokolenie obywateli Europy oczekuje nie tylko poprawy stopy życiowej. Młodym trzeba pokazać perspektywę, pokazać, że nasze indywidualne życie nie polega tylko na pracy i konsumpcji, lecz że ma sens. Młodzież jest teraz zafascynowana możliwościami, jakie daje dostęp do świata cyfrowego. W rezultacie czasem przez to odrywa się od rodziny i tradycji, od świata wartości innych niż doraźne. Marzy mi się, by inteligentny inżynier informatyk, który potrafi pisać programy, opracował gry komputerowe, które promują Trójmorze. Książki Bohdana Cywińskiego, Normana Daviesa czy Jerzego Kłoczowskiego są dla takiego inżyniera informatyka znakomitym surowcem.

Każdego roku miliony mieszkańców Europy podróżują po krajach Trójmorza. Dlaczego nie ma aplikacji, która prowadzi turystów po najważniejszych zamkach, pałacach i sanktuariach, po najstarszych klasztorach i uniwersytetach, po zabytkach romańskich, gotyckich i barokowych, po miejscach związanych z wielkimi twórcami, takimi jak Milan Kundera, Kopernik, Matejko, Wyspiański, Sándor Márai czy Zbigniew Herbert? Trzeba opowiedzieć świat oczami wielkich ludzi kultury z naszych państw. Nawet największy zwolennik leżenia na plaży chce czasem coś obejrzeć, zwiedzić znane miejsca.

Postęp w dziedzinie cyfrowej doprowadził wielu ludzi do zagubienia, do przekonania, że ich życie nie zależy od nich i wobec tego nie ma sensu. Za zamętem ideowym idzie często polityczny chaos. Jeżeli nie nauczymy młodzieży, by stawiała pytania egzystencjalne, jeżeli nie przekonamy jej, że stanowi część sztafety pokoleń, to ją stracimy. Skoncentrowanie na konsumpcji, alkohol i narkotyki to często ucieczka przed pytaniami o sens życia, o śmierć, o to, czym jest dobro, jak poradzić sobie ze złem i z niesprawiedliwością na świecie. Ucieczką reaguje człowiek, którego życie ogranicza się do bieżącej

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl a27c412366

konsumpcji, który został przez kulturę masową pozbawiony tradycji, poczucia przynależności do wspólnoty, nie ma wzorów ani autorytetów, który został wykorzeniony i czuje się samotny w obcym świecie.

Odpowiadamy za to, by młodym ludziom w Europie pokazać, że warto żyć, bo tu i teraz to my jesteśmy gospodarzami, że nie jesteśmy jedynie pracownikami i konsumentami, że są autorytety, których warto słuchać przy korzystaniu z naszej wolności. To nie tylko wielcy wynalazcy czy bohaterowie zwycięskich bitew. To także ludzie świeccy i duchowni, którzy są zasłużeni dla naszych narodów, dlatego że szanowali Dekalog, bo potrafili odrzucić darwinowski model społeczeństwa, który proponowali Machiavelli i Hobbes.

JAK LUDZIE WOLNI

Młode pokolenie chce żyć jak ludzie wolni, którzy potrafią troszczyć się o bliskich i o przyrodę, w krajach, gdzie są równe szanse dla wszystkich bez względu na płeć, wiek, wyznanie i poglądy. Aby przełamać poczucie wyobcowania u młodzieży, trzeba jej dać szansę na identyfikację. To jest możliwe tylko wtedy, jeżeli w poszczególnych krajach decyzje będą podejmować ludzie z mandatem od społeczeństwa, a nie zagraniczni biurokraci. Trudno obiecywać, że szybko naprawimy cały świat, ale możemy sprawić, by w naszym regionie Trójmorza obywatele czuli się dobrze. Tak będzie, jeżeli ludzie poczują, że są u siebie, bo tu mogą realizować swoje cele, dbać o rodzinę, o środowisko przyrodnicze, o to, co im najbliższe i co dla nich najważniejsze. Wtedy młodzi ludzie nabiorą przekonania, że nie są jedynie zbiorem jednostek rządzonych przez brukselskich biurokratów, lecz stanowią część większej historycznej i kulturowej wspólnoty. Wtedy poczują, że ich życie ma sens. Demokracja jest potężną siłą. I to nie tylko jako procedura ważna dla pokojowej zmiany elity władzy. Demokracja jest ważna, bo daje szansę, by większość obywateli zidentyfikowała się z państwem, w którym żyje, bo wtedy ludzie mogą realizować wspólne cele uznane za istotne i czują, że ich życie ma sens.

W ostatnim czasie można było obserwować niepokojące zachowania wśród naszej elity. Władze Szczecina w rocznicę Bitwy Warszawskiej demonstracyjnie czciły naszych wrogów, czyli żołnierzy Armii Czerwonej. Znany profesor informatyki ogłasza, że w Polsce nie warto żyć, bo tu nie ma takich pieniędzy jak na Zachodzie, a większość jego doktorów już emigrowała, gdyż w panującej tu atmosferze rzekomego braku wolności nie da się żyć. Władze Gdańska z okazji rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej deklarują, że ona wybuchła przez złe słowo Polaka wobec Niemca. U przedstawicieli inteligencji nastała moda, by wolność rozumieć jako możliwość obrażania symboli polskości i wiary. Wygląda na to, że wielu przedstawicieli wielkich miast potraktowało serio słowa Donalda Tuska o tym, że polskość to nienormalność. Oni dopiero wtedy czują się ludźmi wolnymi i Europejczykami, kiedy zdezawuują naszą narodową tożsamość.

BUDOWANIE POGARDY

Co łączy te zachowania? Są to próby budowania grupowej tożsamości i przywilejów poprzez manifestowanie pogardy wobec państwa polskiego. Nie widzę nic nadzwyczajnego w walce o grupowe partykularne interesy. Mamy tu jednak także do czynienia z próbami podporządkowania interesu wszystkich Polaków interesom zagranicznym. To nie jest tylko oderwanie od większości społeczeństwa i skupienie się na kwestiach partykularnych. Ci ludzie manifestują brak związku ze wspólnotą narodową, z krajem, w którym żyją. Fakt, że społeczeństwo nie chce ich słuchać i przyznać im przywilejów, uważają za argument, by walczyć z polskim państwem.

Doczekaliśmy się sytuacji, kiedy grupa krzykliwych wykształconych obywateli domaga się de facto likwidacji państwa polskiego. Bo czymże innym jest odrzucenie Polski jako wartości i dążenie do podporządkowania Polski obcym instytucjom politycznym i obcym interesom gospodarczym? Z bólem trzeba stwierdzić, że po 30 latach prania mózgów w wolnej Polsce, przez media z zagranicznym kapitałem, powstała pokaźna grupa wynarodowionej inteligencji w średnim wieku, która ogłasza, iż czeka, by ją ktoś kupił. Przy czym nie tylko o pieniądze tu chodzi. W końcu płace w Polsce w ostatnim czasie stale rosną. Ta grupa gardzi Polską i nie chce jej modernizować, oni nie chcą być polską inteligencją. Chcą kraj wydzierżawić obcym. Ci ludzie o mentalności niewolniczej chcą budować swą pozycję na służeniu zagranicy, chcą otrzymać dzięki poparciu zagranicy mandat do zarządzania Polską. Na razie sami na szczęście nie potrafią wygrać w Polsce wyborów.

Aby zatrzymać marsz zdegenerowanej inteligencji do władzy, trzeba dać młodemu pokoleniu szansę. W najbliższych latach w Polsce przeznaczymy na modernizację kraju fundusze, którymi on nigdy nie dysponował. Każdy obywatel może mieć swoje zadanie w tym wielkim programie modernizacji. To szansa nie tylko na lepsze życie materialne, lecz także na poczucie, że w Polsce jesteśmy u siebie, że tu możemy realizować wielkie i ważne cele. W Polsce jest miejsce dla każdego, bez względu na płeć, poglądy czy wyznanie. Wystarczy, by traktował kraj jako dobro wspólne, o które trzeba dbać. Nie można jednak pozwolić na destrukcję państwa lub poniżanie naszej tożsamości. Nawet jeżeli ktoś nie czuje się Polakiem, to jako obywatel RP jest zgodnie z konstytucją zobowiązany do wierności wobec Rzeczypospolitej. W innym kraju będzie co najwyżej miał status gościa, a do końca życia będzie funkcjonować jako obcy. Tylko Polska daje Polakom szanse, by być gospodarzami w kraju, w którym się żyje. Polska może być przygodą na całe życie dla każdego z nas.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

Prymas Glemp o Solidarności

Lech Wałęsa podczas spotkania delegacji NSZZ „Solidarność" z abp. Józefem Glempem w Warszawie, 1981 r.

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

Rafał Łatka

W grudniu 1981 r. prymas Józef Glemp osobiście przygotował analizę dotyczącą ruchu społecznego Solidarność

eprasa.pl a27c412366

Nieznana szerzej analiza abp. Glempa na temat Solidarności jest bez wątpienia daleka od poprawności politycznej i była przygotowana jako jego osobista notatka (prawdopodobnie mógł ją pokazywać też części najbliższych współpracowników). Materiał ten nosi tytuł „Próba oceny sytuacji Kościoła w Polsce na tle wydarzeń społeczno-politycznych 1980–1981" i liczy siedem stron maszynopisu.

PRZYCZYNY PROTESTÓW

Arcybiskup Glemp rozpoczął ten dokument od krótkiego wskazania genezy kryzysu z sierpnia 1980 r. Interesujący jest ranking przyczyn fali strajków, który nakreślił. Rozpoczął od stwierdzenia, że protesty wynikały bezpośrednio z charakteru narodowego Polaków, ich umiłowania wolności. Ponadto wzięły się z importu komunizmu z Rosji kojarzonego przez rodaków bezpośrednio z carskim despotyzmem. Jako trzeci powód wymienił walkę, którą władze PRL prowadziły z religią i Kościołem katolickim. Zwrócił uwagę również na wszechobecny cynizm oraz na znaczące rozmiary kryzysu gospodarczego w PRL. Warto zatrzymać się nad przedostatnią z przyczyn, która w refleksji prymasa wynikała głównie z utraty przekonania (wiary) młodzieży, a nawet działaczy partyjnych, w dogmaty ideologii marksistowskiej. W konkluzji tego wątku dodawał: „Doprowadziło to klasę władającą do zupełnego cynizmu. Cynizm objawiał się w stosunku do interesów państwa i do klasy robotniczej. Znane to są sprawy prywatyzacji wielu resortów. Używania życia w stylu wielkopańskim". Warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że dokładnie takie zarzuty ekipie Gierka stawiał kard. Stefan Wyszyński w czasie spotkania z I sekretarzem KC PZPR ze stycznia 1979 r.

CZYM BYŁA SOLIDARNOŚĆ?

Rozważania dotyczące tego, skąd się wzięła i czym była Solidarność jako ruch społeczny, prymas rozpoczął od wskazania, że do procesu odnowy społecznej przyczyniło się wiele różnorodnych czynników. Wymieniał m.in.: uczelnie katolickie (KUL i ATK), oazy, duszpasterstwa akademickie, wybór Jana Pawła II i jego pierwszą pielgrzymkę do ojczyzny oraz międzynarodowe kontakty wielu Polaków. Arcybiskup Glemp zaznaczył, że powstanie Solidarności przyczyniło się do otwartego wyzwolenia ideałów religijnych i narodowych w polskim społeczeństwie. W jego przekonaniu: „Klimat był niezwykle podatny: zwycięstwo w sporze z władzami za stołem stoczni, zaplecze męczenników sprzed dziesięciu lat, euforia zjednoczenia, popularny wódz, skuteczne rozliczenie się z przestępstwami gospodarczymi […], szybka organizacja samorządnych związków, aprobata ze strony hierarchii kościelnej i sympatia ze strony duchowieństwa, a nawet współpraca, poświęcanie sztandarów, miliony zapisanych szybko członków, poczucie siły".

Zwrócić należy jednakże uwagę, że prymas wskazał także na istotne słabości nowego ruchu politycznego, zarówno te o charakterze obiektywnym, jak i takie, które można ocenić jako błędy popełniane przez kierownictwo Solidarności. Wśród nich na pierwszy plan wysunął mankamenty lidera związku Lecha Wałęsy: „Wódz okazał się wielki na miarę wielkiego zakładu w akcie buntu, ale nie na miarę strategii kierowania ogromnym związkiem". Jako kolejne wymienił kwestie takie jak brak doświadczenia i umiejętności funkcjonowania w sferze publicznej, brak wzorców działania dla takiej organizacji, zbyt duży pośpiech w stawianiu postulatów politycznych. Prymas zaakcentował też „brak jednolitej ideologii. Początkowe deklaracje o inspiracji chrześcijańskiej ustąpiły szybko deklaracjom obojętności religijnej lub wręcz niechęci do religii".

Arcybiskup Glemp stwierdził, że w rezultacie braków kadrowych, jeśli chodzi o ekspertów z różnych dziedzin życia społecznego, sięgnięto po doradców spoza ruchu, przyjęto „narzucających się i doświadczonych już polityków, zwłaszcza z ugrupowania KOR", uwierzono też, że Solidarność jest silna, a zwycięstwo nieuniknione. Dodał również, że nowy ruch społeczny stał się reprezentantem interesu robotników, zastępując partię, która pełniła tę funkcję tylko formalnie. Było to tak istotnym wyłomem w systemie politycznym, że PZPR nie mogła pozostać obojętna i od razu zaczęła zwalczać Solidarność. Odniósł się w tym zakresie także do poglądu kard. Wyszyńskiego, który uważał, że jeśli powstały niezależny ruch przetrwałby trzy–cztery lata, to miałby szansę stać się trwałym elementem rzeczywistości PRL: „Gdyby Solidarność potrafiła się zatrzymać w pewnym momencie swoich osiągnięć – sprawa mogłaby się rozwiązać etapami. Jednakże załatwienia spraw etapami, tzn. z uwzględnieniem przerw, okresów spokoju, nie chciała ani Solidarność, ani skrajne grupy partyjne". Hierarcha wskazał więc, że związkowi zabrakło realizmu politycznego i umiejętności stopniowego realizowania zamierzeń. Jego zdaniem wynikało to po części z faktu, iż kontrolę nad Solidarnością uzyskali ludzie z KOR, których dążenia oceniał krytycznie. Dodał, że właśnie to środowisko przekonało szersze kręgi działaczy „S", iż trzeba ciągle atakować za pomocą strajków, gdyż partia jest słaba, a Związek Sowiecki pozostanie bierny wobec rozwoju sytuacji w Polsce. Zaznaczył, że z biegiem czasu to właśnie „bojowe nastroje" zyskiwały na sile mimo postawy Kościoła, który zachęcał do umiarkowania.

TO NIE RUCH KATOLICKI?

Prymas zauważał, że nowy ruch społeczny miał tylko częściowo oblicze chrześcijańskie, i silnie zaakcentował, że władze w nim sprawowali ludzie pochodzący z innych środowisk: „Charakterystyczne [jest] i to, że pod względem wyznania 10-milionowa rzesza solidarnościowców to katolicy w 90 proc. Jednakże w prezydiach i zarządach Solidarności, także w redakcjach, katolicy stanowili mniejszość […]. Kościół sympatyzował z ruchem Solidarności w nurcie religijno-narodowym ruchu […]. Kościół był w Solidarności masowej, ale nie w kierownictwie". Wydaje się, że nie bez znaczenia przy tak nakreślonym ujęciu tematu był także spadający wpływ hierarchii kościelnej na liderów podziemia solidarnościowego. W czasie posiedzeń Episkopatu mających miejsce od września do grudnia 1981 r. większość biskupów oceniała, że Solidarność silnie się zradykalizowała, a wezwania z kręgów kościelnych o zachowanie umiaru i ostrożności pozostają bez echa.

Tego typu zarzuty dotyczące braku odpowiedzialności i rozsądku w działaniu prymas będzie stale podnosił w kolejnych latach. Był to także bez wątpienia jeden z głównych powodów jego krytycznego spojrzenia na działalność opozycji w podziemiu po 13 grudnia 1981 r. Na przykład w lutym 1982 r. prymas podkreślał: „W oczach Zachodu Solidarność widzi się w kategoriach symbolu, jakim jest Wałęsa, a mnie – powiedział ks. prymas – Solidarność kojarzy sią z Rulewskim, Kuroniem, Modzelewskim. Stąd ta różnica optyki".

PODZIAŁY WŚRÓD KOMUNISTÓW

Prymas interesująco ocenił sytuację w PZPR i jej taktyki w latach 1980–1981. Działaczy komunistycznych podzielił

eprasa.pl a27c412366

na trzy kategorie: komuniści bolszewiccy – „pragnący każde działanie uzasadnić Leninem" i odwołujący się do tradycji przedwojennych: Władysław Gomułka, Tadeusz Grabski; komuniści oświeceni – „bardziej tolerancyjni i otwarci. Otwierający się na rzeczywistość narodową i kościelną": Gierek, Wojciech Jaruzelski, Kazimierz Barcikowski; komuniści antyradzieccy – „pragnący widzieć Polskę jako ośrodek dywersji": Jacek Kuroń, Adam Michnik, Karol Modzelewski. Zdaniem hierarchy ówczesne kierownictwo partii reprezentowało drugą grupę, ale pragnęło uniknąć błędów popełnionych przez ekipę Gierka. Prymas opisał także poglądy najważniejszego z nich w grudniu 1981 r.: „Postawę Jaruzelskiego tak mógłbym scharakteryzować: przyszłość Polski może kształtować się jedynie w sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Sojusz niemożliwy jest bez partii. Partię trzeba wydobyć ze stanu kompromitacji, uczynić ją wiarygodną i kierowniczą. Odnowa, jaka musi być wprowadzona, będzie kształtowała demokrację. Demokracja, jaką może w bloku tworzyć Polska, będzie novum. Kościół w tej nowej demokracji znajdzie miejsce, bo taki jest realizm naszego bytu historycznego i społecznego. Widzenie społecznej i narodowej roli Kościoła w Polsce nie jest zabiegiem taktycznym, ale trwałym rozwiązaniem. Wskazują na to poważnie zaawansowane prace legitacyjne [sic!] wypracowane ze strony Kościoła i państwa". Powyższy fragment pokazuje, że abp Glemp całkowicie błędnie oceniał taktykę władz i ulegał złudzeniom tworzonym przez dygnitarzy partyjnych – efektem była strategia przyjęta przez Kościół w czasie stanu wojennego (której elementem było zwiększenie dystansu wobec opozycji).

DROGA DO STANU WOJENNEGO

Prymas wskazywał, że do wprowadzenia stanu wojennego doszło z kilku zasadniczych powodów, które tłumaczył, odnosząc się do zaproponowanego przez siebie podziału wśród komunistów w Polsce. Jego podejście do ekipy Jaruzelskiego było całkowicie błędne. Oceniając poglądy i postawy dwóch pozostałych grup, zauważał, że „komuniści bolszewicy" uważali, iż możliwe było rozwiązanie sytuacji przy użyciu siły – podobnie jak miało to miejsce w 1956 czy 1970 r. Był też przekonany, że to właśnie ta grupa generowała antyradzieckie prowokacje, które miały następnie posłużyć jako pretekst do siłowej pacyfikacji Solidarności.

Stosunkowo najwięcej miejsca poświęcił „komunistom antyradzieckim". Wydaje się też, że to najciekawszy, a na pewno najbardziej kontrowersyjny fragment jego analizy. Rozpoczął od stwierdzenia: „Komuniści antyradzieccy bardzo szybko zdobyli wpływy w Solidarności i praktycznie zaczęli związkiem kierować. Ich dążeniem było doprowadzić do rozruchów w Polsce i wywołać konflikt międzynarodowy". Dalej wskazywał, że rola katolików w związku, mimo iż stanowili oni 90-rocentową większość, była znacząco mniejsza niż szeroko ujmowanego środowiska KOR. W podsumowaniu tego wątku podkreślał, że konfrontacji chcieli radykałowie z obozu władzy i Solidarności (KOR), co w efekcie doprowadziło do zwarcia oraz stopniowej radykalizacji związku.

Prymas sympatyzował z Solidarnością masową odwołującą się do zasad katolickich

Dalej prymas zaznaczał, że jego spotkanie z 7 grudnia 1981 r. nie przyniosło zmiany postawy liderów Solidarności. Przekonywał wówczas bezskutecznie przedstawicieli związku, by zaniechali politycznej demagogii i nie wciągali do niej całego ruchu społecznego.

W dalszej części swoich rozważań abp Glemp zaznaczał, że dla większości społeczeństwa zniszczenie Solidarności oznaczało zwycięstwo tyranii, a ograniczenia i restrykcje wprowadzone przez władze PRL powodują przygnębienie i rozpacz. Podkreślał także, że „Solidarność stan wojenny przeżywa jako klęskę. Poczucie klęski rodzi desperackie bunty i strajki, a jednocześnie organizuje się podziemie i konspiracja. Najtrudniejszy problem dla Rządu jest utrzymać Solidarność jako Związek, ale w formie odpolitycznionej".

W ostatnim fragmencie tej części dokumentu prymas zastanawiał się nad wpływem Związku Sowieckiego na decyzję władz PRL. Podkreślał, że wspomniane państwo bacznie obserwowało sytuację w Polsce. Wskazał także na daleko idące uzależnienie gospodarcze, które powodowało, że Sowieci mogli wpływać w bardzo szeroki sposób na ekipę Jaruzelskiego bez konieczności własnej interwencji (która w tym przypadku nie byłaby w ogóle potrzebna).

KOŚCIÓŁ

Prymas obszerną część swojej analizy poświęcił na przedstawienie roli Kościoła. Wskazywał, że sympatyzował on z Solidarnością masową odwołującą się do zasad katolickich. Podkreślał, że wraz z wprowadzeniem stanu wojennego hierarchia kościelna uważała, iż należy uspokajać sytuację. Z tego przekonania wynikało przesłanie dwóch kazań wygłoszonych przez prymasa 13 grudnia. Podkreślał także, iż „rozdrażnione umysły przyjęły kazanie Prymasa umiarkowanie, a gdy radio powtarzało kilka razy – to niechętnie, uważając, że Kościół zaczyna być instrumentalizowany". Arcybiskup Glemp zauważył, że pod wpływem tych nastrojów Rada Główna wydała ostrzejszy komunikat, który następnie na skutek interwencji władz został wycofany i zastąpiony przez słowo prymasa. Uważał, że należało tak postąpić ze względu na rozlew krwi (pacyfikacja protestu w kopalni Wujek) oraz niechybne naciski władz na duchowieństwo, by komunikat nie był odczytywany. „Krok taki był potrzebny, aby nie narażać duchowieństwa na niepodporządkowanie się hierarchii. Był także potrzebny ze względu na okoliczności rozlewu krwi. Kościół bowiem deklaruje się za pokojem i wstrzymaniem gwałtów, nie mógł dawać w tej chwili pozorów do tworzenia sytuacji bardziej napiętej. Prowadzone są intensywne modły we wszystkich katedrach i sanktuariach – jak również w parafiach – w intencji jedności narodu i pokoju w Ojczyźnie" – napisał.

Dokument przygotowany przez abp. Glempa jest niezwykle ciekawym przyczynkiem do odpowiedzi na pytanie o stosunek Kościoła do Solidarności, który wbrew rozpowszechnionym opiniom nie był bynajmniej jednoznacznie pozytywny. Biskupi dostrzegali wyraźnie słabości powstałego w 1980 r. ruchu społecznego ze szczególnym uwzględnieniem wzrostu wpływu na związek środowisk wrogich lub krytycznie nastawionych do Kościoła. Stało się to szczególnie widoczne po wprowadzeniu przez władze PRL stanu wojennego, ale to już temat na zupełnie inną opowieść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, doktorem habilitowanym, pracownikiem BBH IPN.

eprasa.pl a27c412366

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Z Hitlerem w Polsce

Heinrich Hoffmann był osobistym fotografem i przyjacielem Adolfa Hitlera. Znajdował się tuż obok niemieckiego dyktatora w najważniejszych momentach jego życia. Podczas największych triumfów i największych klęsk. Wspomnienia Hoffmanna są kopalnią wiedzy dla historyków, a jednocześnie zbiorem kapitalnych anegdot i ciekawostek dotyczących życia codziennego Hitlera.

Polskich czytelników zapewne zainteresuje fragment książki poświęcony kampanii 1939 r. Hoffmann razem z Hitlerem wybrał się obserwować „pierwszy blitzkrieg w historii świata" pociągiem specjalnym Führera. Na poszczególne, wysunięte odcinki frontu przyjeżdżali zaś samochodami.

Te wypady nie były wcale bezpieczne – wspominał Hoffmann – gdyż duże oddziały rozbitej polskiej kawalerii kryły się po lasach po obu stronach drogi. Gdyby Polacy dowiedzieli się, kto podróżuje w tak niewielkiej kolumnie, i zdali sobie sprawę, jak słabą ma ochronę – zaledwie jeden strzelec co sto metrów – zlikwidowanie Hitlera i całego jego otoczenia byłoby dla nich najłatwiejszą rzeczą na świecie. Wiele razy udało nam się szczęśliwie uciec i ledwo uniknęliśmy tragedii, ale szczęście nas nie opuszczało".

Niestety!

Ze wspomnień fotografa wynika, że Hitler przywiązywał bardzo dużą wagę do zdjęć. Uważał, że przywódca powinien wyglądać na nich godnie, poważnie i majestatycznie. Dlatego, gdy Hoffmann pokazał Führerowi zdjęcie Mussoliniego w samych spodenkach kąpielowych, Hitler nie krył niesmaku i zdegustowania. Stracił wówczas do włoskiego przywódcy cały szacunek!

Podobnie było w sierpniu 1939 r. po powrocie Hoffmanna z Moskwy, gdzie robił zdjęcia w trakcie podpisywania paktu Ribbentrop-Mołotow. Hitler był fotografiami zawiedziony, bo na wszystkich Stalin trzymał w dłoni papierosa. „Podpisanie paktu to uroczysty akt – zżymał się – do którego nie podchodzi się z papierosem zwisającym z ust. Taka fotografia trąci lekkomyślnością! Proszę sprawdzić, czy uda się wymazać papierosy, zanim przekaże pan zdjęcia prasie".

W dobie Photoshopa rozkaz Hitlera nie nastręczałby większego problemu, a tak niemieccy specjaliści od retuszu musieli się napracować. ©℗

★★★★★★

HEINRICH HOFFMANN „MÓJ PRZYJACIEL HITLER"
RM

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Brunet wieczorową porą

Jak powszechnie wiadomo, Stanisław Bareja specjalizował się w komediach. Początkowo były to filmy typowo rozrywkowe, z czasem reżyser coraz częściej wprowadzał karykaturalnie przetworzone elementy z otaczającej nas rzeczywistości. Nikt nie zapomni znakomitych dialogów z „Poszukiwanego, poszukiwanej" („Mój mąż jest z zawodu dyrektorem"), scen z produkcją bimbru na przemysłową skalę przez Mieczysława Czechowicza (Bareja osobiście też pędził znakomitej jakości samogon) czy puenty filmu sugerującej, że w PRL dobra pomoc domowa zarabia znacznie lepiej niż wykształcony inteligent. Po latach trudno zresztą uwierzyć, że filmy Barei nie cieszyły się wówczas specjalnym uznaniem środowiska filmowego i niektórzy aktorzy odmawiali w nich udziału z obawy, że później nie zostaną zatrudnieni przez „poważnych" reżyserów.

Na szczęście większość była jednak innego zdania, Bareja miał zresztą też swoich ulubionych wykonawców. Niemal w każdym jego filmie pojawiali się Wiesław Gołas i Wojciech Pokora, tworząc niezapomniane kreacje. Oczywiście w czasach PRL nic nie było łatwe i proste. Wprawdzie władze traktowały twórczość Barei jako specyficzny „wentyl bezpieczeństwa", ale gdy reżyser chciał nakręcić „Bruneta wieczorową porą", dowiedział się, że otrzyma zgodę na produkcję, ale wcześniej musi nakręcić telewizyjną komedię o tematyce bożonarodzeniowej. Chociaż bowiem władze PRL deklarowały ateistyczny światopogląd, to jednak zdawały sobie sprawę z tego, że nigdy nie zwyciężą z tradycją świąteczną zakorzenioną w polskim społeczeństwie. Zatem zdecydowano się nakręcić film mający za tło obyczaje Bożego Narodzenia i wybrano formę lekkiej komedii z optymistycznym zakończeniem. W ten sposób powstał „Niespotykanie spokojny człowiek" uważany za film o „najmniejszej zawartości Barei w Barei" ze wszystkich produkcji reżysera. Faktycznie, był to bardzo nietypowy dla niego obraz, akcja nie toczyła się w wielkim mieście, nie ukazywała też Polski w krzywym zwierciadle, co dotychczas było znakiem firmowym reżysera.

Dzięki temu reżyser uzyskał jednak zgodę na „Bruneta wieczorową porą" (premiera: 18 października 1976 r.), do dzisiaj uważanego za dzieło kultowe. Wtajemniczeni wiedzieli również o pewnej „słabości" reżysera, Bareja lubił sam grać w swoich obrazach i praktycznie w każdej produkcji miał niewielką rolę. Na planie „Bruneta…" pojawił się jako pijaczek, rola nie została zresztą wymieniona w napisach końcowych, czyli – jak mawiają filmowcy – na liście płac. ©℗

eprasa.pl a27c412366

Z Radosławem Golcem, historykiem, publicystą
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Windsor na polskim tronie

ZBIGNIEW ZAPERT: Generała Władysława Sikorskiego dobrze znamy. A kim jest drugi z bohaterów pańskiej książki?

RADOSŁAW GOLEC: To książę Jerzy Windsor, młodszy brat brytyjskich królów Jerzego VI i Edwarda VIII. Posługiwał się tytułem księcia Kentu i w latach 30. XX w. był na Wyspach Brytyjskich kimś w rodzaju celebryty, osobą bardzo kontrowersyjną. Uzależniony od morfiny, wdawał się w liczne romanse, nie tylko z kobietami.

Jednym z jego kochanków był słynny sowiecki agent Anthony Blunt. Często podróżował do III Rzeszy. Dzięki temu stał się pośrednikiem w kontaktach pałacu Buckingham z hitlerowcami. W 1937 r. gościł w Polsce – u Potockich w Łańcucie – przyjmowany niczym monarcha, m.in. przez obecnego tam ministra spraw zagranicznych Józefa Becka.

Po wybuchu wojny diuk zaprzyjaźnił się z gen. Sikorskim i stał się jego kandydatem na króla powojennej Polski czy też planowanej przez premiera federacji państw środkowoeuropejskich pod przewodnictwem Rzeczypospolitej.

Rościł sobie prawa do korony polskiej czy też zostały mu one narzucone?

Kandydatura została zakulisowo zaproponowana królowi Jerzemu VI przez Sikorskiego. Rodzina królewska zgodziła się na nieoficjalne „podchody". Niezwykle ambitny diuk nawiązał bliskie relacje z Sikorskim, który został nawet jego sąsiadem. Świadkowie widzieli, jak nieraz przeskakiwał przez płot jego podlondyńskiej willi, aby wpaść na herbatkę do generała.

Odwiedzał polskie oddziały stacjonujące w Szkocji. Zdobył sympatię żołnierzy, którzy odwdzięczali mu się, zasypując go oraz jego rodzinę prezentami. Wszystko to służyło jednemu celowi – przygotowaniu armii do przekazania nad nią zwierzchnictwa Windsorowi.

Jednocześnie specjalna komisja rządowa opracowała projekt przyszłej konstytucji Polski, który umożliwiał powołanie króla. Na skutek protestu socjalistów projekt został jednak odrzucony.

Pomysł osadzenia Windsora na tronie podsunął Józef Retinger?

Prawdopodobnie koncept wyszedł od „Recia" (jak nazywali go przyjaciele) znanego ze swoich federalistycznych poglądów. To on w dużym stopniu kierował wtedy polską polityką zagraniczną.

Retinger to bardzo tajemnicza i kontrowersyjna postać. Przez Polaków uważany był za angielskiego agenta, przez Anglików za sowieckiego, a przez Amerykanów za szpiega Meksyku. Po wybuchu wojny nie odstępował gen. Sikorskiego. Towarzyszył mu we wszystkich podróżach zagranicznych, poza ostatnią, zakończoną tragicznie w Gibraltarze.

W 1944 r. skoczył na spadochronie do okupowanej Polski. Wysłał go tam premier Stanisław Mikołajczyk w porozumieniu z Brytyjczykami, ale bez wiedzy Naczelnego Wodza. Polski wywiad wydał na niego wyrok śmierci, który jednak nie został wykonany.

Po wojnie był założycielem nieformalnej grupy Bilderberg, skupiającej najbardziej wpływowych ludzi z całego świata. Za rzekome zasługi na rzecz pokoju został nawet nominowany do Nagrody Nobla!

Jak na monarchistyczne zapatrywania Polski zareagowała Europa?

Kandydatura księcia Kentu na króla Polski utrzymywana była w sekrecie i – jak pisał w swoim dzienniku sekretarz Sikorskiego Karol Estreicher – stanowiła „największą polityczną tajemnicę generała". Mimo to pewne nieoficjalne informacje i plotki dotarły do europejskich stolic i do mediów. Prasa niemiecka pomysł wyśmiała, dostrzegając w nim dowód na niekompetencję i kompromitację „polskich emigrantów", jak nazywano w Berlinie nasz rząd na uchodźstwie. Reakcja brytyjskich gazet była w zasadzie przychylna. Angielskie MSZ zleciło nawet przygotowanie specjalnego raportu na temat możliwości odtworzenia w Polsce po wojnie monarchii. Jego treść studziła nieco emocje zwolenników tego rozwiązania, choć takiej możliwości nie wykluczała.

Król z dynastii Windsorów miał panować nie tylko w Polsce?

Plan gen. Sikorskiego zakładał powołanie federacji czy też konfederacji krajów środkowoeuropejskich pod przewodnictwem Polski, która miała je ochronić przed przyszłą agresją ze strony Niemiec i Rosji. Pierwszym do niej etapem miało być powołanie unii polsko-czechosłowackiej. W początkowym okresie rozmowy polskiego premiera z przywódcą Czechów Edvardem Benešem układały się pomyślnie. Powołano wspólną komisję do opracowania

eprasa.pl a27c412366

Jerzy Windsor, młodszy brat brytyjskich królów Jerzego VI i Edwarda VIII, z gen. Władysławem Sikorskim, 18 listopada 1939 r.
FOT. KEYSTONE/GETTY IMAGES

konstytucji przyszłej unii. Jednak po agresji Niemiec na ZSRS i przystąpieniu tego kraju do antyhitlerowskiej koalicji Czesi stawali się coraz bardziej prosowieccy i rozmowy utknęły w martwym punkcie. Beneš postawił na współpracę ze Stalinem, który nie chciał słyszeć o jakiejkolwiek niezależnej od niego unii państw Europy Środkowej i Wschodniej.

Dlaczego Rudolfa Hessa, po jego ucieczce do Wielkiej Brytanii, przesłuchiwał Polak?

Zaraz po schwytaniu Hessa w Szkocji Brytyjczycy chcieli go przepytać. Według oficjalnej wersji skontaktowano się z miejscowym cywilem, który znał niemiecki. Ten jednak odmówił pomocy. Traf chciał, że pokój w jego domu wynajmował polski konsul w Glasgow Roman Battaglia, który zgłosił się na ochotnika jako tłumacz. W obecności Anglików przez dwie godziny rozmawiał on z Hessem po niemiecku, co było o tyle dziwne, że zastępca Hitlera świetnie operował językiem Szekspira. Wiele wskazuje na to, że obecność Polaka przy Hessie nie była przypadkowa, ale został on tam wysłany przez samego Sikorskiego, który miał z wyprzedzeniem wiedzieć o misji nazisty. Co ciekawe, ze swojej amerykańskiej podróży naczelny wódz powrócił 11 maja, a więc dzień po przylocie Hessa. Być może zamierzał negocjować z Niemcami podpisanie pokoju, zakładającego odtworzenie jakiejś formy niepodległej Polski.

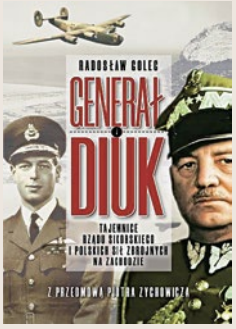

Na zastępcę Adolfa Hitlera przygotowywano zamach?

Grupa kilkunastu polskich żołnierzy stacjonujących w Szkocji postanowiła go porwać i zabić. Obawiali się, że gospodarze podejmą z nim rozmowy, co może doprowadzić do podpisania separatystycznego pokoju za plecami Polaków. Pomagał im jeden z brytyjskich oficerów. Angielskie służby dowiedziały się o spisku i wszystkich jego uczestników aresztowano po tym, kiedy dotarli do dworca miasteczka, w którym trzymano Hessa. Według archiwów MI5 miało też dojść do wymiany ognia pomiędzy Polakami a strażnikami ośrodka Mytchett, gdzie przebywał. Potem ze strachu przed ponowieniem ataku bardzo zaostrzono środki bezpieczeństwa i przeniesiono więźnia do innego obozu – z dala od Londynu. Do dziś nie wiadomo, kto brał udział w tej enigmatycznej operacji i czy została ona zlecona przez polskie władze, czy wynikała ze spontanicznej inicjatywy żołnierzy.

Separatystyczny pokój Albionu z III Rzeszą był realny?

Tego bardzo życzył sobie Adolf Hitler przed inwazją na ZSRS. W Wielkiej Brytanii także byli ludzie skłonni pójść na daleko idące ustępstwa. Skupili się oni w mitycznej „partii pokoju" – miała ona za cel obalenie Winstona Churchilla i powołanie gabinetu, który zawarłby z Niemcami porozumienie. Należeli do niej starzy piewcy polityki appeasementu oraz duża część arystokracji, przypuszczalnie wspierana przez pałac Buckingham. Co ciekawe, trzy dni przed przylotem Hessa na Wyspy w brytyjskim parlamencie doszło do gwałtownej próby obalenia Churchilla. Spiskowcom przewodniczył sam Lloyd George. Wotum nieufności jednak nie przeszło. Niestety nie wiemy, czy akcja skoordynowana była z misją Hessa, czy zbieżność czasowa była dziełem przypadku.

W jakim celu gen. Sikorski zainteresował się astrologią?

Zarówno gen. Sikorski, jak i gen. Kazimierz Sosnkowski chętnie korzystali z usług węgierskiego astrologa Louisa de Wohla, który pracował dla brytyjskiego wywiadu. Znając zamiłowanie nazistów do astrologii i spirytualizmu, tworzył on i publikował po niemiecku fałszywe horoskopy Hitlera, Himmlera i innych, które przewidywały rzekomo nieuchronną klęskę Niemiec w wojnie. Po tym, jak trafnie przewidział przyszłość Sosnkowskiego (jego rany odniesione podczas jednego z bombardowań Londynu), zdobył zaufanie generała. Anglicy postanowili wykorzystać chiromantę do ingerowania w wewnętrzne sprawy Polski. Podczas stawianych gen. Sosnkowskiemu horoskopów sugerował mu określone treści i wyciągał od niego informacje na temat jego konfliktu z Sikorskim.

I diuk, i Sikorski zginęli tragicznie...

... w katastrofach lotniczych. Książę Kentu 11 miesięcy przed tą w Gibraltarze. W niewyjaśnionych do tej pory okolicznościach jego samolot rozbił się o jedno ze wzgórz w północnej Szkocji zwane Orlą Skałą. Według oficjalnej wersji leciał do Islandii, choć pewne fakty (np. przypięta kajdankami do ręki i wypchana banknotami koron walizka) wskazują, że zmierzał do Szwecji w celu przeprowadzenia rozmów pokojowych z Niemcami.

W całej sprawie jest mnóstwo znaków zapytania. Wszelkie szczegóły przeprowadzonego potem śledztwa dziwnym trafem zaginęły i jedyne, czym dziś dysponujemy, to raport końcowy stwierdzający, że wypadek spowodowały błędy pilota, który z niewiadomych względów nagle zmienił kurs. Katastrofa na Orlej Skale jest równie zagadkowa jak ta, w której stracił życie gen. Sikorski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Radosław Golec – historyk, publicysta, absolwent Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie oraz Institute of Technology Tallagh w Dublinie. Autor książek: „Taniec z Hitlerem. Kontakty polsko-niemieckie 1930–1939", „IRA Hitlera. Pakt Trzecia Rzesza – Irlandzka Armia Republikańska", „Lordowie Hitlera. Sojusz brytyjskiej arystokracji z Trzecią Rzeszą" oraz najnowszej „Generał i diuk".

eprasa.pl a27c412366

Pokonał wirusa, da radę z Bidenem?

FOT. ALEX BRANDON/AP/EAST NEWS

eprasa.pl a27c412366

Jacek Przybylski

– Nie bójcie się koronawirusa – ogłosił Donald Trump po tym, jak na własną prośbę został wypisany ze szpitala. Jego zwolennicy są zaś przekonani, że skoro dał radę z COVID-19, to wygra też najbliższe wybory

Gdy prezydent USA z gorączką i pozytywnym testem na koronawirusa trafił do waszyngtońskiego szpitala wojskowego, media podkreślały, że tak poważnego zagrożenia dla życia swego przywódcy Ameryka nie obserwowała od 1981 r., gdy postrzelono Ronalda Reagana.

I rzeczywiście jako zwykły śmiertelnik Donald Trump mógłby się czuć mocno zagrożony. Należy bowiem do grupy największego ryzyka ciężkiego przebiegu choroby. Jego szanse na szybkie i lekkie pokonanie COVID-19 zmniejszałoby kilka czynników: od wieku przez otyłość do problemów z układem krążenia. Jako przywódca najpotężniejszego supermocarstwa świata miał lepszą opiekę medyczną niż zwykły śmiertelnik. Prezydentowi – dzięki specjalnej zgodzie federalnej agencji leków i żywności – podano m.in. eksperymentalny lek oparty na przeciwciałach z osocza ozdrowieńców Regeneron (otrzymuje go obecnie ok. 2 tys. chorych biorących udział w testach klinicznych). Poza tym Trump przyjmował również przeciwwirusowy remdesivir – lek skutecznie hamujący namnażanie się koronawirusa, który potrafi znacząco skrócić czas potrzebny do powrotu do zdrowia. Otrzymywał także sterydowy lek przeciwzapalny: deksametazon, a także dodatkowo cynk, witaminę D, melatoninę, famotydynę, aspirynę oraz eksperymentalny koktajl leków. „Prezydent mocarstwa jako królik doświadczalny otrzymał sześć preparatów, z których żaden nie posiada rejestracji i dostatecznych dowodów naukowych na skuteczność. Upadek nauki i standardów medycznych. Brakuje tylko egzorcysty" – komentował na Twitterze polski immunolog dr Paweł Grzesiowski.

W normalnym przypadku taki zestaw leków mógłby świadczyć o tym, że prezydent USA miał nie tylko pozytywny wynik testu, lecz także bardzo poważne objawy choroby. Tego typu leki według Światowej Organizacji Zdrowia są bowiem zalecane pacjentom z ciężkim, zagrażającym życiu zapaleniem płuc. Albo więc stan prezydenta jest poważniejszy, niż on sam o tym zapewnia, albo po prostu w przypadku szefa supermocarstwa zdecydowano o jak najwcześniejszym wdrożeniu wszystkich form leczenia. To bowiem najbardziej gorące tygodnie przed listopadowymi wyborami.

„Nie bójcie się COVID. Nie pozwólcie, by zdominował wasze życie" – oświadczył na Twitterze prezydent, podkreślając, że za jego rządów w USA opracowano wspaniałe leki. „Czuję się lepiej niż 20 lat temu!" – zapewnił Donald Trump zaledwie 72 godziny po tym, jak trafił do szpitala. Po powrocie do Białego Domu pokazał się publicznie i szybko zdjął tak nielubianą maskę.

CENZURA SPOŁECZNOŚCIOWA

Oczywiście, amerykański prezydent mógł też liczyć na szybki transport śmigłowcem do szpitala i z powrotem do Białego Domu oraz na parę innych specjalnych udogodnień, za które przeciętny Amerykanin w przypadku trzydniowej terapii musiałby zapłacić ponad 100 tys. dol. (ok. 395 tys. zł).

Donald Trump poczuł się na tyle dobrze, że napisał na Facebooku, iż COVID-19 jest mniej groźny niż sezonowa grypa, z powodu której w samych USA, mimo szczepionki, umiera ponad 100 tys. ludzi rocznie. „Czy z powodu nadchodzącego sezonu grypowego zamkniemy cały kraj? Nie, nauczyliśmy się z nią żyć, tak jak uczymy się żyć z COVID-19".

Po tym wpisie zareagowali redaktorzy wielu portali, informując, iż „dobrze wiemy, że jest dokładnie odwrotnie". Chociaż akurat tej wiedzy nie mamy, bo nie testując wystarczającej liczby członków populacji, nie mamy wystarczających danych i trudno nam przewidzieć, który z wirusów będzie w przyszłości bardziej zabójczy. Mimo to cenzorzy Facebooka uznali wpis Donalda Trumpa za „myślozbrodnię" i po prostu wymazali go z serwisu. Rzecznik Facebooka potwierdził, że dokonano usunięcia wpisu, bo cenzorzy portalu uznali, iż zawiera on dezinformację dotyczącą COVID-19. Pracownikom Twittera również nie spodobał się tweet prezydenta, ale zamiast walczyć z wolnością słowa, serwis opatrzył jedynie wpis Donalda Trumpa własnym komentarzem, mówiącym, że choć „tweet naruszył reguły Twittera odnośnie do rozpowszechniania wprowadzających w błąd i potencjalnie szkodliwych informacji związanych z COVID-19. Jednakże Twitter uznał, że w interesie publicznym może leżeć pozostawienie tweeta".

Wcześniej wpisy amerykańskiego prezydenta dotyczące koronawirusa usuwały ze swych serwisów zarówno Facebook, jak i Twitter. Trzeba jednak przyznać, że potencjalnie śmiertelna choroba prezydenta USA uświadomiła również cenzorom z Twittera, że życzenie komuś śmierci – a wpisów życzących Trumpowi przejścia na lepszy świat wśród sympatyków lewicy było wiele – może nie być „zgodne ze standardami". Gdy Twitter zaczął banować posty życzące śmierci nie tylko prezydentowi USA, lecz także komukolwiek, oburzeniem zareagowały lewicowe „polityczki". Nie chodziło rzecz jasna o protest przeciwko cenzurze, ale o to, że nagle nie wolno otwarcie życzyć śmierci Trumpowi, choć – jak zauważyły zapewne pełne wrażliwości kobiety Alexandria Ocasio-Cortez, Rashida Tlaib, Ilhan Omar oraz Ayanna Pressley – zasady tej nie było, kiedy to one czytały pogróżki na swój temat. Na szczęście dla lewicy Facebook nadal pozwala życzyć śmierci prezydentowi, pod warunkiem jednak, że w takim poście nie oznaczy się Donalda Trumpa.

CZAS NA ARMIĘ TRUMPA

Trump ze złorzeczeniem da sobie radę. Jego problem polega na tym, że nie może prowadzić normalnej kampanii i jest odcięty od dużej części doradców. Biały Dom stał się bowiem potężnym ogniskiem koronawirusa: o pozytywnych wynikach testów poinformowało ponad 20 bliskich pracowników prezydenckiej administracji. Są wśród nich m.in. szef kampanii wyborczej Bill Stepien, doradczyni prezydenta Hope Hicks, jego doradca Stephen Miller, osobisty asystent prezydenta Dan Scavito, a także były gubernator New Jersey Chris Christie. Z koronawirusem walczy także rzeczniczka prasowa Białego Domu Kayleigh McEnany. Wymienieni wyżej eksperci

eprasa.pl a27c412366

Białego Domu towarzyszyli mu w drodze do Cleveland, gdzie odbyła się pierwsza telewizyjna debata między Donaldem Trumpem a kandydatem Partii Demokratycznej Joe Bidenem. Tak duża liczba zakażonych w otoczeniu prezydenta – na kwarantannie są też lekko przechodząca COVID-19 pierwsza dama oraz niemal całe Kolegium Połączonych Sztabów USA, w tym oficer odpowiedzialny za noszenie walizeczki z kodami do arsenału atomowego – może utrudnić nie tylko rządy, lecz także prowadzenie ostatniego etapu kampanii.

Najwięksi fani urzędującego prezydenta, nazywani też po prostu Armią Trumpa, zamierzają czuwać nad prawidłowym przebiegiem wyborów i są pewni, że ich faworyt pokona kandydata Partii Demokratycznej Joe Bidena

Biden szybko zyskał na chorobie Trumpa. Prezydent nie mógł spotykać się z wyborcami czy szybko odpowiadać na ataki przeciwnika, który po kurtuazyjnych życzeniach zdrowia szybko przystąpił do ofensywy przeciw choremu rywalowi. Jak więc dalej będzie wyglądała walka prezydenta o reelekcję? Trump nie może odbywać bliskich spotkań z wyborcami, przez co w kluczowych dla losów wyborów stanach już wzrosło poparcie dla kandydata Partii Demokratycznej. Amerykańskiemu prezydentowi trudno będzie też lekceważyć temat COVID-19 i próbować spychać go na margines debaty, co znów sprzyja Bidenowi, bo w USA z powodu koronawirusa zmarło już ok. 210 tys. osób, a Partia Demokratyczna odpowiedzialnością za to chce obarczyć Biały Dom.

Gdy zamykaliśmy ten numer „Do Rzeczy", nie wiadomo było, czy dojdzie do kolejnych debat z Bidenem 15 października w Miami oraz 22 października w Nashville. Trump po powrocie ze szpitala zadeklarował, że weźmie w nich udział, ale Biden stwierdził, że nie zamierza brać w nich udziału dopóty, dopóki prezydent nie będzie miał testu potwierdzającego, że nie ma już wirusa. Pojawił się pomysł debaty wirtualnej, ale prezydent go odrzucił. Trump może też wygłosić telewizyjne orędzie do narodu.

Prezydent poparł już także elementy pakietu fiskalnego, który ma pomóc w ratowaniu linii lotniczych, ochronić wypłaty dla małych firm oraz zagwarantować czeki po 1,2 tys. dol. dla Amerykanów w trudnej sytuacji.

Szefowie kampanii będą również zapewne w większym stopniu bazować na zwolennikach prezydenta. Przed szpitalem w Waszyngtonie walce Trumpa z koronawirusem kibicowała duża, kilkusetosobowa gromada jego zwolenników. Do przedwyborczej walki włączyła się większa grupa – zwana „Armią dla Trumpa" – składająca się z dziesiątek tysięcy aktywistów, którzy nie tylko chodzą od domu do domu, przekonując do głosowania na prezydenta, lecz także mają pilnować przestrzegania uczciwości w lokalach wyborczych. Wszyscy fani Trumpa wierzą bowiem, że prezydent USA mimo wszystkich przeciwności wygra walkę o reelekcję.

ZARAŻENI PRZYWÓDCY

Donald Trump to kolejny światowy przywódca, który zachorował z powodu koronawirusa. Na przełomie marca i kwietnia z COVID-19 walczył szef brytyjskiego rządu. 56-letniego Borisa Johnsona – którego z Donaldem Trumpem łączyło nie tylko ogromne ego, umiłowanie do oryginalnej fryzury czy tradycyjny sojusz brytyjsko-amerykański, lecz także lekceważenie światowej pandemii – z amerykańskim prezydentem połączyła również armia prywatnych przeciwciał.

Początkowo premier Wielkiej Brytanii, wcześniej z zapałem odnoszący się do szwedzkiego, swobodnego podejścia do nowej pandemii, był przekonany, że wirus i z nim obejdzie się łagodnie.

Żartował nawet na temat ściskania dłoni z pacjentami w szpitalu. Szybko okazało się jednak, że było to doświadczenie na granicy życia i śmierci. Szef brytyjskiego rządu spędził w szpitalu aż siedem nocy, w tym trzy na oddziale intensywnej terapii, a następnie w domu zdrowiał jeszcze przez mniej więcej dwa tygodnie. Do pracy wrócił dopiero 27 kwietnia, co oznacza, że Wielka Brytania praktycznie przez miesiąc musiała radzić sobie bez przywódcy w okresie wielkie kryzysu zdrowotnego. Przebieg zachorowania skłonił Borisa Johnsona do zmiany prowadzonej wcześniej polityki i zjednoczenia Brytyjczyków wokół walki z COVID-19. Po chorobie brytyjski premier cieszył się nawet wyraźnie wyższym poparciem niż przed zachorowaniem. Ta sympatia wyborców okazała się jednak bardzo krótkotrwała i poparcie dla rządu Johnsona od maja systematycznie spada.

W gronie przywódców, którzy ujawnili pozytywny wynik testu na koronawirusa, był również premier Rosji 50-letni Michaił Miszustin. W tym przypadku choroba nie wywołała żadnych poważnych konsekwencji politycznych – w kwietniu obowiązki silnie gorączkującego Miszustina przejął pierwszy wicepremier Rosji Andriej Biełousow, a krajem tak czy owak władał Władimir Putin. Kiedy on zachoruje? To pytanie nurtuje wielu analityków.

Na COVID-19 zachorował już populistyczny prezydent Brazylii 65-letni Jair Bolsonaro. Podobnie jak przywódca USA Bolsonaro również w przeszłości lekceważąco podchodził do nowej światowej pandemii, a także do takich środków zapobiegawczych jak noszenie maseczek czy zachowywanie dystansu społecznego. I to mimo że Brazylia była w gronie trzech krajów najpoważniej dotkniętych przez pandemię COVID-19, z liczbą ofiar śmiertelnych szacowaną na ok. 150 tys. Bolsonaro już w drugim tygodniu po wykryciu u niego koronawirusa ogłosił, że nie ma się czego bać, bo budząca kontrowersje hydroksychlorochina skutecznie pomaga zwalczać chorobę, i utrzymywał, że rządzony przez niego kraj – w którym podczas pandemii na czele resortu zdrowia muszą stać wojskowi, bo żaden cywil się do tego nie garnie – jest wzorem dla świata w zwalczaniu pandemii. – Wiedziałem, że pewnego dnia go złapię, i myślę, że niestety niemal wszyscy w końcu zostaną zarażeni. Czego się boicie? Stawcie temu czoła – mówił reporterom, podkreślając, że choć jest mu przykro z powodu przypadków śmiertelnych, to „ludzie umierają każdego dnia z wielu różnych przyczyn". – Takie jest życie – podkreślał w rozmowach z dziennikarzami populistyczny prezydent, który podczas pandemii jeszcze zwiększył swoje ratingi popularności, głównie dzięki pakietom pomocowym dla robotników.

Czy choroba pomoże także Trumpowi? Przekonamy się już na początku listopada.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ JESTEŚMY BEZPIECZNE

Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie
www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

eprasa.pl a27c412366

Olivier Bault

Radykałowie przenikają do szkół

Były inspektor generalny francuskiej oświaty w głośnej książce ujawnił problem islamizacji w szkołach. To jedno z ostatnich ostrzeżeń dla Francji

We wrześniu opublikowana została głośna książka byłego inspektora generalnego francuskiej oświaty, zatytułowana „W jaki sposób pozwolono islamizmowi przeniknąć do szkoły" (fr. Comment on a laissé l'islamisme pénétrer l'école). Książka jest o tyle nietypowa, że jej autor jest człowiekiem o poglądach otwarcie lewicowych, darzący dużą antypatią partię Marine Le Pen i wszelkie prawicowe „populizmy", które posądza o ksenofobię i stawia prawie na równi z islamistami. Cóż, w zderzeniu z rzeczywistością nawet politycznie poprawna lewica i centroprawica stopniowo uznają naturę zagrożenia. Prezydent Emmanuel Macron mówi o „separatyzmie" islamskim, a po ataku Pakistańczyka tasakiem przed dawną redakcją „Charlie Hebdo" 25 września francuski minister spraw wewnętrznych mówił o zamachu „islamskim", a już nie tylko „islamistycznym".

RAPORT OBINA

Jean-Pierre Obin jako inspektor generalny francuskiej oświaty ma od dawna pełną świadomość natury problemu. Inspektorzy generalni podlegają bezpośrednio ministrowi edukacji narodowej, natomiast pracują nierzadko w terenie, kontrolując szkoły na terenie całego kraju. Nazwisko Obina stało się we Francji znane w 2004 r., gdy wyciekł do mediów raport, który sam zainicjował i którego sporządzenie nadzorował, stojąc na czele specjalnego zespołu inspektorów oświaty. Tak zwany raport Obina ostrzegał ministra przed coraz częstszymi przypadkami łamania zasady laickości, antysemityzmu, odrzucenia niektórych zasad dyscypliny szkolnej przez uczniów z rodzin muzułmańskich oraz przemocy na tle religijnym. Ówczesny minister François Fillon (ten sam, który był kandydatem centroprawicy w wyborach prezydenckich z 2017 r.) próbował zapobiec podaniu raportu do publicznej wiadomości, co mu się nie udało.

FOT. BEBERT BRUNO/SIPA/EAST NEWS

eprasa.pl a27c412366

Według Obina, od tamtego czasu kolejne rządy nic z tym problemem nie robiły, aż do momentu krwawych zamachów ze stycznia i z listopada 2015 r. Dopiero wówczas zgłoszono do kuratorów oświaty liczne przypadki wrogich reakcji muzułmańskich uczniów, gdy chciano uczcić w klasach minutą ciszy ofiary zamachów czy przeprowadzić rozmowę na temat tego, co się stało. Był to szok dla francuskich władz, choć gdyby pochyliły się wcześniej nad raportem Obina, nie powinny być aż tak bardzo zaskoczone. Francuskie media starały się wówczas umniejszać skalę problemu, mówiąc o odosobnionych przypadkach takich zachowań. Natomiast Obin przytacza w swojej nowej książce ankietę przeprowadzoną przez ministerstwo. Wynika z niej, że 13 proc. z blisko 750 tys. nauczycieli szkolnictwa publicznego spotkało się z tego typu reakcjami w swoich klasach.

Z okazji toczącego się procesu domniemanych wspólników ataku na redakcję „Charlie Hebdo" instytut badań IFOP opublikował 1 września tego roku ankietę na temat postaw Francuzów wobec zamachu terrorystycznego sprzed prawie sześciu lat. Jeśli chodzi o francuskich muzułmanów, to o ile „tylko" 5 proc. z nich nie chce potępiać wykonawców tych zamachów, o tyle aż 13 proc. wykazuje postawę obojętną. Dodatkowo 10 proc. potępia ten akt terroru, ale wyraża zrozumienie dla niektórych motywacji zamachowców. Natomiast wśród muzułmanów w przedziale wiekowym 15–24 lata proporcje te wynoszą odpowiednio: 10 proc., 16 proc. i 12 proc. Wśród młodych francuskich muzułmanów aż 38 proc. nie chce potępiać jednoznacznie ataków terrorystycznych dokonanych w imię Allaha! Wyniki te są – niestety – spójne z badaniem proimigracyjnego Instytutu Montaigne z 2016 r., według którego 28 proc. francuskich muzułmanów stawia prawo szariatu wyżej od prawa francuskiego, uznaje poligamię i noszenie burek (takie poglądy miała prawie połowa muzułmanów w wieku od 18 do 24 lat). Nic dziwnego zatem, że radykalny islam przenika do francuskich szkół publicznych, a jeśli władzom Francji nie uda się z tym fenomenem skutecznie walczyć i obronić laickiego charakteru oświaty, to sytuacja będzie się pogarszała w miarę radykalizacji nowych pokoleń muzułmanów.

A co będzie, gdy tych muzułmańskich uczniów będzie jeszcze więcej? W 2019 r. proporcja nowo narodzonych dzieci, którym nadano muzułmańskie imiona, wynosiła już powyżej 20 proc. dla całej Francji. Dwadzieścia lat wcześniej był to wskaźnik poniżej 10 proc. W departamencie Seine-Saint-Denis pod Paryżem odsetek ten wynosił w 2019 r. już 54 proc. (a w 1999 r. było to 25 proc.). W tym kontekście trudno się dziwić, że – jak podaje autor książki o przeniknięciu islamizmu do szkoły – 37 proc. francuskich nauczycieli przyznaje się do stosowania autocenzury, aby unikać sytuacji konfliktowych z muzułmańskimi uczniami, a 38 proc. francuskich nauczycieli deklaruje, że w ich szkole niektóre założenia programowe są regularnie oprotestowywane przez uczniów i ich rodziny. Dotyczy to zwłaszcza historii i geografii, wychowania fizycznego, nauki o religiach (przedstawionych ze świeckiego punktu widzenia) oraz biologii. W miejscowościach i dzielnicach zakwalifikowanych do tzw. priorytetowych stref kształcenia (fr. zones d'éducation prioritaire, ZEP) autocenzura kadry nauczycielskiej jest jeszcze częstsza.

Do tego dochodzi problem pogłębiającej się segregacji wynikającej z ucieczki rodzin niemuzułmańskich z trudnych dzielnic, a także wypisywania ze szkół zdominowanych przez muzułmanów również dzieci z rodzin muzułmańskich, stawiających na integrację ze społeczeństwem francuskim.

UCIECZKA ŻYDÓW

Osobną uwagę autor książki poświęca ucieczce Żydów z publicznych szkół. „Panie Inspektorze Generalny, muszę Pana poinformować, że moi ostatni dwaj uczniowie żydowscy odeszli w tym tygodniu" – tak mówił do Jeana-Pierre'a Obina w 1996 r. dyrektor pewnego gimnazjum w Lyonie. Żydowscy uczniowie tej szkoły byli ciągłym obiektem agresji werbalnej i fizycznej ze strony rówieśników muzułmańskich. Wszyscy, w miarę upływu lat – a było to ćwierć wieku temu – zostali przeniesieni do gimnazjów w centrum miasta lub do prywatnego szkolnictwa katolickiego. Równocześnie ich rodziny stopniowo wyprowadzały się z dzielnicy mieszkalnej, w której znajdowało się owo gimnazjum. Była to dzielnica, w której po uzyskaniu niepodległości przez Algierię osiedliło się wiele żydowskich rodzin stamtąd pochodzących.

Według Obina dwie trzecie z ok. 100 tys. żydowskich uczniów w ciągu pierwszych 15 lat XXI w. przeszło ze szkolnictwa publicznego do szkolnictwa prywatnego. Pozostali uczniowie zostali przegrupowani do publicznych gimnazjów i liceów uważanych za bezpieczne.

CORAZ WIĘCEJ USTĘPSTW

Problemem dyrektorów szkół i nauczycieli są liczne przypadki łamania zasad laickości. Dotyczy to zwłaszcza stroju uczniów, który nie powinien mieć charakteru religijnego (nie wspominając o problemie przemocy wobec dziewcząt, których ubiór jest uznawany przez niektórych muzułmańskich nastolatków za „nieprzyzwoity"), a także kwestii żywienia w stołówkach. W wielu szkołach dochodzi na tym tle do coraz większych ustępstw na rzecz muzułmanów, m.in. dlatego że główne zmartwienie francuskich kuratorów często polega na tym, aby w podlegającej im szkole nie dochodziło do konfliktów i aby nie były one nagłaśniane w mediach. Przyczyny maskowania problemu Obin widzi jednak nie tylko w tchórzliwej postawie hierarchii i decydentów politycznych, lecz także w klientelizmie lokalnych elit politycznych i w ideologicznej postawie wielu pracowników oświaty, wśród których mocno dominują poglądy lewicowe przychylne imigracji, idei multi-kulti, a nawet islamowi, postrzeganemu jako religia uciśnionych.

„Napisałem tę książka dlatego, że czas nagli i trzeba teraz pilnie działać" – stwierdził Jean-Pierre Obin. Publikacja ta stała się okazją do głośnej i otwartej dyskusji o obecności radykalnego islamu we francuskich szkołach. Autor wciąż wierzy w moc sprawczą publicznej szkoły oraz w moc integracyjną francuskich „wartości republikańskich". Na razie jednak jego książka potwierdza, że we środowisku szkolnym eksperyment multi-kulti się nie udał i może się okazać definitywną porażką, a samo mówienie o rosnących wpływach islamizmu we francuskich szkołach tego problemu nie rozwiąże. Autor proponuje różne rozwiązania, niektóre wydają się być bardzo sensowne. Jednak podobnie jak rządzący Francją kompletnie przemilcza pierwotne źródło tego problemu, czyli nieprzerwany napływ ludności muzułmańskiej za sprawą nielegalnej imigracji, a także tej legalnej, zwłaszcza w ramach prawa do przegrupowania rodzin.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

Od lewej: Stepan Putiło (Nexta) i Jurij Dudź FOT. YOUTUBE/вДудь

Lachy was wyplują

Gabriel Michalik

Największą bolączką opływających w złoto moskiewskich uczniów doktora Goebbelsa nie są działania ich wyimaginowanych wrogów, lecz to, że Putin się dowie, iż propagandę można uprawiać znacznie taniej

Pepiki tchórze, Szwaby tępe, Żydy chytre, a Ruskie głupie. Analogiczny poziom refleksji nad europejską różnorodnością kulturową, znany piszącemu te słowa z wieczorów spędzanych jeszcze w XX w. pod sklepem spożywczym z wyszynkiem we wsi Karnkowo (gmina Lipno, woj. kujawsko-pomorskie), jest specjalnością rosyjskich kanałów telewizyjnych i – z grubsza rzecz biorąc – stałym sztafażem tamtejszej imitacji debaty publicznej, której celem od lat co najmniej 10 pozostaje ukształtowanie w audytorium poczucia wyższości i pobudzenie refleksu obronnego na zło całego świata; ono to bowiem czai się u granic Rosji i tylko czeka na chwilę nieuwagi ofiary, czyli na przykład na to, że Rosjanie, zamiast wstawać wciąż z kolan, zajmą się odsuwaniem od władzy kleptokratycznego reżimu.

Zestaw ten brzmi: Litwini faszyści, Niemcy pederaści, Anglicy podstępni, Polacy zdrajcy i pyszałki itp., itd., by ograniczyć się – dla równowagi – do scharakteryzowania czterech nacji.

Warto zaznaczyć, że jeszcze mniej więcej rok temu (to jest do czasu, gdy Putin przypomniał sobie, iż to Polska rozpętała drugą wojnę światową), kraj nasz, wraz z jego narodem, pełnił w budowaniu w Rosji atmosfery oblężonej twierdzy rolę trzecioplanową. Zdawano sobie sprawę z moralnego upadku Polaków (szczekanie pod dyktando USA, poparcie udzielane „żydobanderowcom" na Ukrainie i wysługiwanie się „gejofaszystom"), ale przechodzono nad tym do porządku dziennego, nie zaprzątając

eprasa.pl a27c412366

sobie głowy naszym pożałowania godnym istnieniem.

Prawdziwy renesans specyficznie pojętych stosunków rosyjsko-polskich zaczął się latem bieżącego roku w związku z powszechnie znanymi polskimi planami przyłączenia przynajmniej części Białorusi do Rzeczypospolitej (resztę ma anektować Litwa, o ile jej nie wypowiemy wojny), czego gwoli gromadzi się, jak wiadomo, ogromne siły NATO tuż przy polsko-białoruskiej granicy i steruje z Warszawy niepokojami w Mińsku.

WARSZAWSKI WŁADCA MARIONETEK

W tym stanie spraw, zgodnie z przysłowiem „swój ciągnie do swego", na początku września do stolicy Polski zjechał Jurij Dudź (33 lata), niezależny dziennikarz, twórca najpopularniejszego w rosyjskojęzycznej przestrzeni wideobloga publicystycznego (ponad 8 mln subskrypcji i łącznie ponad miliard wyświetleń poszczególnych filmów), wróg wewnętrzny rosyjskiego narodu, autor demaskatorskich wywiadów z przedstawicielami moskiewskich elit kulturalnych i politycznych, znienawidzony przez propagandystów choćby dlatego, że internetową widownię ma większą niż czołowe programy w wiernych Kremlowi (czyli jedynych) stacjach telewizyjnych. Zaznaczmy, że wywiady Dudzia demaskatorskie są w efekcie, choć nie zawsze w założeniu; elitę bowiem wystarczy uprzejmym tonem zapytać o rzecz najbanalniejszą, choćby o źródła bogactwa lub o stosunek do prezydenta Putina, aby po rozmowie z Dudziem niewiele zostawało z takiego na przykład Władimira Żyrinowskiego czy Nikity Michałkowa.

Elita nabrała rozumu i po przykrościach doznanych od Dudzia unika go jak ognia, z czego jednak pożytek dla interesów elity nie jest tak wielki, jak można by było oczekiwać. Dudź bowiem to, czego mu nie chcą dać przedstawiciele establishmentu, czerpie z rozmów z gwiazdami rapu i rocka, przyprawia to reportażami o mrocznej historii własnego kraju (jego film dokumentalny „Kołyma – ojczyzna naszego strachu" na kanale YouTube obejrzały 22 mln widzów!) i uzupełnia rozmowami z co żywszymi niedobitkami rosyjskiej opozycji politycznej.

Dudź to prawdziwy fenomen zasługujący na obszerną analizę, tu jednak przedstawiamy go tylko pokrótce, aby czym prędzej powrócić do zagadnienia polskiej obecności w zestawie upiorów, którymi rosyjska propaganda straszy swoich adresatów. Przybył otóż Dudź do Warszawy, by nakręcić reportaż o zespole białoruskiego wideobloga Nexta, który w mieście tym ma siedzibę o powierzchni 17 mkw., kątem w lokalu organizacji Białoruski Dom (ta wiedza nam się jeszcze przyda).

Nexta to najważniejsze medium wolnej Białorusi, udostępniające poprzez kanały w serwisach internetowych, przede wszystkim w serwisie Telegram, własne materiały dziennikarskie, wideo nadsyłane przez subskrybentów, nagrania z manifestacji, odezwy działaczy opozycji i – wreszcie – swoistą tablicę ogłoszeń: informacje, gdzie kogo aresztowano, którzy OMON-owcy szczególnie angażują się w bicie obywateli i o której godzinie organizowane są demonstracje. Serwis stworzył pięć lat temu studiujący obecnie w Polsce 22-letni Stepan Putiło. Nazwa pochodzi od pseudonimu chłopaka (Hexro to po białorusku „ktoś").

Przez lata serwis działał bez nawet tak skromnej jak obecna siedziby, za całe lokum mając tę kieszeń spodni Stepana, w której chłopak nosi smartfon. Putiło przyznał w rozmowie z Dudziem, że zarówno Nextę, jak i całą obywatelską Białoruś wypromowały latem bieżącego roku siły policyjne reżimu Aleksandra Łukaszenki, gdy krwawo rozprawiły się ze stosunkowo nielicznymi początkowo manifestacjami przeciwko sfałszowaniu wyborów. – O ile Białorusini od dziesięcioleci ze spokojem znosili oszustwa wyborcze Łukaszenki, o tyle widok katowanych coś w nich poruszył. Na ulicę wyszły już nie setki czy tysiące manifestantów, ale setki tysięcy.

W tym samym czasie liczba subskrybentów Nexty przekroczyła 2 mln, a na konto serwisu popłynęły wpłaty drobnych donatorów – łącznie w pierwszych tygodniach protestów ponad 46 tys. dol. Dla propagandy Łukaszenki Nexta to „warszawski władca marionetek", a Putiło i jego obecnie czteroosobowy zespół – wróg numer jeden. Latem, w zagrożeniu aresztowaniem, z Mińska ewakuowały się nawet rodziny współpracowników serwisu. Dudź wymaglował Putiłę i resztę młodzieży z Nexty z właściwą sobie bezwzględną drobiazgowością, po czym wyszedł przed siedzibę warszawskiego

REKLAMA

eprasa.pl a27c412366

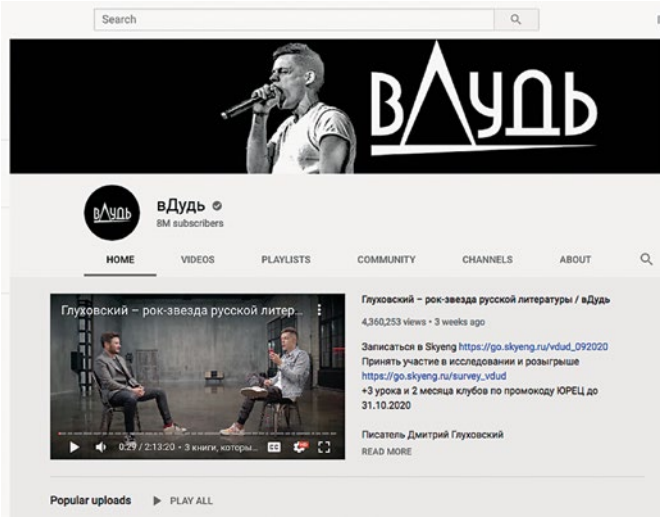

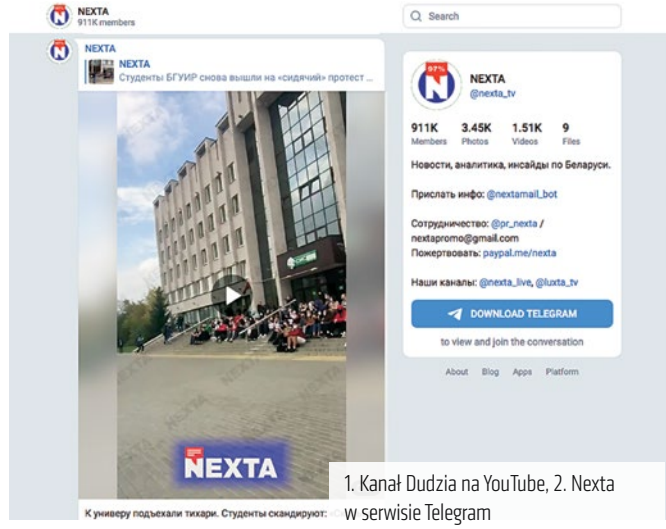

1. Kanał Dudzia na YouTube, 2. Nexta w serwisie Telegram

Białoruskiego Domu i zobaczył (a w ślad za nim widzowie kanału), co następuje: dwaj mężczyźni w średnim wieku, w mundurach, jak sami wyjaśnili, huzarów śmierci, protestowali przeciwko mieszaniu się Polski w „wewnętrzne sprawy Białorusi" oraz wrzaskami wyrażali poparcie dla prezydentów Łukaszenki i Putina. Białoruski Dom określili jako „burdel, do którego trafiają pieniądze z nowojorskiej giełdy".

ZAWODOWI POLACY

Indagowani przez Dudzia na okoliczność sfałszowanych wyborów na Białorusi poinformowali, że Swiatłana Cichanouska (w ich ujęciu: „Cichodajska") jest Żydówką, a oni, jako Polacy, Żydów nie znoszą. Wydawali się żywcem wyjęci z jednego z moskiewskich talk-show, do których wynajmuje się tzw. zawodowych cudzoziemców do zilustrowania tez kremlowskiej propagandy. W wariancie rosyjskim cudzoziemca, gdy ten już wykrzyczy, co mu scenarzysta napisał, bije się na wizji i wyrzuca z hukiem ze studia. W krajowym, ulicznym wydaniu Polacy sami byli skorzy do bójki z (jak go określili) prowokatorem Dudziem, ten jednak rzuconej rękawicy nie podjął.

Spytał za to Putiłę, czy takie manifestacje mają w Polsce masowy charakter, i dowiedział się, że „huzarów śmierci" wraz z personelem towarzyszącym nie zebrało się dotąd pod Białoruskim Domem więcej niż 10. Udzielenie odpowiedzi na pytanie, czy spektakl w dniu przyjazdu Dudzia zorganizowano specjalnie z myślą o rosyjskim dziennikarzu, czy też „huzarzy śmierci" przyszli tam według swego stałego rozkładu obowiązków, wykracza poza kompetencje piszącego te słowa.

Przez pierwszy tydzień od publikacji reportaż Dudzia z Warszawy obejrzało 7 mln internautów, w tej liczbie dwóch widzów szczególnych: Dmitrij Kisielow i Władimir Sołowjow, co do których od lat toczą się spory, który z nich jest rosyjskim ministrem prawdy, a który – zastępcą. Nie ulega kwestii, że obaj panowie są niesłychanie zasłużeni w budowaniu w Rosjanach poczucia oblężonej twierdzy, dyskredytowaniu każdego, kto choć jednym słowem poda w wątpliwość wielkość Lidera Nacji. Obaj też dorobili się na tej działalności wielkich majątków.

I zaczęło się. Większość rosyjskich publikatorów zamieściła artykuły o szajce Nexty i o Dudziu, żmijowym pomiocie. Reportaż Dudzia z Warszawy stał się jedną z najgoręcej omawianych sensacji. W głównym wydaniu swojego programu Kisielow pokazał Nextę jako współwinnego rzekomych krwawych rozpraw nad rodzinami OMON-owców na Białorusi, natomiast Sołowjow dokonał szczegółowego rozbioru działalności serwisu. Doprosił sobie do programu innego medialnego magnata, Arama Gabrielianowa (ten z kolei działa na odcinku prasy sensacyjnej i produkcji skandali obyczajowych na zamówienie władz).

NIE WARTO BYĆ WROGIEM ROSJI

Panowie zgodzili się, że nie ulega kwestii, iż za Nextą stoją Polacy. Policzyli, że czwórka młodych ludzi nie dałaby rady zarządzać kanałem. Że 17 mkw. to dla takiego przedsięwzięcia metraż śmieszny. Białorusini to tylko przykrywka. Faktycznie Nextę tworzy co najmniej kilkudziesięcioosobowy oddział polskich oficerów służb specjalnych. Jasne jest też, że nie sposób utrzymać serwisu z ofiarności subskrybentów, jak łże Putiło. Samo uruchomienie Nexty to wydatek rzędu kilkuset tysięcy dolarów, podobnie jak każdy miesiąc funkcjonowania serwisu. Mowa, dodano, o dolarach od polskiego rządu. I tu w końcu przydali się zlekceważeni przez Nextę i Dudzia warszawscy „huzarzy śmierci". Sołowjow zwrócił się oto wprost do Nexty: – Popatrzcie na odwieczną historię waszego narodu. Dzisiaj Polacy nienawidzą Żydów, jutro znienawidzą Białorusinów. Lachowie wykorzystają was i wyplują, kiedy już nie będziecie potrzebni. Czyż nie rozumiecie, że w ich narodowym interesie nie ma miejsca na Białoruś w jej obecnych granicach?! Dzisiaj jesteście bronią w rękach Polski przeciw waszemu narodowi, lecz potem poślą was przeciwko Rosji! I wtedy to staniecie się już naszymi wrogami. A nie warto być wrogiem Rosji. Nie po tej stronie historii się znaleźliście!

W tle tych wywodów, z niejasnych na początku przyczyn, Sołowjow pokazał zdjęcia z aresztowania w Rybińsku pedofila mordercy. Po chwili było już wiadomo, o co chodzi. Zwrócił się bowiem w końcu nie do Białorusinów, ale do rosyjskich „liberałów" z Dudziem na czele: – Powiedzcie, kiedy straciliście zdolność współczucia ofiarom?!

Kurtyna.

Czy tylko ja mam wrażenie, że prawdziwym adresatem filipik propagandysty nie byli żadni „liberałowie" ani Białorusini, ale Władimir Putin, który obsypuje Sołowjowa złotem, utrzymując legiony jego pomagierów, a który – niech Bóg broni – mógłby zrozumieć, że do całej tej patriotycznej roboty innym wystarczy pomoc kilku entuzjastów i telefon komórkowy…

***

Z ostatniej chwili. Na wypadek, gdyby mało było personelowi Ministerstwa Prawdy dotychczasowych upokorzeń, październik zaczął się półtoragodzinnym wywiadem Dudzia z Aleksiejem Nawalnym, ledwie co odratowanym w berlińskiej klinice Charité. Tylko przez pierwsze dwa dni film wyświetliło ponad 11 mln użytkowników YouTube.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

FOT. ADOBESTOCK

ZARZĄD OBOWIĄZKOWO TĘCZOWY

Jak informują media LGBT w USA, stan Kalifornia jest coraz bliższy wypracowania regulacji, które wymuszą odpowiedni parytet w zarządach firm dla osób innej rasy i odmiennej orientacji seksualnej. W ten sposób rozszerzone miałoby zostać świeże prawo, które gwarantuje posady w zarządach firm określonej liczbie kobiet. Jeśli nowelizacja przejdzie, to kwalifikacje do zasiadania w zarządach zdobędą natychmiast: czarnoskórzy, Latynosi, Azjaci, rdzenni Amerykanie lub geje, lesbijki, biseksualiści i transpłciowcy.

INTERESOWNY HOMOSEKSUALIZM

W Holandii afera. Dziennikarze dotarli do dokumentów urzędu imigracyjnego dotyczących 200 wniosków imigrantów z Ugandy, którzy starali się o polityczny azyl ze względu na swój homoseksualizm (w ojczyźnie grozi im za to m.in. dożywotnie więzienie). Okazało się, że wiele z tych kobiet i mężczyzn kłamało na temat swej orientacji, by wyłudzić dokumenty pobytowe. Holenderskie przepisy nie nakazują żadnej weryfikacji takich oświadczeń.

17 DZIECI GINEKOLOGA

Szpital w holenderskim Zwolle, który brał udział w programie sztucznego zapłodnienia, przyznał po latach, że jeden z ginekologów wykorzystywał własne nasienie. Nieżyjący już Jan Wildschut pracował w tamtej placówce przez 12 lat. Przez ten czas zapłodnił swoimi komórkami co najmniej 17 kobiet – bo tyle ma potomstwa. Władze stworzyły nawet jego profil DNA, by dzieci innych pacjentek mogły sprawdzić, czy przypadkiem i ich tatusiem biologicznym nie był lekarz.

LEGALNA ABORCJA DLA NIELETNICH

Hiszpański rząd uruchomił prace nad zmianą przepisów, które umożliwią dokonywanie aborcji nieletnim pacjentom. O rozpoczęciu procedury poinformowała w tamtejszym parlamencie minister ds. równouprawnienia Irene Montero. Po nowelizacji prawa nastolatka, która nie ukończyła 18. roku życia, będzie mogła podjąć decyzję o przerwaniu ciąży bez wymaganej obecnie zgody rodziców.

POLACY Z MUSZLAMI

W chorwackich mediach głośno o „wyczynie" polskich turystów. Rodzina, która dokumentuje swoje wakacje na kanale YouTube, nagrała nurkowanie w Adriatyku, podczas którego wyławiała zagrożony gatunek olbrzymiego małża. Być może nawet ostatnich jego przedstawicieli. Chorwaci szukają tych niefrasobliwych turystów. Za wyłowienie jednej takiej muszli grozi kara w przeliczeniu sięgająca 18 tys. zł. A na filmie widać, że Polacy wyłowili co najmniej cztery takie okazy. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Bezpieczny Nobel

Światowy Program Żywnościowy (WFP), największa organizacja humanitarna świata powołana do zwalczania globalnego głodu, został tegorocznym laureatem 101. Pokojowej Nagrody Nobla.

To był bezpieczny wybór, bo wśród 318 nominowanych kandydatów byli ponoć – oficjalne dane ujawniane są dopiero po upływie 50 lat – zarówno rosyjski opozycjonista Aleksiej Nawalny i jego Fundacja Walki z Korupcją, jak i Władimir Putin, autokratyczny prezydent Rosji, były oficer KGB, którego służby podejrzewane są o próbę otrucia Nawalnego. Na krótkiej liście faworytów byli też: prezydent USA Donald Trump, szwedzka aktywistka Greta Thunberg, a także Światowa Organizacja Zdrowia, której podejście do pandemii COVID-19 budzi ogromne kontrowersje w wielu krajach świata.

W ostatnich latach wiele emocji wzbudzały też decyzje noblowskiego komitetu – choćby przyznanie pokojowego Nobla Barackowi Obamie, który potem wyjątkowo chętnie wykorzystywał drony do przeprowadzania pozasądowych egzekucji z powietrza. W tym roku Norweski Komitet Noblowski zdecydował się na bezpieczny wariant.

W świecie ogarniętym wojnami i głodem idee stojące za powołaniem WFP zasługują na wyróżnienie. Dobrze, że pieniądze – w tym roku wartość Pokojowej Nagrody Nobla podniesiono do 10 mln szwedzkich koron – trafią do organizacji walczącej z głodem, a nie np. do pseudoaktywistów ostrzegających przed nieistniejącymi „strefami wolnymi od LGBT" czy latających całą ekipą samolotami po kolejne nagrody za ochronę klimatu. Bezpieczna ma być też sama ceremonia wręczenia Pokojowej Nagrody Nobla, która w auli zgromadzi jedynie sto osób zamiast tysiąca. ©℗

eprasa.pl a27c412366

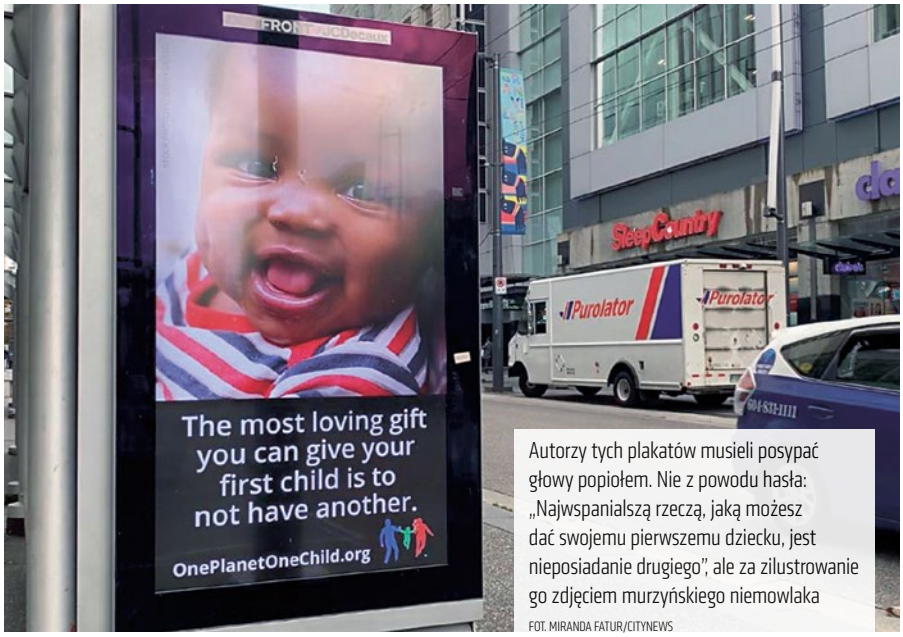

Autorzy tych plakatów musieli posypać głowy popiołem. Nie z powodu hasła: „Najwspanialszą rzeczą, jaką możesz dać swojemu pierwszemu dziecku, jest nieposiadanie drugiego", ale za zilustrowanie go zdjęciem murzyńskiego niemowlaka

FOT. MIRANDA FATUR/CITYNEWS

Dzieci jak śmieci

Piotr Włoczyk

Pięćdziesiąt lat temu miały być zagrożeniem dla bezpieczeństwa żywnościowego ludzkości, dziś są uważane za zabójców klimatu. Na naszych oczach rozkręca się kolejna kampania wymierzona w dzieci. Rzeczywistość brutalnie weryfikuje jednak ideologiczne założenia skrajnej lewicy

Najwspanialszą rzeczą, jaką możesz dać swojemu pierwszemu dziecku, jest nieposiadanie drugiego", „Wybieramy wolność od dzieci", „Rodziny liczne to pewne korki uliczne" – billboardy z takimi hasłami zawisły właśnie w największych miastach USA i Kanady. Szczególnie dużo kontrowersji wzbudził plakat z Vancouver z tym pierwszym hasłem, któremu towarzyszyło zdjęcie czarnego niemowlaka. Aktywiści z amerykańskiej organizacji World Population Balance (WPB), stojący za kampanią „One Planet, One Child", chcieli zapewne być w ten sposób maksymalnie „inkluzywni". Okazało się jednak, że pokazanie twarzy czarnego dziecka w kontekście ograniczenia liczby urodzeń zostało odebrane jako czysty rasizm nawet przez innych lewicowych aktywistów, którzy poza tym jak najbardziej podzielają postulaty WPB.

Dave Gardner, szef organizacji, zmuszony był więc już na wstępie kampanii posypać głowę popiołem, pisząc w oświadczeniu, że zdjęcie czarnego dziecka mogło „wywołać u niektórych niewłaściwe wrażenie, że bierzemy na »celownik« ludzi o innym kolorze skóry, by mieli mniej dzieci, nie zwracając przy tym uwagi na resztę populacji". Tymczasem WPB chodzi przecież o dzieci każdego koloru skóry. A właściwie ich brak. Plan minimum to przekonanie społeczeństw, by pary decydowały się na maksymalnie jedno dziecko, ale ideałem jest wariant 2 + 0. Oczywiście w trosce o dobrostan planety.

Działająca od blisko 30 lat WPB twierdzi, że jej misją jest „wytyczenie dla ludzkości drogi, która – zamiast pogłębiać biedę – otworzy możliwość cieszenia się dobrym życiem na zdrowej planecie". Początkowo organizacja przekonywała, że ograniczenie liczby urodzeń wyciągnie miliony ludzi z biedy. Dzisiaj twierdzi jednak, że musimy radykalnie zredukować dzietność właśnie z troski o klimat.

Dave Gardner podkreśla przy tym, że celem jego organizacji nie jest przymuszanie ludzi do nieposiadania dzieci. „My po prostu cieszymy się i dziękujemy tym ludziom, którzy podjęli decyzję o posiadaniu małych rodzin" – mówi Gardner.

Rok temu podczas wywiadu w telewizji był jednak bardziej bezpośredni: „To bardzo prosta rzecz, każdy mężczyzna może po prostu zrobić wazektomię [przecięcie nasieniowodów – przyp. P.W.] po pierwszym dziecku".

STRAJK PORODOWY

Niestety ten rodzaj narracji zyskuje na znaczeniu dzięki wsparciu celebrytów. Chociaż ich przekaz sprowadza się w zasadzie do tego samego, czyli świadomej „klimatycznej bezdzietności", to jest on jednak zazwyczaj zawinięty w jeszcze bardziej dramatycznie wyglądające opakowanie: nie urodzę, bo nasz świat czeka klimatyczna apokalipsa. Wśród aktorek najgłośniejszą zwolenniczką tego poglądu jest bez wątpienia Miley Cyrus.

„Robimy Ziemi to samo, co robimy kobietom. Cały czas tylko bierzemy i bierzemy i oczekujemy, że będzie dla nas cały czas produkowała. A ona już więcej nie da rady. Zamieniamy planetę w kupę g•wna, a ja odmawiam sprowadzenia na taki świat dziecka" – powiedziała Cyrus w wywiadzie z „Elle".

„Nie urodzę dla was. Nie chcę, by moje dzieci dorastały w świecie, który stoi na skraju ekologicznej katastrofy" – ogłosiła w zeszłym roku Blythe Pepino, 33-letnia brytyjska piosenkarka, i założyła nawet ruch Birth Strike (Strajk Porodowy).

„To generalnie naukowy konsensus, że życie naszych dzieci będzie bardzo trudne, i to prowadzi wielu młodych ludzi do zadawania sensownego pytania: Czy to OK mieć dzieci?" – twierdzi z kolei Alexandria Ocasio Cortez, jedna z najbardziej znanych demokratycznych kongresmenek, fanatyczna zwolenniczka poszerzania prawa do aborcji.

Czym tak naprawdę są dzieci? To przede wszystkim mnóstwo dodatkowej emisji gazów cieplarnianych, ogrom stresu i pogorszenie komfortu psychicznego rodziców. No i masa wydatków. Gigantycznych wydatków. Taki obraz rodzicielstwa maluje poradnik dla potencjalnych rodziców przygotowany przez „One Planet, One Child". Wręcz komicznie wyglądają prezentowane tam badania,

eprasa.pl a27c412366

które pokazują, że rodzice małych dzieci są o kilka punktów procentowych bardziej skłonni narzekać na komfort życia niż pary bezdzietne.

Ten zestaw argumentów przeciw dzieciom do złudzenia przypomina materiały omawiane na szkoleniach pracowników klinik aborcyjnych, którzy uczeni są przekonywania kobiet, że dziecko to same minusy i najbardziej racjonalnym wyjściem jest pozbycie się tego problemu.

W tle są też tony CO_2. Konkretnie 58 ton – tyle właśnie ma przeciętnie „kosztować" rocznie każde dodatkowe dziecko. Właśnie na to badanie, opublikowanie w 2017 r. przez czasopismo „Environmental Research Letters", powołują się ludzie, którzy przekonują, że posiadanie dużej rodziny automatycznie wyklucza nas z grona obrońców klimatu.

Wśród zwolenników akcji „World Population Balance" jest też grono poważanych naukowców twierdzących, że duże rodziny to katastrofa dla ludzkości. Jedną z nich jest dr Jane Goodall, słynna brytyjska prymatolog (specjalizuje się w badaniu szympansów). Goodall dowodzi, że większość problemów naszej planety nie istniałaby, gdyby światowa populacja osiągnęła wielkość, jaką miała… 500 lat temu – w czasach Kolumba. Goodall jest równocześnie ambasadorką siostrzanej wobec WPB Population Matters (Populacja ma Znaczenie), brytyjskiej fundacji, która także działa w kierunku zmniejszenia dzietności (jednym z głównych narzędzi jest przedstawianie aborcji jako podstawowego prawa człowieka).

POŁOWA POLSKI

Tymczasem statystyki pokazują, że dziś należałoby raczej bić na alarm w drugą stronę. Świat potrzebuje, i to dramatycznie, więcej dzieci. Światowy współczynnik dzietności spadł obecnie do poziomu ok. 2,4 (w 1970 r. wynosił 4,5), a do końca wieku ma zmaleć, zdaniem naukowców z University of Washington's Institute for Health Metrics and Evaluation, do poziomu 1,7. Według tego modelu światowa populacja osiągnie szczytową wielkość w 2064 r. (9,7 mld, obecnie jest nas ok. 7,5 mld), by w ciągu kolejnych trzech dekad spaść do poziomu 8,8 mld. „Ciężko sobie wyobrazić, jak gigantyczna będzie to zmiana, to coś niesamowitego, będziemy musieli kompletnie zreorganizować nasze społeczeństwa" – twierdzi nadzorujący te badania prof. Christopher Murray. Krótko mówiąc: nasza planeta zmieni się z Matki Ziemi w Babcię Ziemię.

Według prognozy demograficznej opublikowanej w lipcu przez prestiżowe czasopismo naukowe „The Lancet" 23 kraje świata, w tym Polska, do końca stulecia zmniejszą swoją populację o ponad połowę. Na czele tej listy są m.in.: Włochy, Hiszpania, Japonia oraz Tajlandia. Jeżeli ta prognoza jest trafna, to na początku XXII w. Polska będzie liczyć 17 mln obywateli. W liczbach bezwzględnych najgorzej będzie z Chinami, które mają stracić blisko 700 mln obywateli. Według tego modelu najbardziej ludnym krajem świata staną się Indie (1,09 mld obywateli, czyli stracą blisko jedną trzecią obywateli w stosunku do szczytowego momentu). Z kolei USA mają bardzo nieznacznie, ale jednak, zwiększyć swoją populację (tylko dzięki imigracji).

Zestaw argumentów przeciw dzieciom do złudzenia przypomina materiały omawiane na szkoleniach pracowników klinik aborcyjnych

Według tej prognozy pod koniec obecnego stulecia ludzi w wieku powyżej 80 lat będzie dwa razy więcej (800 mln) niż dzieci do piątego roku życia (400 mln). Nie trzeba więc tłumaczyć, co w kontekście tak dramatycznych prognoz oznacza promowanie modelu 2 + 1 lub 2 + 0.

– Po prostu stare wraca. Kwestionowanie posiadania dzieci z powodu zmian klimatycznych to ta sama zaciekle antydziecięca retoryka, którą słyszeliśmy już wcześniej – mówiła na antenie Fox News Penny Nance, szefowa Concerned Women for America, chrześcijańskiej organizacji zrzeszającej Amerykanki walczące o utrzymanie w społeczeństwie tradycyjnych wartości. – Słyszałyśmy już to pod koniec lat 60., kiedy straszono nas przeludnieniem i wzywano nas do ograniczenia wielkości naszych rodzin, ponieważ miał nam grozić armagedon".

BOMBA EHRLICHA

Atmosfera lat 60. była pod względem demografii faktycznie apokaliptyczna. W poważnych mediach straszono, że kataklizm jest tuż za rogiem. Bill Gill, szanowany dziennikarz sieci ABC, stojąc przed Białym Domem, mówił wówczas ze śmiertelnie poważną miną: „USA mogą pęknąć w szwach do końca stulecia".

Za napędzenie strachu odpowiadał przede wszystkim Paul Ehrlich, biolog ze Stanford University, który w 1968 r. wydał swój największy hit – „The Population Bomb" („Bomba demograficzna"). Ehrlich przestrzegał w książce, że demografia jest dla świata dużo większym zagrożeniem niż broń atomowa (na Ziemi żyło wówczas ok. 3,5 mld ludzi). Przewidywał, że głód stanie się problemem ogólnoświatowym, a ubóstwo osiągnie iście biblijne rozmiary.

Jak wyglądała jego recepta? Najpierw należało działać po dobroci – promować model małej rodziny, przekonywać do stosowania antykoncepcji i aborcji. Jeżeli jednak metody „dobrowolne" zawiodą, wówczas państwo powinno – zdaniem Ehrlicha – zastosować przymus. Bezdzietne pary miały być nagradzane przez państwo, a większe rodziny miały być karane. Ehrlich postulował, żeby za pierwsze i drugie dziecko rodzice płacili po 600 dol. ekstra podatku. Każde kolejne miało już kosztować 1,2 tys. dol. Miała też powstać specjalna czarna lista ludzi i organizacji, które utrudniają ograniczenie światowej populacji.

Ehrlich nie bał się śmiałych prognoz. W 1970 r. przewidywał, że w ciągu kolejnych 15 lat nastąpi kompletne załamanie planety. Najgorzej miało być w Indiach, które miał powalić apokaliptyczny głód. Autor „The Population Bomb" założył organizację Zero Population Growth (Zerowy Przyrost Populacji), do której dołączyły tysiące przerażonych studentów, chcących uratować świat przed zagładą.

Tymczasem nie tylko nie doszło do ogólnoświatowego głodu, lecz także efektem tzw. zielonej rewolucji była nadprodukcja żywności. Okazało się, że wielodzietność nie musi automatycznie przekładać się na biedę czy głód, a planeta jest w stanie wykarmić jeszcze kilka dodatkowych miliardów ludzi. Dzisiaj następcy Ehrlicha w miejsce głodu podstawiają klimat i starają się przekonać świat, że każde kolejne dziecko to śmiertelne niebezpieczeństwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

Z Janem Zygmuntowskim, współprzewodniczącym Polskiej Sieci Ekonomii i wykładowcą Akademii Leona Koźmińskiego
rozmawia Jakub Wozinski

Dług publiczny nie jest obciążeniem?

FOT. ADOBE STOCK

JAKUB WOZINSKI: Jest pan jednym z sygnatariuszy listu ekonomistów młodego pokolenia, w którym wzywa się do podwyższenia konstytucyjnego limitu zadłużenia. Wiadomo dziś, że dziura budżetowa przekroczy poziom 100 mld zł, a zadłużenie przekroczyło już poziom 62,7 proc. PKB. W przyszłym roku będzie to już ponad 64 proc. Czy nadal uważa pan, że trzeba się zadłużać jeszcze bardziej, czy może już wystarczy?

JAN ZYGMUNTOWSKI: Trudno powiedzieć, gdyż nadal możemy zmagać się z drugą falą pandemii. Rosnąca liczba infekcji powoduje, że być może potrzebny będzie kolejny lockdown, koniecznie mądrzejszy i spokojniej przeprowadzony. Ale jak najbardziej nie powinniśmy sobie sami nakładać limitów.

Bądźmy precyzyjni: ile powinien wynosić limit zadłużenia?

Takie pomysły, żeby ustanawiać jakiekolwiek limity dla zadłużenia publicznego, czyli tzw. numeryczną zasadę fiskalną, były mocno popularyzowane już od paru dekad. Nie były jednak ugruntowane w żadnej wiedzy ekonomicznej. Polski limit w wysokości 60 proc. zaczerpnęliśmy z propozycji dla strefy euro, które były arbitralnym ustaleniem europejskich polityków, w tym z krajów, które już były powyżej tego poziomu.

Najbardziej przełomowy artykuł naukowy, który rzekomo miał udowadniać, że jest to dobry pomysł, opublikowano w 2010 r. Był to słynny tekst Reinhart-Rogoff, który jednak zawierał mnóstwo błędów metodologicznych. Dopiero później pokazano, że sprawa jest dużo bardziej skomplikowana, a dane empiryczne wskazują na odwrotną regułę, tzn. to kryzysy prowadzą do wzrostu zadłużenia publicznego, a nie zadłużenie do kryzysów. Reguły numeryczne służyły więc politykom do zyskania sympatii inwestorów, do pokazywania: „Patrzcie, sami krępujemy sobie ręce i jesteśmy tacy odpowiedzialni".

Wydaje mi się, że był to raczej wynik pewnego konsensusu, przejaw zdrowego rozsądku i przekonania, iż nie warto przekraczać pewnych granic bez względu na to, kto akurat rządzi, ze względu na pewne dalekosiężne cele.

Tak, ale ten limit zadłużenia w stosunku do PKB był próbą rozwiązania pewnego problemu, jakim jest prowadzenie racjonalnej polityki fiskalnej za pomocą młotka. Mamy jeden sztywny młotek i walimy nim jak popadnie. Nie patrzymy np., jaka jest relacja krajowego długu do długu zagranicznego. Niemal zawsze, gdy dochodziło do kryzysu danej waluty połączonego z hiperinflacją, mieliśmy do czynienia z sytuacją, w której państwo nie było w stanie prowadzić własnej polityki monetarnej, było zadłużone względem zagranicy. Albo nawet nie posiadało własnej waluty, nie prowadziło suwerennej polityki, tak jak Grecja w źle zaprojektowanej strefie euro.

Tak naprawdę powinniśmy więc patrzeć na inne rzeczy: jaka jest rentowność polskich obligacji, na co wydatkowany jest ten dług, czy są perspektywy jego zwrócenia, czy państwo jest dziś wiarygodne dla inwestorów krajowych i zagranicznych. To jest bardziej kompleksowy obraz, do którego nie pasuje tak proste pojęcie jak limit. Najlepszym dowodem na to może być to, że mimo iż ten limit powstał w okresie neoliberalnej polityki gospodarczej, żadne państwo poza Polską i Słowacją, która już tego żałuje po kryzysie, nie zdecydowało się, żeby wpisywać go do konstytucji, a jedynie do innych ustaw. Kraje, które zmagały się z kryzysem, przekroczyły te limity – mówimy tu o sporej części państw europejskich. Zasadniczo

eprasa.pl a27c412366

poza chęcią wymyślania sobie reguł, aby się politycznie pokazać, nie ma właściwie żadnych powodów do tego, żeby mieć sztywny limit.

We wspomnianym liście piszecie, że trzeba się zadłużać, bo mamy do dyspozycji tak tani dług jak jeszcze nigdy w historii. Nie obawia się pan, że to raczej sygnał świadczący o tym, że mamy być może do czynienia już nie tyle z bańką, ile z bańką baniek, i znajdziemy się za jakiś czas w sytuacji o wiele mniej korzystnej? Koszty obsługi i spłaty zadłużenia pewnego dnia wzrosną i wówczas nie będzie tak kolorowo.

Stąd cała dyskusja powinna być nakierowana po pierwsze na to, czy inwestujemy w aktywa spekulacyjne, a nie inwestujemy. Nie jest to sytuacja kryzysu na rynku hipotek, tak jak w USA, gdzie emitowany przez banki prywatne pieniądz służył ciągłemu inwestowaniu w bańkę wycen nieruchomości. W naszym przypadku mamy konkretne cele rozwojowe, które stoją przed Polską.

Na co powinniśmy więc przeznaczać pieniądze?

Na pewno powinno być to zadłużenie, które w większości pozostanie w kraju. Z jednej strony mamy duże oszczędności najbogatszych gospodarstw domowych, mamy nadpłynność w sektorze finansowym, co regularnie pokazują aukcje NBP w programie polskiego luzowania ilościowego. Nasz bank centralny próbuje zapewnić płynność bankom, które tej płynności nie chcą.

Ale w które konkretnie obszary gospodarki zainwestować?

Przeprowadziliśmy jako Polska Sieć Ekonomii badanie wśród ekonomistów i spytaliśmy, jakie są potrzeby rozwojowe. Na samym szczycie jest to przede wszystkim ochrona środowiska, regeneracja ekologiczna. Mierzymy się z suszą, która z roku na rok jest coraz gorsza, a priorytetem powinno być także przygotowanie się na kolejne skutki zmian klimatu. W dalszej kolejności zmiana miksu energetycznego, czyli inwestycje w energię jądrową, w odnawialne źródła energii. Mamy także inne problemy: nie budujemy mieszkań, nie budujemy ich tak szybko, jak rośnie zapotrzebowanie. Co roku rośnie odsetek młodych osób, które mieszkają z rodzicami, bo nie mają gdzie się wyprowadzić. Nie stać ich na zakup mieszkania na rynku – dziś wkład własny do hipoteki wynosi już 20 proc. ceny mieszkania, wartość zaporową dla młodych rodzin – stąd państwo musi budować mieszkania komunalne. Mamy cyfryzację administracji i usług publicznych, potrzeby dostosowania gospodarki do przemysłu 4.0. To są konkretne wyzwania, przed którymi stoi Polska.

Istnieje jednak spora obawa, że te inwestycje nie przełożą się na poprawę naszej kondycji finansowej i fiskalnej. Żeby spłacić zobowiązania, trzeba przede wszystkim mieć wyższe dochody budżetowe. Polska gospodarka musi być bardziej konkurencyjna, a nałożenie sobie ciężaru w postaci większego zadłużenia to zadanie utrudni, czyż nie?

Dobre pytanie. Po pierwsze, ta dyskusja – konkurencyjność kontra dług na potrzeby krajowe – rozegrała się już między głównym ekonomistą PO Andrzejem Rzońcą, który mówił właśnie o konkurencyjności, a prof. Leonem Podkaminerem, który na łamach „Rzeczpospolitej" skontrował to, przekonując, że nie można oprzeć całej gospodarki wyłącznie na eksporcie. W pewnym momencie trzeba zacząć inwestować

eprasa.pl a27c412366

w sam kraj, w poziom życia. Gdyby każdy kraj próbował napędzać swoją gospodarkę wyłącznie eksportem, to prowadziłoby to do tego, że każdy kraj na świecie musiałby być jednocześnie i eksporterem, i importerem netto, a to jest niemożliwe. Zobaczmy, że kraje, które rozwijają się bardzo dynamicznie, a następnie tak jak Polska wchodzą w okres, gdy dużo eksportują, w końcu pogłębiają i rozwijają swój rynek wewnętrzny. Tak jak Japonia, Chiny czy też inne tygrysy azjatyckie Polska musi dokonać tego rodzaju kroku w rozwoju.

Druga sprawa, o której pan wspomniał, dotyczy ciężaru długu do spłacenia. Może zabrzmi to obrazoburczo, ale dług publiczny nie jest obciążeniem. Jest dodatkową płynnością i dodatkowymi aktywami sektora prywatnego. Z punktu widzenia suwerennego emitenta waluty takiego jak Polska za każdym razem, kiedy zwiększamy dług publiczny, zwiększamy zobowiązania sektora publicznego, ale zarazem jest to dodatkowy strumień pieniędzy na rynku.

To bardzo kreatywny semantycznie zabieg, a my musimy zmierzyć się z pewnymi bardzo twardymi wyzwaniami, jak choćby pogłębiający się kryzys. Łatwo się dziś zadłużać, ale nadchodzą trudne czasy.

Wprost przeciwnie. Właśnie przez kryzysową sytuację nie możemy pozwolić na to, żeby gospodarstwa domowe i prywatne firmy same się zadłużały. Steve Keen pokazuje świetnie, że każdy kryzys będzie prowadził do wzrostu zadłużenia po prostu dlatego, że potrzebna jest dodatkowa płynność na spłatę istniejących zobowiązań. Pieniądz jest tylko środkiem wymiany. Postrzegamy go często jako jakiś dziwny towar, który produkujemy bez wartości, a tak nie jest, bo jeśli moce produkcyjne nie są wykorzystane, jeśli istniejący pieniądz nie pozwala ich pokryć, to właśnie nowy pieniądz pozwala uruchomić te możliwości. Dopiero wysoka inflacja jest sygnałem, że obecne moce są w pełni wykorzystane – ale wtedy można zwiększać same moce. Jest to swego rodzaju wprowadzenie większej ilości krwi do organizmu, który nie mógł wykorzystać swojego potencjału.

Jesteśmy obecnie na całym świecie wręcz zalani tą krwią.

Większym problemem jest to, że dług prywatny prowadzi do kryzysu. Doprowadził do kryzysu w 2008 r. Banki prywatne również kreują pieniądz, lecz robią to na dużo gorszych warunkach, na większy procent. To one wykreowały ten kryzys. Jeśli mamy taki kryzys jak teraz i zobowiązania długoterminowe, np. czynsze, kredyty, to w tej sytuacji potrzebna jest ta płynność, inaczej system się zawala, ponieważ dług prywatny jest bardziej kryzysogenny.

Jeżeli teraz w Polsce firmy, które mają zatory płatnicze, będą musiały brać jeszcze dodatkowe kredyty, żeby móc zasypać sobie tę dziurę, to otrzymają kredyt na dużo gorszych warunkach, niż kiedy robi to państwo. Jeśli państwo zadłuża się względem swoich obywateli, to tak naprawdę ten dług jest sposobem, w jaki my wprowadzamy nowe pieniądze do obiegu. Japonia, która ma dług publiczny dochodzący do 300 proc. PKB, nie mierzy się ze spadkiem zaufania inwestorów. Mierzy się wprawdzie ze spowolnieniem, ale związanym bardziej z demografią.

Dług musi być wydany racjonalnie, na konkretne społeczne potrzeby, bo inaczej będzie nieproduktywny

Ostatnie miesiące pokazały, że kraje zdyscyplinowane budżetowo lepiej poradziły sobie z pandemią koronawirusa. Atutem Polski było właśnie to, że mieliśmy względnie stabilne finanse publiczne i przez to cierpimy dziś mniej niż inni. Dyscyplina przynosi efekty.

Nie widzę żadnego potwierdzenia tezy, że dyscyplina daje efekty. Tworzy może trochę większą przestrzeń do działania, kiedy nadchodzi kryzys. Nie warto też oczywiście przegrzewać gospodarki i zaciągać długu, gdy jest ona w okresie boomu. Kraje skandynawskie też mobilizują krajowe środki do wydatków publicznych, ale zamiast używać długu, by pozyskać krajowe oszczędności, prowadzą socjaldemokratyczną politykę progresywnych podatków dla najbogatszych. Mamy również przykłady krajów, jak choćby Niemcy, które od dawna mają przekroczone limity długu, a cieszą się ogromnym zainteresowaniem inwestorów.

Niemcy od kilku lat miały nadwyżkę budżetową i ustabilizowany budżet, a także zdecydowanie niższy poziom długu niż kraje południowoeuropejskie, które na koronawirusie najbardziej obecnie straciły.

To już jest problem strefy euro i tego, jak ona jest zbudowana na mechanizmie, który Niemcy chętnie wykorzystują, tj. różnicy konkurencyjności między północą a południem, przez którą kraje południa nie mogą prowadzić suwerennej polityki monetarnej. Nie wiem, czy ma to coś wspólnego z dyscypliną, raczej ze zdolnością do prowadzenia własnej polityki. Waluta jest tu podstawą. Szczęśliwie Polska ma swoją własną walutę. Polski złoty jest za granicą odbierany pozytywnie. Nasze obligacje są rekordowo tanie i w związku z tym oczekiwanie inwestorów jest niemal takie, że będziemy pomagali naszej gospodarce, bo w innym wypadku będziemy się mierzyli się z upadkiem wielu firm, które nie poradzą sobie płynnościowo, czy też z rosnącym zadłużeniem gospodarstw domowych.

W liście proponujecie powołanie Społecznej Rady Fiskalnej. Kto powinien powoływać jej członków i jaka byłaby w niej rola związków zawodowych?

Ten wywiad może wydawać się jakąś pochwałą szalonego zadłużania się, a tak nie jest. W dalszym ciągu uważamy, że dług musi być wydany racjonalnie, na konkretne społeczne potrzeby, bo inaczej będzie nieproduktywny. Pomysłem na to jest pójście śladem ponad 40 krajów na świecie, które zamiast instalować sobie numeryczne reguły fiskalne, postanowiły stworzyć rady fiskalne, czyli ciała złożone z przedstawicieli ekonomistów związków zawodowych, ekonomistów uniwersyteckich, a także pracowników administracji, którzy mogą doradzić, jak realnie wygląda stan budżetu. Takie rady wspólnie decydują, jakie są potrzeby wydatkowe i jak można je kierunkować. Kto powinien taką radę powoływać? Trudno powiedzieć. Żeby to ciało było odpowiednio silne, najlepiej, aby w konstytucji zastąpiło tę sztywną regułę. Kluczowa byłaby tutaj rola współpracy z premierem albo z prezydentem, ponieważ ciało to, mimo że doradcze, powinno mieć jakieś realne kompetencje, aby móc zablokować takie ustawy czy budżet, który byłby szczególnie niekorzystny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl a27c412366

Zarzynanie biznesu

Wartość drobiu i wołowiny z uboju rytualnego eksportowanych z Polski szacuje się na ponad 9 mld zł rocznie FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Zboralski

Bój prawny o ubój rytualny trwa od II Rzeczypospolitej. Zawsze dotyczyło to też pieniędzy. Dziś ten biznes w Polsce to miliardy złotych

Jeśli komuś wydawało się, że spór o zakaz uboju rytualnego wiąże się jedynie z tym, iż ktoś przekonał Jarosława Kaczyńskiego – o którym wiadomo, że jest wrażliwy na los zwierząt – by przy okazji zakazu hodowli zwierząt futerkowych zakazać też religijnego sposobu zabijania zwierząt, to jest w błędzie. Obecny projekt zmian prawa przygotowany przez Zjednoczoną Prawicę to tylko kolejna fala polskich sporów na ten temat. A pojawiają się one cyklicznie już od czasów II Rzeczypospolitej. W III RP mieliśmy wcześniej już w tej sprawie dwie ogólnopolskie prawne awantury.

JAK ONI ZABIJAJĄ?

Trudno też rozumieć te sprawy bez uświadomienia sobie, czym w istocie jest ubój rytualny i z czego wynika. Chodzi tu bowiem o podejście Żydów i muzułmanów do pozbawiania zwierząt życia. Tora, choć jednoznacznie zakazuje Żydom spożywania krwi czy mięsa z krwią (przymierze noachickie obejmujące całą ludzkość), nie precyzuje tego, jak powinno się zabić zwierzę, by jego mięso było koszerne. Te zasady stworzyli już sami Żydzi w ramach judaizmu rabinicznego. Dokładne przepisy zawiera talmudyczny traktat Chullin. Wynika z nich m.in., że nóż do zabijania musi być dwukrotnie dłuższy niż gardło zwierzęcia, nie może mieć wyszczerbień. Śmiertelny cios musi być zadany jednym, płynnym ruchem, by rozciąć główne naczynia krwionośne. Odmawia się przed ciosem błogosławieństwo, a po zabiciu bada się budowę zwierzęcia, gdyż ułomności rozwojowe wykluczają je z koszerności. Zasady są tak dokładne, że nawet nowy sposób ostrzenia noży w ortodoksyjnych środowiskach Żydów w XVIII w. skończył się u nich rzucaniem na siebie klątwy.

W momencie zabijania zwierzę jest przytomne. Jak wskazuje Żydowski Instytut Historyczny, ubój rytualny ma powodować „niemal bezbolesną śmierć zwierzęcia w ciągu jednej minuty".

W przypadku muzułmanów Koran także zakazuje spożywania krwi zwierząt. Muzułmanie w podobny więc sposób dokonują zabijania nieogłuszanych zwierząt, których mięso musi być „halal" (czyli spełniające wymogi szariatu).

Także muzułmanie twierdzą, że ten sposób uśmiercania, mimo iż wiąże się z nieogłuszaniem zwierzęcia, powoduje jego szybką śmierć. Tłumaczyła to m.in. Iza Melika Czechowska, lekarz chirurg, absolwentka Akademii Medycznej w Poznaniu, członkini Muzułmańskiego Związku Religijnego w RP oraz Rady Wspólnej Katolików i Muzułmanów podczas poprzedniego polskiego sporu o ubój rytualny. Na stronie Muzułmańskiego Związku Religijnego w RP objaśniała, że mechanizm uboju polega na szybkim skrwawieniu zwierzęcia i zablokowaniu dopływu krwi do mózgu.

„Przecięcie tętnicy szyjnej powoduje wynaczynienie krwi na zewnątrz, poza organizm zwierzęcia. Tym samym ustaje przepływ mózgowy. W ciągu kilku (dwóch, trzech) sekund od zadania ciosu otwierającego naczynia szyjne zwierzę traci całkowicie świadomość, następuje porażenie mięśni szkieletowych oraz zniesienie zdolności do odczuwania bodźców środowiska zewnętrznego i reagowania na nie. Śmierć następuje w ciągu trzech, czterech minut, podczas których zwierzę jest praktycznie pozbawione przytomności" – napisała.

eprasa.pl a27c412366

Polski problem dotyczący uboju rytualnego, związany z ochroną praw zwierząt, dotyczy więc w zasadzie jednej kwestii – braku ogłuszenia zwierzęcia przed zadaniem mu śmierci.

PRAWNE BATALIE I BIZNES

W Rzeczypospolitej przed wojną ludność żydowska stanowiła ok. 3 proc. Był to efekt polityki państwa sprzyjającej ich osadnictwu – nad Wisłą nie byli prześladowani, więc uciekając z innych krajów, znajdowali azyl u nas. W Rzeczypospolitej cieszyli się swobodą praktyk religijnych, a jedną z nich był właśnie ubój rytualny.

Tuż przed drugą wojną światową część krajów Europy zaczęła zakazywać uboju rytualnego. ŻIH w notce tego dotyczącej wskazuje dziś, że był to atak, który przypuścili wówczas „towarzystwa ochrony zwierząt i sprzymierzeni z nimi antysemici". Takich praktyk zakazywały wówczas m.in. Niemcy, Szwajcaria, Szwecja, Norwegia i Finlandia.

W Polsce projekt ustawy dotyczący uboju rytualnego wniesiono do Sejmu w 1936 r. ŻIH twierdzi, że i w naszym kraju sprawa miała związek z okresem „narastania tendencji nacjonalistycznych". Należy jednak zauważyć, że u nas porządkowano same zasady uboju i nadal dopuszczano ubój rytualny, jedynie ograniczając go do potrzeb ludności takich wyznań zamieszkujących II RP. „Podsumowując, trzeba stwierdzić, że pomimo obowiązywania w przedwojennej Polsce pionierskiego, nowoczesnego jak na owe czasy prawa ochrony zwierząt jednocześnie nie kwestionowano potrzeby praktykowania uboju rytualnego" – podkreślają autorzy publikacji „Ubój rytualny w świetle prawa II RP" (Sławomir Mroczkowski, Anna Frieske, Ewa Grochowska, Dariusz Piwczyński, Beata Sitkowska, „Przegląd Hodowlany" nr 4/2014).

Kolejny problem prawny narodził się w III RP, gdy za rządów AWS w 1997 r. wprowadzono ustawę o ochronie zwierząt. De facto wykluczała ona zabijanie bez ogłuszania, ale... okazała się sprzeczna z wprowadzoną w tym samym roku konstytucją gwarantującą ochronę mniejszościom religijnym.

Po kilku latach, za rządów SLD-PSL-UP, w 2002 r. nowelizacją wykreślono z ustawy punkt dopuszczający ubój zwierząt bez ich ogłuszania. Jednak już dwa lata później ten sam rząd przywrócił taką możliwość rozporządzeniem ministra rolnictwa. Był to jednak bubel prawny (takie buble tkwią w polskich przepisach do dziś w licznych miejscach), gdyż rozporządzenie nie może zmieniać aktu wyższego rzędu, czyli ustawy. W związku z tym po przekazaniu TK tej sprawy do zbadania w 2012 r. okazało się, że owa regulacja nie działa. A od 2002 r. przemysł związany z ubojem rytualnym w Polsce mocno się już rozwinął. I – jak szacowano wówczas w mediach – 80 proc. produkowanej w kraju wołowiny eksportowano, a 30 proc. całego eksportu wołowiny stanowiło mięso z uboju rytualnego.

Jak zwracał uwagę Jakub Draht z UJ („Ubój rytualny w polskim systemie prawnym", „Colloquium Wydziału Nauk Humanistycznych i Społecznych. Kwartalnik" nr 3/2015), kolejnym etapem polskiego sporu było wejście w życie w 2013 r. rozporządzenia Rady (WE) w sprawie ochrony zwierząt podczas uśmiercania. Rozporządzenie dopuszczało ubój rytualny i zostawiało wolną rękę w zaciskaniu przepisów każdemu państwu. W Polsce zapanował chaos w przekazie – jedni przekonywali, że ubój rytualny stał się już zakazany, inni – że wciąż jest dopuszczalny. Rolnicy w protestach wyjechali na drogi, a PO przygotowała przepis, który jednoznacznie taki ubój dopuszczał. Odrzucono go jednak w głosowaniu sejmowym. Prokuratura Generalna uważała więc, że tak zwierząt w Polsce zabijać nie wolno, ale po doniesieniach o uboju rytualnym albo nie wszczynano postępowań, albo np. sąd kierował pytania do TK. Swój wniosek do Trybunału złożyły też Związek Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP oraz RPO Ewa Lipowicz, która starała się dokonać rozróżnienia między takim ubojem na masową skalę w eksporcie i na potrzeby wierzących w Polsce.

W ówczesnej debacie środowiska katolickie wspierały postulaty judaizmu i islamu. Zdaniem katolików zakaz uboju rytualnego byłby ingerencją państwa zakazującą pewnych zwyczajów religijnych, a więc także niebezpieczną w przyszłości być może dla nich samych.

W 2014 r. TK uznał, że zakaz uboju rytualnego był niezgodny z konstytucją. Takie zabijanie znów zaczęło być w świetle prawa dozwolone i niekaralne. Biznes znów zaczął rozwijać się bez przeszkód.

SIEDEM MILIARDÓW I WIĘCEJ

Dzisiaj – gdy trwa kolejna prawna próba zakazania uboju rytualnego – rynek takiego mięsa w Polsce utrzymuje się na wysokim poziomie. Jak wynika z publikacji „Rzeczpospolitej" opartej na danych GIS, nadal ponad 30 proc. eksportowanej z kraju wołowiny to mięso pochodzące z uboju rytualnego. Eksportowaliśmy w 2019 r. 377,8 tys. ton tego mięsa, w tym 114,7 tys. ton z uboju rytualnego (większość na rynek UE). Jeszcze więcej eksportujemy rytualnie ubijanego drobiu. To 885,7 tys. ton rocznie, czyli ponad połowa całego eksportu drobiu. Drób z uboju rytualnego prawie w całości trafia na rynki UE. Polska branża drobiarska jest dziś liderem w Europie.

Zakaz uboju rytualnego oznacza dla hodowców drobiu utratę rynku wartego ok. 7 mld zł rocznie. Wartość eksportowanej wołowiny z uboju rytualnego szacowana jest na 2,2 ml zł. To jednak niejedyna strata. Związek Polskie Mięso lobbujący przeciw nowelizacji prawa przypomniał, że poprzedni zakaz w latach 2012–2013 przyniósł spadki ceny żywca wołowego o 1,5–2 zł za kg. Uderzyło to więc nie tylko w ubojnie i eksporterów mięsa koszernego i halal, lecz także w zwykłych rolników jedynie hodujących bydło. Obecna nowelizacja zdaniem ZPM przyniesie też spadek cen żywca, co może oznaczać straty dla wszystkich rolników zajmujących się taką hodowlą w granicach 20–30 proc. ich obecnych dochodów.

Zmiana mocno dotknie rolnictwa, ponieważ polscy hodowcy wyspecjalizowali się w hodowli bydła spełniającego wymogi koszerne czy halal – takie zwierzęta są karmione inaczej (bez komponentów chemicznych itd.). Zauważyć należy też cały przemysł – i to oprócz ubojni – istniejący wokół. To choćby branża opakowań do mięsa. I ona, by spełniać przepisy religijne, jest specjalnie certyfikowana, co wymaga wielu dostosowań do standardów religijnych.

Rolnicy twierdzą, że sama dyskusja w Polsce spowodowała spadki zamówień na wołowinę. Tymczasem ograniczenie hodowli drobiu i wołowiny oznacza nie tylko kłopot dla rolników hodujących zwierzęta. Pociągnie to też za sobą zmniejszone zapotrzebowanie na pasze – na czym ucierpieć mogą rolnicy zajmujący się uprawą roślinną. To wreszcie kłopot dla banków, które mają otwarte linie kredytowe rolników mogących właśnie wpaść w tarapaty finansowe.

Czy ostatecznie rolnictwo uratuje jednak to – czego w polskiej debacie dziwnie nikt nie zauważa – że nadal obowiązuje u nas konstytucja z 1997 r.? Ta sama, w oparciu o której zapisy Trybunał Konstytucyjny już kilka razy gwarantował ludziom wolność wyznania i związane z tym rytuały? Czy cały ten spór i pisanie nowelizacji ustawy nie są więc jałowe?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a27c412366

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Gigantomania w gigantomatni

W ramach coraz wyraźniej biorącej górę w obozie władzy filozofii tworzenia polskich gigantów gospodarczych, które znaczyłyby więcej, a więc także na więcej mogłyby sobie pozwolić w starciu z konkurentami z Europy, a może i spoza niej, przybywa pomysłów na to, jakie polskie firmy by tu jeszcze skonsolidować, czyli połączyć.

No i po rynku paliw, gdzie już powstaje narodowy kolos paliwowo-energetyczno-gazowy, wzrok rządu padł na energetykę. A jak już padł, to nie ma to tamto. Po pierwsze, do jednej spółki mają trafić wszystkie elektrownie węglowe, a więc te generujące coraz gorsze wyniki – z powodu absurdalnej polityki klimatycznej UE. Po drugie, nie wiadomo jeszcze, jak niewiele koncernów energetycznych miałoby docelowo pozostać w Polsce z tych kilku, które jeszcze są w miarę samodzielne, ale wychodzi na to, że niezbyt wiele, tym bardziej że jeden z nich właśnie ubył, rozpoczynając proces wchodzenia w skład wspominanego kolosa paliwowo-energetyczno-gazowego. Prezes Urzędu Regulacji Energetyki Rafał Gawin, który nie wygląda na entuzjastę tego konceptu, na wszelki wypadek wyraża swą opinię (w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej") w sposób nader ostrożny, zastrzegając, iż „to nie jest tak, że ja w sposób bardzo pozytywny oceniam planowane zmiany, ale ponieważ nie mam na nie wpływu, to staram się ich nie kwestionować".

I nie kwestionując, prezes URE przyznaje jednak, że „musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, co ma równoważyć konkurencję na rynku". Albowiem – o czym prezes URE dobrze wie – konsolidacja zwykle prowadzi do ograniczenia konkurencji, z oczywistymi negatywnymi skutkami dla klientów – w tym przypadku dla kupujących prąd. Takimi jak szybszy wzrost cen oraz spadek jakości. I prezes URE widzi ratunek dla naszych portfeli w zagranicy, wskazując na „import energii, który zapewne będzie się zwiększał, bo mamy cel 70 proc. otwarcia granic, i to będzie już jakaś równowaga".

Wszelako – wbrew pozorom, wbrew często nazbyt łatwo serwowanym receptom – w ramach UE, a więc organizacji międzynarodowej z tak bardzo zniwelowanymi dla działalności gospodarczej (i nie tylko dla niej) międzypaństwowymi granicami – to myślenie nie jest całkiem pozbawione sensu. Myślenie o tworzeniu gospodarczych gigantów, które co prawda w ramach państw narodowych stają się na poły monopolistami, lecz przez to rosną ich szanse konkurowania na rynku całej UE. Niestety, jeśli nie ze wszystkimi, to w każdym razie z wieloma negatywnymi konsekwencjami (tym groźniejszymi u nas, że w przypadku Polski chodzi o firmy niemal państwowe) dla ich klientów w ich krajach ojczystych; konsekwencjami, które mogą być „równoważone" – jak słusznie zauważa szef URE – jedynie przez konkurencję z zagranicy. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wycisnąć podatnika

Tegoroczny budżet jest z deficytem prawie 110 mld zł. Przyszłoroczny ma mieć ponad 82 mld zł deficytu, ale to nie musi być ostatnie słowo. Jeśli Polacy wpadną w panikę z powodu koronawirusa – a rządzący robią wiele, żeby się tak stało – i ograniczą swoją aktywność jesienią i zimą, to nasz PKB wcale może się nie podnieść tak szybko, jak się spodziewaliśmy.

Rząd zarazem stanowczo odrzuca wszelkie sugestie, aby ograniczyć wydatki socjalne. Cięcia mają objąć administrację, a to z kolei ma dać oszczędności, ale nie poprzedził tego żaden audyt skutków takich działań i może się okazać, że na papierze przyniesie to wprawdzie kilka miliardów, ale gdyby przeliczyć koszt słabiej działającej administracji, netto wyjdziemy na minus.

Skutki są nietrudne do przewidzenia. Rezygnacja z abolicji podatkowej dla zarabiających za granicą, CIT dla spółek komandytowych, poszerzony podatek deszczowy, wyższa akcyza na używane samochody, wreszcie pełne oskładkowanie wszystkich umów cywilnoprawnych, z umowami o dzieło włącznie, choć ich natura sprawia, że odprowadzanie od nich składek jest najczystszym nonsensem, bo nie ma ich jak kalkulować w logice obecnego systemu emerytalnego. Każdy z tych ruchów ma jakieś swoje oficjalne uzasadnienie. Na przykład CIT dla spółek komandytowych ma podobno zapobiegać wyprowadzaniu zysków za granicę – tyle że ledwo parę procent takich firm ma składnik zagraniczny. Tak naprawdę chodzi oczywiście tylko o to, że trzeba z obywateli wyciskać coraz więcej pieniędzy.

Jeśli Polacy wpadną w panikę z powodu koronawirusa i ograniczą aktywność, to nasz PKB wcale może się nie podnieść tak szybko

W „Dawnym ustroju i rewolucji" Alexis de Tocqueville zawarł słynne zdanie: „Trzeba szczegółowo poznać historię administracyjną i finansową dawnego ustroju, by zrozumieć, do jak bezprawnych i nieuczciwych praktyk może brak pieniędzy skłonić rządy łagodne, ale działające tajnie i bez kontroli, kiedy czas ostatecznie usankcjonuje ich władzę i uwolni je od strachu przed rewolucją, tą ostatnią ucieczką ludów". W naszym czasie owa rewolucja przybiera nieco inne formy – takie jak bunt „żółtych kamizelek" we Francji. Lecz czy polski podatnik ma w sobie choćby najsłabszy potencjał buntu? ©℗

eprasa.pl a27c412366

Tani i dostępny arbitraż

Postępowania sądowe w Polsce to istny koszmar. Ciągnące się w nieskończoność procesy, nawet w najprostszych sprawach, skutkują tym, że obywatele nie wierzą w sprawiedliwość. To z kolei ma opłakane skutki, w tym także dla gospodarki. Wielu przedsiębiorców woli machnąć ręką na nieuczciwe zachowanie kontrahenta, niż szarpać się z nim w sądzie, często przez wiele lat

Czy jest jakieś wyjście z tej sytuacji? Wydaje się, że tak. W obecnych uwarunkowaniach prawnych przedsiębiorcy mogą szukać sprawiedliwości poza sądownictwem państwowym, alternatywę stanowi tutaj arbitraż, znany także pod nazwą sądownictwa polubownego. Sądy arbitrażowe działają najczęściej przy organizacjach gospodarczych, takich jak izby gospodarcze czy inne zrzeszenia skupiające przedsiębiorców. Jeśli strony wyrażą na to zgodę, np. w ramach zawartego wcześniej kontraktu, to ewentualne nieporozumienia między nimi rozstrzygać będzie właśnie sąd arbitrażowy. Takie podmioty powoływane są w sprawach cywilnych, związanych z relacjami konsument–przedsiębiorca czy przedsiębiorca–przedsiębiorca. Z pewnością nieraz słyszeli państwo o wyrokach tego typu podmiotów, często bowiem orzekają one w głośnych i dotyczących ogromnych kwot sprawach.

Kamil Goral, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Jakie są podstawowe zalety arbitrażu? Przede wszystkim czas, taki sąd działa szybciej niż tradycyjne sądownictwo. A w biznesie czas ma swoje ogromne, także finansowe znaczenie. Oczekujące orzeczenia państwowego sądu firmy mogły przez lata trwającego postępowania przestać istnieć. Takim wyrokiem często zainteresowany może być jedynie podmiot odpowiedzialny za likwidację danego przedsiębiorstwa i zaspokojenie wierzycieli. Czy jednak w rozstrzyganiu sporów gospodarczych chodzi o to, aby rodziły one skutki dla tych, którzy chcą już tylko zaspokoić swoje roszczenia z masy upadłościowej?

Drugim plusem tego typu sądów jest profesjonalizm. W składach orzekających zasiadać mogą nie tylko prawnicy, lecz także doświadczeni specjaliści z danej dziedziny. To zaś zapewnić powinno wysoki poziom ekspertyzy i profesjonalizm orzeczenia. A pamiętajmy, że w sprawach gospodarczych istota sporu wymagać może bardzo dużej wiedzy z finansów, rachunkowości czy zarządzania. To zagadnienia, których przeważnie nie uczy się na studiach prawniczych. Teoretycznie sędzia może się wspomagać biegłymi. Tyle teoria, w praktyce samo oczekiwanie na opinię biegłego oraz jakość wielu tych opinii pozostawiają bardzo wiele do życzenia. W arbitrażu chodzi zaś o to, aby już w składzie orzekającym byli tacy biegli. Ludzie z ogromną wiedzą, doświadczeniem i autorytetem, których kompetencje nie powinny budzić zastrzeżeń.

Czy zatem arbitraż ma wady? Tak, przede wszystkim koszt. Wielu, szczególnie mniejszych firm, nie stać na tę formę rozwiązywania spraw. Jest to bowiem ścieżka kosztowna. Wydaje się jednak, że z tym problemem można sobie poradzić. To właśnie państwo i jego instytucje powinny wspierać finansowo rozwój sądownictwa polubownego w Polsce. Tak aby z jednej strony nie utraciło ono swoich zalet, a z drugiej nie pustoszyło kieszeni zainteresowanych, aby z niego skorzystać.

www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

Rada Gospodarcza STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl a27c412366

TEST „DO RZECZY": KAMERA SAMOCHODOWA MIO MIVUE 795

Wysoka jakość nagrań w dobrym oświetleniu, szeroki kąt widzenia, tryb parkingowy, system zwiększający bezpieczeństwo (ADAS) oraz dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety wideorejestratora ze średniej półki Mio MiVue 795.

Obraz wyświetlany jest na kolorowym wyświetlaczu LCD o przekątnej 2,7 cala o rozdzielczości 2560 x 1600 px. Ekran jest na tyle duży, że można wygodnie podejrzeć na nim zarejestrowany film, a jednocześnie na tyle mały, że kamerka nie zajmuje zbyt wiele miejsca na szybie ani nie zwraca na siebie niepotrzebnej uwagi.

Kamerka z obiektywem o przysłonie f/1.8, rzeczywistym kącie widzenia 150 stopni nagrywa w wysokiej rozdzielczości 1600 px z szybkością 25 klatek/sekundę oraz 1440 px z szybkością 30 kl./s. Dzięki użyciu produkowanej przez Sony matrycy CMOS jakość nagrań w dobrym świetle jest świetna. Obraz jest ostry i czytelny, a kolory żywe. Bez problemów można również odczytać znaki drogowe czy tablice rejestracyjne samochodów.

Testowany model został wyposażony w trzyosiowy czujnik przeciążeń G-Sensor oraz GPS. Wszystkie te dane wyświetlane są na zapisanym materiale wideo, co może pomóc w dochodzeniu racji w sądzie. Nagrania archiwizowane są na karcie microSD (do kupienia osobno) o pojemności do 128 GB.

Podczas dłuższego postoju włącza się tryb parkingowy, który aktywuje się automatycznie w razie wykrycia ruchu z przodu pojazdu – pozwala to np. nagrać kierowcę, który przytrze nam zderzak i „zapomni" zostawić do siebie wizytówki.

Fajnym bajerem testowanego modelu jest też system teoretycznie zwiększający bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów (ADAS). W skład tego ostatniego wchodzą elektroniczny asystent, który ostrzega kierowcę przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu (ale ponieważ nie jest połączony z kierunkowskazami, włącza się zbyt często), oraz system zapobiegający skutkom kolizji z samochodem poprzedzającym (ten działa już dużo lepiej). Wideorejestrator zachęca również kierowcę do robienia regularnych przerw podczas jazdy, a także – dzięki aktualizowanej bazie fotoradarów – na czas przypomina o konieczności ściągnięcia nogi z gazu.

Wady? Chociaż model ten jest reklamowany jako kamerka z dobrą jakością nagrań nocnych, to w tej roli sprawdzi się jedynie jako kamerka do rejestrowania wspomnień z wakacji lub w najpoważniejszych przypadkach kolizji lub wypadku. Co prawda ulice, domy etc. widać bardzo wyraźnie, jeżeli jednak ktoś chciałby rozpoznać tablice mijanego samochodu lub znaleźć pirata, który niczym wariat wyprzedzał go w ciemności, to trudno będzie odczytać tablice rejestracyjne poszukiwanego auta. Model premium mógłby mieć też wbudowany akumulator, który pozwoliłby kamerce chociaż kilka minut działać bez podłączenia do zasilania.

Mimo tych minusów stosunek ceny do jakości wypada w przypadku tego modelu naprawdę nieźle – testowany wideorejestrator potaniał od wiosennej premiery z 749 zł do ok. 500 zł. ©℗

Jacek Przybylski

DŁOŃ ZAMIAST KARTY

Amazon One to specjalny terminal, który za pomocą szybkiego skanu ręki pozwala na dokonywanie płatności zbliżeniowych bez konieczności wyciągania gotówki, karty płatniczej czy smartfona. Nowa metoda identyfikacji jest już wykorzystywana w dwóch bezobsługowych sklepach Amazon Go w Seattle. Według twórców tej technologii nie może być mowy o pomyłkach – nie ma bowiem na świecie identycznych dłoni. Firma Jeffa Bezosa przekonuje, że technologię tę w przyszłości będzie można wykorzystać do obsługi płatności przez innych sprzedawców, a także np. w metrze, w biurach, na stadionach czy basenach. Na świecie, w tym w Polsce, działają już firmy oferujące czytniki biometryczne palców w bankomatach, a także umożliwiające tzw. płacenie spojrzeniem, czyli z wykorzystaniem technologii skanowania tęczówki oka.

INTELIGENTNE ŻALUZJE

Sunsa Wand to według producenta najprostsze „inteligentne" żaluzje na świecie. Proces unowocześnienia i automatyzacji tradycyjnych „głupich" żaluzji trwa ponoć mniej niż dwie minuty i nie wymaga wiercenia, klejenia czy innych potencjalnie trudnych przeróbek. Wystarczy wymienić tradycyjny uchwyt do żaluzji na Sunsa Wand i podłączyć się do Wi-Fi, aby móc ustawić harmonogram odsłaniania i zasłaniania okien, a także by zmieniać położenie żaluzji, rolet etc. za pomocą aplikacji z dowolnego miejsca na ziemi (w którym jest zasięg sieci komórkowej). Podstawowy model bazuje na czterech bateriach AA, ale można też kupić wersję z panelem solarnym. Cena: 84 dol. (równowartość 330 zł). ©℗

Jacek Przybylski

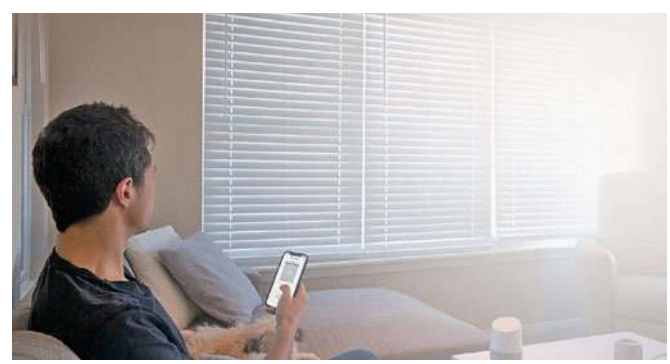

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a27c412366

DEBATY:

12.10 (**PONIEDZIAŁEK**)
13.10 (**WTOREK**)
14.10 (**ŚRODA**)

22:25

DEBATA GŁÓWNA:

15.10 (**CZWARTEK**)

12:00

NA ŻYWO

SPONSOR STRATEGICZNY:

ORLEN

SPONSORZY:

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

KGHM POLSKA MIEDŹ

PFR Polski Fundusz Rozwoju

PGNiG

eprasa.pl a27c412366

FOT. ADOBE STOCK

Z dr Aleksandrą Murawską-Baptista z Mayo Clinic na Florydzie
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Jest coraz więcej poważnych powikłań

KATARZYNA PINKOSZ: W USA już ponad 7 mln osób zostało zarażonych koronawirusem, a prawie 214 tys. zmarło. Jak obecnie wygląda sytuacja epidemiologiczna w Ameryce?

DR ALEKSANDRA MURAWSKA-BAPTISTA: Na początku epidemii pracowałam w szpitalu w Bostonie; w najtrudniejszym momencie mieliśmy ponad 500 pacjentów z COVID-19. Były dni, że brakowało łóżek, a na dyżurze umierało mi naraz kilku pacjentów, nie nadążałam z wypisywaniem kart zgonów. Nie mieliśmy wtedy praktycznie żadnego leczenia: staraliśmy się obniżyć gorączkę i patrzyliśmy, kiedy konieczny będzie respirator. System leczenia COVID-19 jest inaczej zorganizowany niż w Polsce, nie ma tzw. szpitali jednoimiennych, pacjenci od początku byli leczeni w każdym szpitalu. Pacjentów było zbyt dużo, żeby przewozić ich do specjalnych szpitali, szybko zabrakłoby dla nich miejsc i łóżek.

Od lipca pracuję w Mayo Clinic na Florydzie. Tu sytuacja jest bardziej stabilna, być może ma na to wpływ klimat albo sam fakt noszenia maseczek i utrzymywania dystansu od samego początku epidemii, kiedy na Florydzie nie było zbyt wielu przypadków. Gdy zostały otwarte przedszkola i szkoły, wszyscy obawiali się dużego wzrostu zachorowań, jednak tak się nie stało. Placówki bardzo dobrze przygotowały się do nowej sytuacji. Mój czteroletni syn, który chodzi do przedszkola, ma przed wejściem mierzoną temperaturę, myje i dezynfekuje ręce, dzieci w pomieszczeniach są w maskach, zdejmują je tylko wtedy, gdy wychodzą na zewnątrz. Uczniowie zostali podzieleni na mniejsze grupy, nauczyciele nie chodzą między klasami, a cały budynek ma system „jednokierunkowy".

Do sklepu bez maski się nie wejdzie, w dużych sklepach narysowane są strzałki, w którym kierunku iść, zachowuje się dystans.

Do szpitala trafiają tylko chorzy z ciężkim przebiegiem choroby? Jak ich leczycie?

Do szpitala najczęściej przyjmujemy osoby, u których poziom tlenu spadł poniżej 92 proc. albo mają choroby współistniejące, które mogą pogorszyć przebieg choroby (np. POChP, niewydolność serca, trwającą chemioterapię). Wszyscy pacjenci, którzy przychodzą do szpitala, przechodzą rodzaj wstępnej selekcji: rozmowa między nami, lekarzami prowadzącymi, a lekarzami medycyny ratunkowej decyduje, czy pacjent zostaje przyjęty na oddział, czy wraca do domu i jest pod opieką virtual clinic dla pacjentów z COVID-19. Leczenie dopasowujemy do stanu pacjenta. Gdy jest przyjmowany do szpitala, zlecamy cały panel badań wraz z obowiązkowym prześwietleniem płuc (lub tomografią komputerową). Jeśli stan jest w miarę stabilny, to zwykle zaczynamy od podawania sterydów (w kwietniu mówiło się, że pogarszają one przebieg COVID-19, teraz są u nas podawane w pierwszej kolejności, gdy poziom tlenu spada). Jeśli to konieczne, to podajemy remdesivir, a potem także tocilizumab. Jeżeli stan nadal się pogarsza, to pacjent jest przenoszony na oddział intensywnej terapii i może być podłączony do respiratora. Od trzech miesięcy stosujemy też osocze od osób, które przechorowały COVID-19.

eprasa.pl a27c412366

Chorzy, którzy przeszli COVID-19, chętnie oddają osocze do leczenia innych?

Już kilka dni przed wypisaniem pacjenta rozmawiamy z nim na ten temat. Jest zorganizowany cały system, pomagają nam pracownicy socjalni, pielęgniarki. Przekazują pacjentom wszystkie informacje. Szpital wszystko organizuje; jedyne, co pacjent musi zrobić, to wyrazić zgodę na pobranie osocza za kilka dni. Wielu pacjentów godzi się na to, ponieważ przeszli przez tę chorobę i widzą, jak bardzo jest groźna.

Czy dziś pacjenci lżej przechodzą COVID? Wirus słabnie?

Niedawno wypisaliśmy pacjenta, który spędził w szpitalu 120 dni, przez ponad dwa tygodnie był podłączony do ECMO. Mówił, że wcześniej on i jego rodzina nie wierzyli, że koronawirus to taki problem. To, że żyje, uważa dziś za cud.

Wielu pacjentów, po wyjściu z choroby, ma poważne skutki uboczne. Są osoby, które mają tak zniszczone nerki, że konieczne są dializy. Inna pacjentka wróciła do szpitala po dwóch tygodniach od wypisu z bólami serca: okazało się, że ma zapalenie mięśnia sercowego. Niektórzy mają niewydolność wątroby albo tak zniszczone płuca, że po wyjściu ze szpitala muszą być podłączeni do butli z tlenem. Pytają nas, czy wyzdrowieją, czy już zawsze będą musieli być na tlenie. Są pacjenci, którzy wracają po dwóch-trzech tygodniach do szpitala z udarem. Na początku epidemii, gdy pracowałam w Bostonie, pacjenci albo zdrowieli, albo umierali. Dziś wielu zdrowieje, ale ma powikłania.

Z pacjentami z COVID-19, którzy zostali wypisani ze szpitala i są pod opieką virtual clinic, jest w stałym kontakcie grupa lekarzy, pielęgniarek, pracowników socjalnych: dzwoni, pyta, jak się czują, czy mają niepokojące objawy, sprawdza ich stan, uczy monitorować poziom tlenu i mówi, kiedy muszą do nas zadzwonić. Dzięki temu pacjenci czują się bezpieczniej i wiedzą, że zawsze mogą liczyć na naszą pomoc.

Niektórzy pacjenci po wyzdrowieniu z COVID mają niewydolność wątroby albo tak zniszczone płuca, że po wyjściu ze szpitala muszą być podłączeni do butli z tlenem. Pytają nas, czy już zawsze będą musieli być na tlenie

Ciężki przebieg nie występuje tylko u tych osób, które mają choroby towarzyszące?

Nie zawsze. Niedawno mieliśmy na ECMO 44-letniego mężczyznę, bez żadnych chorób współistniejących. Coraz częściej chorują młodsi pacjenci, mający 40–50 lat. Często słyszymy opinię, że „nie ma żadnej epidemii". Nie wiem, dlaczego ludzie myślą, że lekarze chcą zastraszyć społeczeństwo. Nie chodzi o to, żeby ktoś traktował nas jak bohaterów, chcielibyśmy, żeby ludzie zaczęli nam ufać, gdy mówimy, że to nie jest coś, co przypomina wirus grypy.

Od początku epidemii pojawiały się porównania COVID z grypą...

To jest nie do porównania. Nigdy nie widziałam po grypie pacjentów na dializach, z niewydolnością wątroby, z udarem, zawałem ani tylu osób chorych na grypę, które musiałyby dostawać tlen, być na respiratorze albo podłączone do ECMO. Przeciw grypie mamy szczepionkę, leki. Umieralność z powodu grypy i koronawirusa jest nieporównywalna.

Są też głosy, że koronawirus był już wcześniej. To prawda, koronawirusy istniały, jednak SARS-CoV-2 jest inny. Nie znam żadnego innego wirusa, który mógłby spowodować tak poważne skutki. Osoby, które w to wątpią, powinny zobaczyć pacjentów z oddziału, którzy nie są w stanie wymówić słowa, bo nie mogą złapać oddechu. Gdy kończą nam się opcje leczenia, możemy pacjenta tylko podłączyć do respiratora i modlić się, żeby przez to przeszedł. Dla mnie to najbardziej traumatyczne przeżycie w moim życiu zawodowym. Widzę, że pacjent może umrzeć, a nie mogę mu podać nic innego niż tlen.

A jeśli chodzi o grypę... Nie mieliśmy jeszcze przypadku nałożenia się tych dwóch infekcji, nie wiemy, jak je leczyć. Nie wyobrażam sobie też, w jakim stanie może do nas przyjść pacjent, który po grypie złapie koronawirusa. Noszenie maseczek na pewno spowoduje, że mniej osób w tym roku będzie chorowało na grypę. W USA rekomendujemy szczepienie przeciw grypie szczególnie u dzieci, osób powyżej 65. roku życia i pracowników służby zdrowia. Zawsze dużo osób się szczepiło, w tym roku lekarze szczególnie do tego namawiają. Nie ma problemów z dostępem do szczepionek.

Może ten brak wiary w epidemię wynika z tego, że większość osób przechodzi infekcję lekko lub nawet bezobjawowo?

Po tym, co widzę, mogę powiedzieć, że jeśli ktoś przejdzie tę infekcję lekko, to znaczy, że ma szczęście. To jest loteria. Dlatego namawiam wszystkich do noszenia maseczek, zachowywania dystansu; to jest naprawdę niewiele wobec ryzyka stracenia bliskiej osoby.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

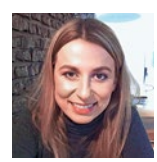

dr Aleksandra Murawska-Baptista *– jest specjalistką medycyny szpitalnej, medycyny rodzinnej i położnictwa. Pracowała w Brigham and Women's Hospital w Bostonie, obecnie jest lekarzem prowadzącym (senior associate consultant/instructor of medicine) w Mayo Clinic na Florydzie, gdzie pracuje na oddziale COVID-19.*

eprasa.pl a27c412366

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Szkoła katów w Bieczu

Jedną z najgłośniejszych opowieści o Bieczu, miasteczku położonym w Małopolsce na Pogórzu Karpackim, jest podanie o działającej tu szkole katów, kształcącej fachowych i biegłych w swoim rzemiośle oprawców, którzy wykonywali wyroki w całej Polsce. Jest to jednocześnie jedna z pierwszych legend miejskich, powstała w XVIII w., gdyż żadne, powtarzam: żadne dokumenty historyczne nie potwierdzają, jakoby we wspomnianym mieście istniała jakakolwiek szkoła katowska.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. PEGAZ

Początek tej legendzie dał przyszły prymas i arcybiskup gnieźnieński Aleksander Łubieński, w swojej geografii ziem Polski, czyli dziele „Świat we wszystkich swoich częściach większych i mniejszych, to jest: w Europie, Azji, Afryce i Ameryce…". Podaje on pod opisem Biecza: „W tym mieście przed tym wyzwalali się kaci". Późniejsi o sto lat autorzy zaczęli interpretować te słowa tak, jakoby istniała tam szkoła małodobrego rzemiosła bolesnego. W XIX w. w „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich" wydawanym od 1880 r. czytamy już: „W okolicznych górach tutejszych tylu ukrywało się opryszków, że w 1614 r. według podania stracono ich razem w Bieczu 120. To zrodziło potrzebę oddzielnego powołania ludzi do spełniania wyroków sądowych i stąd stało się to miasto głośne na całą Polskę nauką i wyzwalaniem się katów".

Owo „wyzwalanie się katów" nie oznaczało wcale tego, że istniała jakaś szkoła, ale że przybywający do Biecza oprawcy mogli uzyskać wyższe stopnie małodobrego rzemiosła. Tak w średniowieczu bowiem, jak i w epoce późniejszej, zawód kata podlegał takim samym prawom jak krawiec, szewc czy sukiennik, to znaczy ujęty był w karby hierarchii cechowej. Oprawca tak samo jak w przypadku innych zawodów miejskich naukę zaczynał jako terminator, czyli uczeń, następnie wyzwalał się na czeladnika, aby potem osiągnąć stopień mistrza i samodzielnie wykonywać egzekucje.

Dlaczego jednak wyzwalano się w Bieczu? Cóż, miasto było starostwem grodowym, a z racji położenia na pogórzu narażone było na napady i przykrą działalność beskidników i opryszków, czyli rozbójników ze wschodnich Karpat. Dlatego miało własny oddział harników, czyli żołnierzy przeznaczonych do zwalczania rabusiów. Zapewne z powodu konieczności wykonywania częstych i odstraszających wyroków utrzymywało własnego kata, który miał pełne ręce roboty, więc przybywali do niego chętni na naukę. Co więcej, kat lub kaci z Biecza wykonywali także zapewne wyroki „objazdowe" w najbliższych miejscowościach, które nie zatrudniały stałego oprawcy. Stąd wzięła się właśnie legenda owej „szkoły katowskiej". Zapewne miejski małodobry mistrz rezydował w baszcie katowskiej, choć trudno uznać, że były nią pozostałości wieży, którą odsłonięto w zeszłym roku w Bieczu wskutek badań archeologicznych.

Kaci mieli pełne ręce roboty, bo okolice Biecza słynęły z licznych zastępów ukrywającego się w górach hultajstwa, które równie chętnie rabowało kupców, jak i zaciągało się szlachcie do zajazdów. Tutaj właśnie werbował swoich ludzi Andrzej Ligęza, zaczynając w 1603 r. prywatną wojnę przeciwko stryjowi Mikołajowi, kasztelanowi czechowskiemu, właścicielowi Rzeszowa. Przestępczym rzemiosłem zaś zajmowali się nie tylko chłopi, lecz także mieszczanie. W 1547 r., jak podaje Witold Fusek, zaginął w okolicach Biecza kupiec Ettinger z Wrocławia, za którego odnalezienie wyznaczono 1000 talarów nagrody. Wówczas zgłosił się niejaki Maciej Puciała, prezentując rzekome zwłoki poszukiwanego. Odebrał nagrodę, jednak potem okazało się, że tak naprawdę sam stał za porwaniem, odkryto bowiem, że Ettinger nie zginął, ale więziony był w domu wdowy Kalenowej koło północnej baszty miejskiej. Sąd nie okazał miłosierdzia i Puciała dał głowę za porwanie.

Rzemiosło katowskie, choć hańbiące i usuwające na skraj życia towarzyskiego, było popłatne. Drogo kosztowała też nauka zawodu. Jak dowiadujemy się z dawnych ksiąg miejskich, w 1745 r. w Krakowie katowski pomocnik (czeladnik) Tomasz Straszowski oskarżony o kradzież zeznawał, że służył najpierw u mistrza w Oświęcimiu, dopiero potem przybył do Krakowa, praktykując po drodze w różnych miejscowościach. Antoni Strzelbicki, sławny kat z Krakowa, uczył się zawodu u mistrza w Kieżmarku, za co dał mu konia i zapłacił 50 zł. Po roku został wyzwolony, bo przybył do Krakowa i podjął pracę jako czeladnik u mistrza Franciszka. Działał też jako kat objazdowy – wykonywał wyroki w Nowym Sączu, Sandomierzu, w Kętach dopóty, dopóki nie został przyjęty na stałe do Krakowa jako mistrz. W 1782 r. za kradzieże sam dał głowę pod miecz. ©℗

eprasa.pl a27c412366

PODKARPACKA ZUPA POSŁA SOBOLEWSKIEGO

Podkarpacie to moje rodzinne tereny, tutaj się urodziłem i wychowałem. Smaki dzieciństwa do dziś są dla mnie czymś wyjątkowym, jak wyjątkowe jest dla mnie Podkarpacie. Czar tego regionu to Bieszczady, tradycja, historia, a także kuchnia, której można nam pozazdrościć. Chciałbym, aby smaki kuchni naszego regionu poznawała cała Polska. Dzisiaj proponuję zupę z suszonych grzybów bez włoszczyzny. Po borowiki, podgrzybki i inne dary lasu zapraszamy, a jakże, na Podkarpacie!

Składniki:

- 8–10 dag suszonych borowików
- 7 dag suszonych podgrzybków (lub same borowiki – 15 dag)
- 4 l wody
- płaska łyżka soli
- ¾ szklanki kwaśnej śmietany
- 2 jajka (całe)
- 100 ml słodkiego mleka
- ok. 1 szklanki mąki zwykłej
- 2 łyżki siekanego koperku
- 2 piórka czosnku
- 1 gałązka (ok. 10 cm) lubczyku
- szczypta czarnego pieprzu
- 1 łyżka maggi (polskiego producenta)

Przygotowanie:

Do zimnej wody pokruszyć grzyby (lub dać w całości, jak kto lubi), nie solić. Gotować pod przykryciem 30 min na wolnym ogniu, wtedy dodać czosnek w całości i lubczyk. Sprawdzamy, czy grzyby są miękkie, jeżeli nie, to wydłużamy jeszcze czas gotowania o kilka minut. Z dwóch jajek, mleka i mąki – ile jajka zabiorą – przygotować ciasto na kluski lane kładzione. Kłaść je do zupy, gotować kilka minut, posolić, po czym dodać śmietanę (zaprawioną gotującą się zupą, aby się nie zważyła). Zagotować, wyłączyć, dodać koperek. ©℗

oprac. raw

Krzysztof Sobolewski jest posłem, przewodniczącym Komitetu Wykonawczego PiS.

FOT. MAREK KUDELSKI/SE/EAST NEWS

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kenzo Takada 1939–2020

W roku 1964 przyjechał do Paryża na parę miesięcy. Został 56 lat. I w Paryżu Kenzo Takada, najbardziej znany Japończyk z paryskich krawców, zmarł na COVID. W środku Fashion Week.

Opuścił Japonię w czasach sprzed globalizacji, sprzed hałasu mody, trendów, zawrotnego tempa zmian. Nie przywiózł Paryżowi, wówczas niekwestionowanej stolicy światowej mody, japońskiej egzotyki. Dał świeżą krew – kolor, śmiałość, humor. Był awangardą, wytyczył drogę. Dopiero po nim, 20 lat później, w latach 80. do Paryża napłynęła większa fala Japończyków. Ci nowi – Yohji Yamamoto, Yunko Shimada, Rei Kawakubo – nieśli co innego: surowe, ciemne, obszerne szaty. Podbili nimi świat.

Kenzo początkowo studiował literaturę na Uniwersytecie w Tokio, ale szybko rzucił studia i przeniósł się do Bunka Fashion College. Był tam jednym z pierwszych mężczyzn studentów.

W 1964 r. trafił mu się szczęśliwy los – w czasie olimpiady w Tokio jego mieszkanie zostało zasłonięte w celu zawieszenia dekoracji i jako rekompensatę otrzymał równowartość 10 czynszów. Za te pieniądze kupił bilet na statek i przez Singapur, Indie i Gibraltar popłynął do Paryża. W podłej dzielnicy wynajął pokój za 2 dol. Jako freelancer rysował modele dla domów mody. Własny sklep otworzył po paru latach. Jego wnętrze sam wyremontował, ściany ozdobił kolorowymi rysunkami kwiatów i zwierząt.

FOT. JOEL SAGET/AFP/EAST NEWS

W roku 1970 moda w Paryżu zasymilowała rewolucję młodzieżową. Modne były Indie, Daleki Wschód, paciorki, sandały, wschodnie szaty, wszystko, byle etniczne. Styl Kenzo wpisywał się w ten nastrój. Jednak w odróżnieniu od hipisowskiej tandety jego ubrania rozbrzmiewające kolorem były wysokiej jakości, pięknie skrojone. Drogie. Zaproszenia na jego pokaz mody paryski jet set wyrywał sobie z rąk. Wkrótce do kolekcji damskiej dołączyła męska, dżinsy, potem perfumy.

Po śmierci partnera Kenzo w roku 1993 projektant zdecydował się sprzedać firmę. Za 80 mln dol. kupił ją konglomerat LVMH. Nazwa marki została, a założyciel początkowo był szefem. Jednak w 1999 r., zniechęcony coraz szybszym tempem mody, zrezygnował. Od tej pory dla marki Kenzo pracują różni, angażowani przez właścicieli projektanci.

Chociaż w środowisku mody zawiść jest rzeczą powszechną, to jego wszyscy lubili. W roku 2002 robiłam z nim w Paryżu wywiad. Był rzeczywiście bardzo miły, wesoły, a nawet pochwalił moją sukienkę. ©℗

eprasa.pl a27c412366

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Sprawy nie nasze

Ostatnimi czasy dwa dzieła sztuki wywołały w naszym kraju spore kontrowersje, co jest bez wątpienia zjawiskiem pozytywnym. Fajnie spierać się o sztukę, nawet jeśli ogranicza się to do wyśmiewania albo zniesmaczenia. Lepsze to niż… Niż to, czym zazwyczaj się zajmujemy.

Chodzi oczywiście o papieża dźwigającego głaz oraz sikającą kobietę. Skądinąd żyjemy we wspaniałych czasach, bo co prawda nie znam ani autorki obrazu z moczem w roli głównej, ani tytułu tego dzieła, ale wystarczy, że wpisuję w Google frazę „obraz sikająca kobieta" i zaraz zostaję oświecony, że chodzi o „Tak" Agaty Bogackiej. Wciąż mnie to zadziwia.

Konserwatystów zacierających w tym momencie ręce, że oto zaraz felietonista „Do Rzeczy" efektownie rozjedzie zdegenerowaną sztukę nowoczesną, muszę rozczarować. Chcę się zająć czymś troszkę innym. Otóż obraz został sprzedany za 118 tys. zł i mam wrażenie, że ta kwota oburzyła i podnieciła krytyków obrazu Bogackiej bardziej nawet niż struga moczu. Z jednej strony pojawiły się komentarze o świecie, który bardzo nisko upadł, skoro taką kasę wydaje się na takie badziewie. Z drugiej – a może jednak z tej samej – przytyki pod adresem kupca sugerujące, że musi być z nim coś nie w porządku, a w ogóle to mógł wydać te pieniądze z większym sensem.

I to właśnie mnie zirytowało. Co nas, do licha, obchodzi, jak ludzie wydają swoje pieniądze? To kompletnie nie nasza sprawa. O ile kupiec nie przeznaczył na to forsy uzyskanej z tarczy antykryzysowej, o tyle mógł za tę kwotę sprowadzić z Afryki tysiąc ton piachu i tak samo nie powinniśmy wściubiać w to naszych nochali. Podoba mu się? Ma pieniądze? Kupił? Jego prawo. W dodatku ocenianie zakupów innych, bogatszych od nas ludzi zazwyczaj jest doprawione nutką zawiści pomieszanej ze zgorzknieniem. Taki bogaty, a gustu nie ma za grosz. My z kolei mamy gust, ale nie pieniądze. Czyli nikt nie jest doskonały.

Czy ja bym wydał 118 tys. zł na obraz pani Bogackiej? W życiu. Przede wszystkim dlatego, że mnie nie stać. A nawet gdyby stać było, to jako prosty człowieczyna wydałbym tę kwotę na zdecydowanie mniej wyrafinowane cele. Poza tym obraz pasowałby do żenująco mieszczańskiego wystroju mojego domu mniej więcej tak jak Zbigniew Hołdys do głównej roli w „Jeziorze łabędzim". No i nie do końca łapię feministyczne (chyba) przesłanie tego dzieła.

Co nie znaczy, że „Tak" mi się nie podoba. Bo – uwaga, uwaga – podoba. Podobnie zresztą jak papież pod Muzeum Narodowym. Ciekawe, czy jestem jedynym takim osobnikiem w Polsce? ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Język ma znaczenie

W lingwistyce od dekad funkcjonuje tzw. hipoteza Sapira-Whorfa, która w uproszczeniu zakłada, że używany przez daną społeczność język wpływa na jej sposób myślenia oraz postrzegania świata. Chociaż naukowcy nadal spierają się o skalę zjawiska, to sformułowanie tak postawionego problemu badawczego dobrze oddaje ducha XX-wiecznej filozofii analitycznej, której wszyscy – często nieświadomie – jesteśmy spadkobiercami. Ludwig Wittgenstein w najsłynniejszym zdaniu wydanego w 1921 r. „Traktatu logiczno-filozoficznego" ujął tę zależność wprost: „Granice mojego języka wskazują granice mojego świata". Równocześnie dodał, że wszelka filozofia ostatecznie sprowadza się do „krytyki języka". Tym samym środek ciężkości przesunięto z metafizyki na logikę i epistemologię. Mętny język idealistów i heglistów XIX w. chciano zastąpić klarownością i nauką. Właśnie w tej dziedzinie Polacy odnieśli jeden z najbardziej spektakularnych oraz zapomnianych sukcesów intelektualnych w naszej historii, tworząc Szkołę Lwowsko-Warszawską z Kazimierzem Twardowskim na czele. Dlaczego o tym piszę?

Spór ideologiczno-światopoglądowy, który współcześni konserwatyści i prawica toczą z liberalną lewicą, rozgrywa się właśnie na tym, ubitym ponad sto lat temu gruncie. O ile druga z wymienionych stron skrupulatnie odrobiła zadanie domowe, o tyle zwłaszcza polska prawica wydaje się zachowywać jak dzieci we mgle. Rewolucja kulturowa 1968 r. i jej spadkobiercy zrozumieli znaczenie języka w kształtowaniu rzeczywistości, a łącząc tę wiedzę z postmodernistycznym – relatywistycznym – rozumieniem prawdy zaczęli ją modelować nie w odniesieniu do faktów, ale do tego, co za fakty arbitralnie uznali.

Tak też płeć przestała mieć znaczenie biologiczne, a stała się tworem kulturowym. Prawa człowieka zaczęły oznaczać również prawo do dobrowolnej aborcji. Walka z przemocą wobec kobiet stała się równocześnie próbą redefinicji tradycyjnego modelu rodziny. Historię można było pisać na nowo, płynnie mieszając przeszłość z teraźniejszością. Właśnie na gruncie języka wiele bitew z perspektywy przyszłości konserwatyzmu można jednak przegrać na starcie, np. idąc w zaparte w retorykę o „strefach wolnych od LGBT" albo „ideologię LGBT" – terminy nieużywane w zachodniej literaturze i niezrozumiałe dla większości odbiorców tego sporu. I chyba właśnie to zauważył ostatnio Patryk Jaki, apelując w mediach społecznościowych o zmianę narracji. „Mówiąc o »ideologii LGBT«, tak naprawdę chodzi o »ideologię gender«. Sam się łapałem na tę semantykę i potem w PE i tak musiałem przechodzić z »ideologii LGBT« na bardziej zrozumiałe »gender«. Język ma znaczenie" – stwierdził. Tylko czy ktoś go w Polsce usłyszy? ©℗

eprasa.pl a27c412366

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wiek, rozum i odpowiedzialność

ANDRZEJ NOWAK

Zaczynamy rok akademicki. Wirusy nas nie opuszczają. Przedszkolaki i uczniowie podstawówek mogą chodzić na swoje zajęcia. Studentom i ich profesorom rektorzy nie okazali podobnego zaufania. Nam nie wolno się spotykać. Mamy – suwerenną (dzięki tzw. reformie Gowina) decyzją rektorów – prowadzić zajęcia zdalnie, w zdecydowanej większości wypadków w oczywisty sposób pogarszające jakość nauczania. Widocznie ludzie dorośli są mniej odpowiedzialni od pięcio- czy czternastolatków.

Może to nawet jest trafna diagnoza? Trzy obrazki z ostatnich dni. Obrazek pierwszy: prezydent Gdańska, pani Dulkiewicz, w wywiadzie dla Deutschlandfunk (drugiego programu publicznego radia niemieckiego) zrównała obecną sytuację w Polsce do III Rzeszy, a zarazem – powołując się na autorytet łez swojej matki – stwierdziła, że pod rządami PiS jest „gorzej niż za komuny". I w tym samym zdaniu, w którym de facto ustawiła ponad 10 mln wyborców Andrzeja Dudy na jednym poziomie moralnym z wyborcami Adolfa Hitlera, wyraziła ubolewanie, że „jesteśmy tak skrajnie podzieleni". Takie zaproszenie do zasypywania podziałów w Polsce wzbudziło wątpliwości nawet wśród dziennikarzy portalu Onet, którzy chcieli zapytać panią prezydent: „Czy rzeczywiście w Polsce jest teraz mniej wolności niż przed rokiem 1989? Czy jest gorsza sytuacja gospodarcza? Czy funkcjonuje tylko jedna partia i jedna telewizja?". Urzędnicy pani prezydent woleli na te racjonalne pytania nie odpowiadać.

Obrazek drugi: na inauguracji roku akademickiego na Uniwersytecie Warszawskim gromadka młodych (ale formalnie dorosłych) ludzi i pewien niemłody już profesor z Uniwersytetu Jagiellońskiego realizuje swoje prawo do nieodpowiedzialności za słowo. Ponieważ w inauguracji bierze udział prezydent Andrzej Duda, krzyczą, że ma „krew na rękach" – bo ośmielił się nazwać ideologię LGBT: ideologią. Jeśli to ma być istota universitas – żywej wspólnoty studentów i profesorów w poszukiwaniu prawdy (a nie w zakrzykiwaniu inaczej myślących) – to może rzeczywiście lepiej spotykać się tylko zdalnie. Przy takim pojmowaniu uniwersytetu lepiej unikać fizycznego kontaktu.

Obrazek trzeci: debata telewizyjna między głównymi kandydatami do urzędu prezydenta USA na lata 2021–2024. „Zamkniesz się wreszcie?!", „Szczekaj dalej!" – to retoryczne popisy kandydata demokratów, który miał wykazać się wigorem w tym starciu z Donaldem Trumpem. I za to właśnie Joe Biden jest chwalony przez wspierające go media. Tu rodzi się pytanie już nie o uniwersytet, lecz o demokrację. Jak działa ten system? Czy jest tu jeszcze miejsce na rozum, na racjonalne argumenty, czy w grze pozostają już tylko emocje – głównie te negatywne? Kto w tym systemie rządzi – czy naprawdę „demos", czyli lud, wyborcy? Czyli o to chodzi w demokracji? Kto komu mocniej przyłoży, kto mocniej kopnie – poniżej pasa? Jeżeli zostają tylko emocje nienawiści do „drugiej strony", która jest zrównana z III Rzeszą i „komuną", to kwestie poważne, różnice programowe, realne osiągnięcia i niedociągnięcia w polityce znikają, a przynajmniej tracą na znaczeniu.

Racjonalne argumenty może lepiej zrozumieć ktoś, kto zdobył doświadczenie życiowe, a jeszcze lepiej – jeśli na drodze edukacji poznał nie tylko emocje, ale też sztukę odsiewania prawdy od kłamstwa, a zarazem rozumienia tego, co ma do powiedzenia inaczej myślący człowiek.

Jeśli pozostajemy tylko na poziomie emocji dostępnych rozkapryszonym dzieciom, to łatwiej przed nami ukryć zagadnienia istotne. W przypadku wyborów prezydenckich w USA łączą się one bezpośrednio z pytaniem o wiek kandydata na prezydenta. Wszystkie kamery zwrócone są na zarażonego COVID-19 Trumpa: czy będzie mógł sprawować urząd? A może warto spojrzeć i na to: Joe Biden został senatorem w roku 1972, w czasach Nixona. Pierwszy raz startował w wyborach prezydenckich w roku 1988 – chciał być bezpośrednim następcą Reagana. Nie udało się wtedy. Startuje więc 32 lata później. Ale – jeśli wygra te wybory – to będzie w pierwszym roku swej prezydentury 80-latkiem. Przypomnijmy: obejmując urząd prezydenta USA Ronald Reagan, kojarzony przez swych demokratycznych krytyków ze starczą demencją, miał lat 70…

Czy o 10 lat starszy Biden spełnia warunki zdrowotne, by podołać trudom nie tylko symbolicznej, lecz także realnej władzy nad największym mocarstwem świata w stanie kryzysu? Kiedy liczy się tylko jedno – komu odebrać władzę, jak przeciwnika (i jego wyborców) zdelegitymizować – wtedy również w cień chowa się istotna kwestia: Kto rzeczywiście ma władzę sprawować? Pozujący na dziarskiego fightera starszy pan ma być tylko parawanem? To jedno z pytań na seminarium ze studentami, którzy chcieliby zostać odpowiedzialnymi obywatelami Rzeczypospolitej, a nie mięsem armatnim tej czy innej ideologii. Wirus jednak nie śpi. Śpijmy więc my… I krzyczmy przez sen! O „krwi na rękach", o „III Rzeszy", o Trumpie i innych koszmarach. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl a27c412366

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

WOJNA

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Trwa wojna z Chinami. Nikt jej nie wypowiedział?

Nieprawda – Chiny wypowiedziały ją otwartym tekstem w oficjalnych dokumentach określających ich doktrynę działań. Piszą, że wiek XXI ma być stuleciem, gdy dominację nad światem przejmą komunistyczne Chiny. Oba słowa kluczowe: komunizm + Chiny. Czy chodzi o dominację w wybranym zakresie? Na przykład gospodarczą? Nie – to ma być dominacja totalna we wszystkich zakresach. Ogólne panowanie nad światem.

Państwo mi nie wierzą, prawda? Człowiek w naturalny sposób nie dowierza faktom, gdy burzą stabilizację. Gdy Hitler zrobił anszlus Austrii, też większość ludzi wypierała hasło „jest wojna", a przecież druga wojna światowa wcale nie zaczęła się 1 września w Polsce – w tym dniu przyznaliśmy jedynie, że zaczęła się oficjalnie. Wcześniej Chamberlain wymachiwał kartką z porozumieniem pokojowym, które zawarł z Hitlerem, i stosował wobec Niemiec politykę udobruchania. Tę samą, którą stosujemy dziś wobec Chin. To nie prowadzi w dobrą stronę.

***

Dwadzieścia lat obecności Chin w Światowej Organizacji Handlu nie spowodowało, że się komunizm ucywilizował i utonął w dolarach. Przeciwnie – Chiny się umocniły, a komunistyczna dyktatura ustawia nowy porządek rzeczy już nie tylko u siebie, lecz także na całym świecie.

Państwo uważają, że przesadzam? Czy ktoś zauważył, że w maju Chiny zaatakowały Indie? Czołgi, wojsko, wojna. Zdyskwalifikowaliśmy ją, bo daleko i jakaś mała, w zasadzie spór graniczny. Czyżby? Oba te państwa mają bomby atomowe. A czy ktoś pamięta groźby chińskie wobec USA i Unii Europejskiej dotyczące dostaw leków? To było w marcu 2020 r. Nie mam danych z UE, ale w USA nie ma już żadnej fabryki aspiryny – wszystko przeniesiono do Chin. Co będzie, gdy Chiny zatrzymają dostawy? Mogą zatrzymać. Już nam grozili. Proszę sobie wyobrazić armie NATO, które nie mają nawet tabletek od bólu głowy. Śmieszne? Twoja skuteczność znacząco spada, gdy masz zwykły katar. Nic się nie chce, nie możesz się skupić. Zatrzymanie dostaw leków było testowane wiosną, a usprawiedliwieniem była epidemia i wtedy Trump musiał grać bardzo ostrożnie, bo… gdyby spóźniły się dostawy chińskiej insuliny dla amerykańskich cukrzyków, pojawiłby się problem liczony na miliony istnień ludzkich. Chińczycy nie potrzebują wirusa, by nas powalić.

***

Trwa wojna Chin o panowanie nad światem, a my jesteśmy uzależnieni od chińskich dostaw… w zasadzie wszystkiego. Gdyby Chiny w wybranym przez siebie dniu postanowiły zerwać stosunki z nami i poczekać… miesiąc – będziemy załatwieni. Nie zrobią tego? A dlaczego? Bo nas lubią? Swoich obywateli potrafili zaspawać w bloku, a ty myślisz, że będą się przejmować nami?

W niewielkim przybliżeniu da się powiedzieć, że „nie ma żadnego przedmiotu na naszym rynku, który nie został wyprodukowany w Chinach". Proszę zrobić kwerendę we własnym domu i policzyć, ile KLUCZOWYCH przedmiotów, bez których nie da się żyć, pochodzi z Chin. Zamek w drzwiach, kran, kibel, kuchenka, kurde balans… WSZYSTKO.

Gdyby ktoś chciał w patriotycznym porywie wywalić wszystkie chińskie sprzęty, zostałby w pustym pokoju, a do tego jeszcze okna, drzwi i prucie kabli ze ścian. A potem by się okazało, że ten cement w ścianach… a nie, cement w Polsce robi meksykańska firma Cemex, uff. Nawet produkcja żywności na polskiej ziemi odbywa się za pomocą maszyn chińskich. Innych nie ma. Jeżeli nie cała maszyna, to cała masa kluczowych części, bez których nie da się tej maszyny zbudować, przychodzi z Chin. Tak głęboko żeśmy się wpuścili.

Żeby to niebezpieczne uzależnienie cofnąć, trzeba przestać importować, a zacząć produkować własne – choćby drożej, ale własne. W USA tę próbę podjął Trump i oby mu się udało, w Europie nikt.

***

Chiny utrzymują na swoim terenie obozy śmierci. Robienie z tym państwem jakichkolwiek interesów uważam za niedopuszczalne – moralne szambo. A do tego Chiny są śmiertelnie niebezpieczne. Gdyby zapanowały nad światem, nie zlikwidują obozów u siebie (teraz nie likwidują), tylko zbudują więcej – u nas.

Z drugiej strony jesteśmy w takiej sytuacji jak za komuny – chcesz być patriotą i nie kupować od komunistów, ale się nie da. Przestaniesz kupować podręczniki, bo drukarnie sprowadzają farbę z Chin?

Zerwanie stosunków z Chinami jest wykonalne, ale kosztowne i ceny wzrosną. Przenoszenie produkcji z powrotem na nasz teren wymagałoby więc przekonania narodów Zachodu, że trwa realna wojna. Czegoś takiego nikt nie chce słuchać, więc żaden polityk nie chce o tym mówić. Same Chamberlainy machające traktatami. A wojna trwa, mówię państwu. ©℗

eprasa.pl a27c412366

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY **TYGODNIK „DO RZECZY"**

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

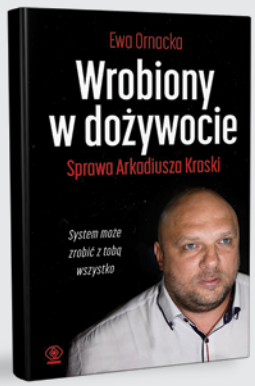

W PREZENCIE **KSIĄŻKA**

EWA ORNACKA

„WROBIONY W DOŻYWOCIE – SPRAWA ARKADIUSZA KRASKI"

~~619 zł~~ > **239,00 zł** < OSZCZĘDNOŚĆ 380 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a27c412366

Rockshell Mark III Chrono

ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR WARRANTY

eprasa.pl a27c412366